I

Niedrukowana powieść - rękopis

Mieczysława Pawlikowskiego

Między ludźmi
Historja parafialna.
Ludzie dobrej woli.
Powieść.

Ustała zamieć śnieżna, wiatr się uciszył, na zimowem niebie błysnęło blade słonko, srebrząc skrystalizowane mrozem okna wiejskiego dworku. — W czeladnej izbie zebrana służba; stary lokaj, kredensowy, włodarz, ~~parobków~~ kilku włościan; zasępione oblicza, pochylone czoła — stoją i milczą. Tam, o ścianę, w swej sypialni dogorywa dziedzic wioski, ich dobrodziej. Czuwa przy nim zaufany lekarz i córka. Od dwóch prawie tygodni nieodstępnie ona prawie od łoża ojcowskiego, a gdy lekarz, poczciwe niemczysko napiera się jak może i nalega aby snem pokrzepiła znużone siły, ona błagającym spoziera nań ~~[illegible]~~ wzrokiem i ani myśli udać się na spoczynek.

— Marylko, idź do siebie! — ~~prosi~~ ozywa się chory słodkim głosem. — Idź, idź Marylko... bo się pogniewam...

~~[illegible]~~:

I zwraca ku niej łagodne oczy, lśniące gorączkowym blaskiem a pełne wyrazu ojcowskiej miłości.

Ale ona ~~[illegible]~~ nachyla ku niemu i całuje go w rękę:

— Jam wcale nie ~~[illegible]~~ znużona ojczulku, nie chce mi się spać.

— Takaś mi była hoża... rumiana... ~~po~~bladłaś... zmizerniałaś.... Idź, bo mi to szkodzi... gdy widzę jak się ty niszczysz...

Odejdzie do swego pokoiku ~~[illegible]~~ nie chcąc się sprzeciwiać ojcu, ale zamiast się położyć i usnąć — płacze i nadsłuchuje czy ją nie zawołają. ~~[illegible]~~.

Dziś jej powiedział lekarz że jest źle bardzo i że prawie niema już nadziei. —

. . . .

— Taką była jej matka! — rzekł p. Seweryn po odejściu córki do lekarza.

— Była ~~[illegible]~~ jak taka sama! — potwierdził niemiec.

Dzwonki sanek zajeżdżających przed ganek ~~[illegible]~~ odezwały się w tej chwili.

— Idź... zobacz doktorze... to może... moja... siostra! — drżącym od wzruszenia głosem wyszeptał chory.

Wyszedł lekarz; — nie była to jednak spodziewana ~~[illegible]~~ panna Gertruda, której przed kilkoma dniami doniesiono o ciężkiej chorobie ~~[illegible]~~ brata.

Wysiadł z sani i wszedł do salonu proboszcz.

— Czy chory jest bardzo źle? — zapytał stłumionym głosem lekarza.

— Bardzo. Ja nie mam już nadziei. Zdaje mi się że najwięcej do jutra... ale może... kto wie? — może się i ~~[illegible]~~ polepszy — tego nikt nie przewidzi... ale ja wątpię...

— Czy córka wie?

— Powiedziałem.

— Hm! i mnie nie wezwano?... Czy chory ma przytomność?

~~[illegible]~~

— Zupełną.

— Trzeba go przygotować na moje przyjście.

— Tego ja nie zrobię. Każde wielkie wzruszenie może go zabić.

— To niech córka pójdzie.

— Zabić go? A[illegible]...

~~[illegible]~~

~~z Bogiem pojednał.~~

2.) ~~[illegible]~~ (odrzekł proboszcz z godnością:)

— Pan tego nierozumiesz, [bo] pan jesteś protestant. Tu idzie o coś więcej niż o jego nędzne życie, tu idzie o jego duszę! Kiedy tak blizkie niebezpieczeństwo to niema się co wahać; trzeba aby się z Bogiem pojednał.

— On się z nim nigdy nie kłócił! — odparł opryskliwie Niemiec. On żył jak poganin — nawet w kościele niebywał! — uniósł się proboszcz.

~~[illegible]~~? — Co? — zawołał lekarz niemogąc się pohamować w gniewie — co? Ja nieznam poczciwszego i cnotliwszego człowieka! — to był prawdziwy dobrodziej ~~[illegible]~~ ludzkości... to był...

— To był cnotliwy poganin, panie doktorze! ale i najcnotliwsi poganie pójdą do ~~[illegible]~~ piekła na wieczne potępienie.

— Ja w to [tego] niewierzę!

— A jednak powinieneś pan wierzyć, bo i wasz Luter tak uczył, a wasz Kalwin spalił ~~[illegible]~~ słusznie na stosie (innego heretyka który niedość ~~[illegible]~~ o tem powątpiewał...)

~~[illegible]~~

— Ja w to [tego] niewierzę!

— Chybaś pan Socynianin albo Frater Polonus... Nacóżby się zdała religia ~~[illegible]~~ chrystusowa, gdyby i bez niej można być zbawionym!..

I wzruszył proboszcz ramionami. Dzwonek dał się słyszeć w pokoju chorego, a zanim lekarz pospieszył do jego łoża, już przebiegła przez salon panna Maryla. ~~[illegible]~~

Za chwilę wróciła.

— Ojciec słyszał zajeżdżające pod oknami sanie, i pyta kto przyjechał...

— Powiedz pani że to ja przyjechałem odwiedzić chorego i przygotuj go pani na moje przyjście...

— Ależ księże proboszczu ~~[illegible]~~ odwiedza ~~[illegible]~~ nas tak rzadko. ~~[illegible]~~ to przerazi Ojca.... ~~[illegible]~~

— Czas ostatni panno Marjanno! trzeba aby się z Bogiem pojednał...

— ~~[illegible]~~ A pamiętaj pani że ~~[illegible]~~ każde wzruszenie może go zabić! — dodał lekarz z naciskiem.

— O na miłość boską, księże proboszczu! później! później!

— Śmierć nie czeka panno Marjanno — a z ognia piekielnego niema ratunku...

Znów gdzieś odgłos dzwonków sankowych zagrzechotał przed oknami. ~~[illegible]~~

Maryla ~~[illegible]~~ przetworzyła drzwi do sieni i wyglądnęła kto przyjechał. — Rumieniec nagły oblał jej lica pobladłe od nieprzespanych nocy i ciężkiego strapienia. Przed nią stał rosły młodzieniec z zaczerwienioną od ~~[illegible]~~ mrozu twarzą i zrzucając niedźwiedzią szubę, zapytał:

— Jak Ojcu pani?

— Źle bardzo...

~~[illegible]~~

Ale dzwonek w pokoju chorego niedozwolił jej mówić więcej — pobiegła do Ojca. Źle mi bardzo!... ~~[illegible]~~ cichym głosem. I zapytał:

— Czy to siostra? — ~~[illegible]~~

— Nie Ojcze, to pan Liwocza przyjechał.

— Adaś?)... Niech tu przyjdzie... o źle mi bardzo... (powtórzył chory z widoczną radością. —

Pobiegła co prędzej do salonu i przywołała lekarza. — Adasia pochwyciła za rękę i pociągnęła za sobą do pokoju Ojca: ~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

3.) — Mięszasz się, — szepnęła mu cicho, — chce Pana widzieć...

Drżała jej ręka, którą trzymała dłoń Adama — i ręka Adama drżała od wzruszenia. Łzy zaświeciły w ciemnych jej oczach — a i jemu dziwnie coś zakręciło się w oku sokolem.

~~Pan Seweryn~~

Proboszcz pozostał w salonie. Wahał się czy ma wejść do sypialni czy czekać na wezwanie.

(Chory omdlał.) (Lekarz nacierał mu skronie. ~~Pochwili zamknęły powieki, głowa zapadła między poduszki, na twarzy marmurowej bladości żadnego ruchu, żadnego drgnienia... ręce opadły z łóżka i zwisły ku ziemi jakby martwe.~~

(Odstawił flaszeczkę z octem, pochwycił chorego za puls i czekał objawu życia. — W chłodnym i spokojnym wyrazie jego twarzy przebijało się niezwykłe jakieś wrażenie i groza śmierci zajrzała mu w oczy. Ani żołnierz ani lekarz, choć tyle razy spotykali się z nią w życiu, nigdy się z nią nie oswoją.

Głowa p. Seweryna zapadła głęboko między poduszki — na twarzy marmurowej bladości żadnego nie dostrzedz ruchu, najmniejszego drgnienia. Ręce opadły z łóżka i zwisły bezwładne ku ziemi. — Żyje jeszcze czy skonał?

Uklękli oboje młodzi, jakby na dane hasło przy łóżku, — a ręce ich ciągle trzymały się w serdecznym uścisku — nieświadomie, jakby zrosły ze sobą. — I tak klęczeli, a chwila zachwiła, mijała. Słońce przez okno rzuciło złoty promyczek na ich głowy.

Otworzył chory wreszcie oczy. (Odetchnął.) Szeroko rozwartą źrenicą potoczył dokoła, poznał lekarza obok siebie, ujrzał ich dwoje klęczących u nóg, ujrzał w głębi we drzwiach pokojową postać proboszcza. Jakby ostatniem wysileniem podźwignął ręce i położył na ich głowach i jedno jedyne wymówił słowo:

— Moje dzieci!

Dreszcz jakiś przebiegł jego ciało, głowa napowrót opadła w poduszki. Zadrgnęły raz jeszcze ręce, i jeszcze raz słabiej i znowu słabiej i opadły ku ziemi. Pan Seweryn już nie żył.

4.) We dwa dni później drogą wysadzaną topolami sunęła po śniegu kareta na saniach ku osieroconemu dworkowi. Niemłoda kobieta w czarnem skromnem ubraniu, bogatem otulona futrem od czasu do czasu niespokojnie wyglądała przez omrożone szyby. Usta jej nieco szerokie ale kształtne drżały, niewiadomo czy od zimna, czy z wzruszenia, czyteż poruszane mimowoli cichym szeptem modlitwy. Duża książka do nabożeństwa leżąca obok niej na siedzeniu i spory krzyżyk hebanowy wiszący na jej piersiach zdawały się potwierdzać to ostatnie przypuszczenie. Twarz jej chuda, porysowana zmarszczkami, niesympatyczna, nosiła jednak to tajemnicze piętno, tak trudne do szczegółowego określenia, nasuwające każdemu mimowolny wniosek o dawnej piękności. Chłód jakiś niemiły wiał z tej twarzy i postaci. Nie była to jednak ani poważna surowość dawnych matron polskich, ani wrodzona cecha temperamentu i usposobienia. Był w tym chłodzie coś nienaturalnego, coś przybranego, jakby wymuszona stosunkami życia maniera, jakby zakonny welon wyrozumowanej dewocji, pokrywający zupełnie wcale innych kierunek i wypłatę napoły czy przygasłe namiętności światowej kobiety. Jakaś gorycz wewnętrzna, czy smutek tajony, czy żal do świata, pokryte cukrowym a chłodnym uśmiechem niemile raziły w rysach panny Gertrudy. — Ona to bowiem była.

Czy dla różnicy usposobień czy z innych przyczyn, od lat wielu nie widywała się ona z bratem, kilka razy tylko do roku zamieniając z nim listy. Zamieszkała w odległej stronie kraju w małej wiosce na Podolu, która jej po sprzedaniu znaczniejszych dóbr pozostała, nigdy z tamtąd nie wyjeżdżała i prawie nie znała swej siostrzenicy. Utrzymywali niektórzy że pierwszym powodem nieporozumienia między bratem a siostrą, była właśnie sprzedaż owego pięknego i wcale nieobdłużonego majątku, dziedzictwa po matce, który panna Gertruda, po uzyskaniu pełnoletności i odebraniu tych dóbr z rąk brata, bezzwłocznie sprzedała, rozporządziwszy uzyskanym ztąd kapitałem w niewiadomy nikomu sposób. Jedni mniemali że umieściła go w wysoko procentujących się papierach i że zbija grosz do grosza, inni zaś że oddała go OO. Jezuitom. Życie wiodła tak skromne i do najmniejszych ograniczone potrzeb, że prawdopodobniejszemi wydawały przypuszczenia iż żadnych wcale kapitałów nie posiada. — Na zapytanie p. Seweryna co zrobiła z matczynym majątkiem, odpowiedziała p. Gertruda w sposób opryskliwy „że jest pełnoletnią", a odtąd ich twierdzono oziębił się stosunek niegdyś serdeczny między niemi. Dopiero na łożu śmiertelnem p. Seweryn czując bliski swój koniec, kazał ją zawiadomić o swej chorobie, prosząc aby na wypadek jego śmierci zaopiekowała się Marylą, jako jej rodzona ciotka a nawet jedyna krewna. —

Kareta wjechała na podwórze, rozstąpił się tłum zgromadzonych tam włościan a pośród nich zobaczyła panna Gertruda czarną chorągiew kościelną. Zrozumiała że przybyła zapóźno, kurczowo ściągnęły się jej rysy bolesnym spazmem, oczy napełniły się łzami...

Milcząc wysiadła z powozu, ale na twarzy już zapanował spokój — sztuczny czy prawdziwy. Przeżegnała się krzyżem świętym i zapytała podającego jej ramię lokaja suchym i bezdźwięcznym głosem:

— Czy brat mój skończył po chrześcijańsku?

Zdziwionemi oczyma spojrzał na nią niemiec. Coś nakształt oburzenia przemknęło po jego wyrazistych rysach.

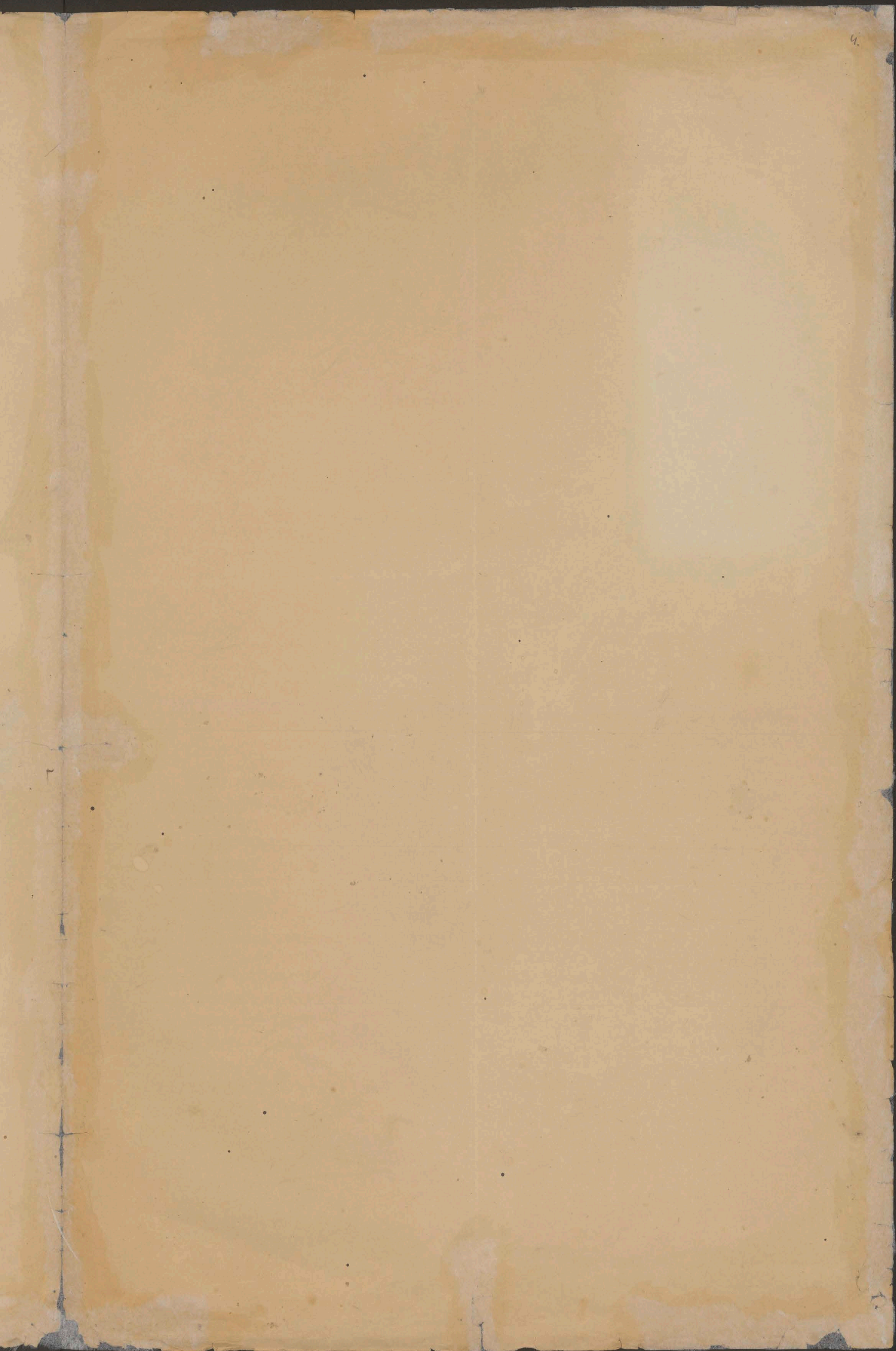
— Umarł jak człowiek sprawiedliwy.

— Bogu dzięki! — A córka?

W tej chwili doleciał głośny rozległ się płacz: — z pokoju wynoszono trumnę.

Szła za trumną Marylka, prowadził ją jeden ze starszych sąsiadów. Oczy miała nabrzmiałe od płaczu, z rozwartemi szeroko źrenicami szklannemi płakać już nie mogła. Prawą rękę przyciskała do piersi jej z bolu.

— Marylku, jamo twoja ciotka! — szepnęła panna Gertruda przygarniając ją ku sobie i całując ją wcale z powagą.



5.)

Rzuciła się w jej ramiona Marylka, stłumione łkanie w głośny zmienił się płacz. Rzęsiste strumienie łez buchnęły z jej oczu, jak ptaszyna kwiląc złożyła głowę na ramieniu wiernej ciotki.

— Ja ci będę matką Marysiu! - rzekła p. Gertruda (dość jeszcze oschłym tonem ale już nie bez wyrazu szczerego współczucia.

Zaszlochała biedna w odpowiedź, serdecznym uściskiem odwzajemniając te słowa.

Stopniał lód wreszcie na nieruchomej twarzy panny Gertrudy, struga pociekły się łzy po wypiekłych policzkach. W niemym uścisku obie szlochały całując się i płacząc.

W wiejskim kościółku na wysokim katafalku stała trumna. Świec pełno jarzących dokoła a w kościele ścisk wielki a szczery smutek na twarzach i cisza. Czasem usłyszysz westchnienie, czasem płacz stłumiony. Rzadkim był człowiekiem nieboszczyk; nie było chaty we wsi któraby nie doznała jego dobrodziejstw. Majątek duży, było z czego być hojnym, ale też i był nim pan Seweryn. Był nim w całem znaczeniu tego słowa.

Długo trwały suto opłacone ekzekwie. Wyszedł wreszcie proboszcz na ambonę i zaczął mowę pogrzebową. Asumpt do kazania wziął on z ewangelji Łukasza, z owych słów Zbawiciela wyrzeczonych do Marty: „troszczysz się i kłopoczesz około wielu rzeczy, Ależ jednego potrzeba." — „Tak i wy (rzekł) troszczycie się i kłopoczecie o wiele, o to coby jeść, czem by się przyodziewać (jakbyście w świata urośli w poważaniu i znaczeniu, a nie troszczycie się o skarb o który nie więcej, którego nie ubywa, o skarb w niebiesiech. - I wskazując ręką na katafalk, zawołał: Patrzcie! oto pan licznych włości, oto dziedzic dóbr tylu, któremu niedawno wielu z was losu zazdrościł, szczęśliwym go mieniąc, - powiedzcie, co mu zostało z jego skarbów, z jego dziedzictwa, z jego spichlerzy, z pałaców jego, z srebra i złota i sprzętów bogatych?) [illegible] (Toczytamy u Ster. Łukasza: „Marność nad marnościami i wszystko marność". „Tej nocy upomną się duszy twojej od ciebie, a to coś nagotował, czyjeż będzie?" (Luk XII. 20.) Patrzcie! oto mąż uczony, oczytany w wielu księgach, mogący uczonemi językami (doświadczony w każdej nauce i umiejętności tego świata. I cóż mu pozostało z jego ksiąg i uczoności? „Mądry umierając, głupi i szalony równie giną" czytamy w Psalmie Dawidowym. Marność nad marnościami, mówi Ecclesiastes a „błogosławieni za ubogi w duchu" (mówi Pan. Nie o uczoności ludzka zapyta go Sędzia Przedwieczny, ale o wiarę jego. - Patrzcie! oto dobroczyńca wasz, który hojnie was obdarzał i całe życie skarbił sobie przywiązanie wasze i szacunek ludzki, i odbywał sobie wdzięczność serc waszych. ⊕ I cóż mu z tej wdzięczności i przywiązania i szacunku - jeśli (wedle słów ewangielisty) „sobie je skarbił a nie stał się w Bogu bogatym", (jeśli nie wzmocniony chlebem żywota nie znalazł usprawiedliwienia przed Panem? Wiara bez uczynków martwa jest, ale uczynki bez wiary żadnej nie mają ceny w obliczu Sprawiedliwości Bożej! [illegible] ... A Jezu miłosierny ... ⁂

I tu padłszy na kolana odmówił pleban gorącą modlitwę za duszę ś.p. Seweryna, w której nazwał go powtórnie „wielkim grzesznikiem." Słowo po słowie korne powtarzał lud za kapłanem, wzruszony do głębi. Łzy świeciły we wszystkich oczach a i oczy kaznodziei nie były od nich wolne.

Co się działo w sercu córki i jakie to nabożeństwo i ta modlitwa wywarła wrażenie na inteligentniejszej części zgromadzonych — zostawiamy domysłowi czytelników.

Jaki wpływ na moralność ludu wywarły te słowa — rozwodzić się nie będziem. Zanadtobyśmy odbiegli od przedmiotu naszej powieści.

⊕ „Cóż mu z tej chwały jakiej używał u świata? Umierając nie weźmie nic z sobą ani za nim zstąpi chwała jego" mówi Psalmista (Ps. XLIX).

⊕ Miłosierdzia Bożego i dla korony wieczystej, ale folgując tylko wrodzonym serca swego skłonnościom i gwoli własnemu zadowoleniu albo gwoli marnej chwały tego świata! Kto czyni dobrze nie dla nagrody wieczystej ale dlatego tylko że mu to miło dobrze czynić, [illegible] a kościół Boży omija i umiera bez sakramentów, ten zaiste otrzymał już zapłatę swoją. A wraz ze śmiercią jego ustaje ten żal doczesny a wieczysta zaczyna się pokuta i męki czyścowe jeśli od ogni piekielnych Sprawiedliwy Sędzia w Niezmierzonem Miłosierdziu swojem uchronić go raczy. Niezłomne ramię Jego Sprawiedliwości, ale niezbadane wyroki Jego i Niezmierzone Miłosierdzie!... O Jezu miłosierny, Ty któryś za grzechy nasze wycierpiał srogą mękę i śmierć okrutną, ... w Tobie pokładamy ufność naszą i nadzieję naszą .....

Piękny to wyraz cnota — ale pamiętajmy o tem że i poganie o cnocie prawili, a tylko cnota chrześcijańska ma wartość wobec Boga. - Niemasz cnoty bez religji a niemasz religji prawdziwej poza obrębem św. tego kościoła rzymsko katolickiego! Kto od kościoła stroni ten stroni od cnoty i od Boga a choćby w mniemaniu tego świata był najcnotliwszym, ten wobec Boga i wobec ludzi wielkim jest grzesznikiem... A czem za pozór cnotliwszym się by wydawał, tem większy jego zgubniejszy a wina jego cięższa. - Gorszy niedowiarkowi zaiste niż samobójcy — bo ten zabija ciało a on jeden swojego duszę nieśmiertelne zabija na wieki, wciągając je za sobą do ognia piekielnego. Pomyślcie Najmilejsi! jeżeli dno wiekie mrowi się od niewinnych dziatek pomarłych bez Chrztu Św tego, cierpiących wiekuiste męki za zmazę grzechu pierworodnego, o ileż cięższe dotknie ramię Sprawiedliwego tych wszystkich, którzy zrodzeni i wychowani w Św. Wierze rz. katolickiej wymykają się pokryjomu z kościoła Bożego i znęcają ku sobie następnie owieczki trzody Pańskiej szczodrobliwością dobrodziejstw swoich, a czynią to nie dla zaskarbienia sobie

Omdlałą przed końcem nabożeństwa przywiozła panna Gertruda do domu Marylkę. Rozebrawszy ją, położyła do łóżka, starając się ją utulić w żalu z troskliwością matki. Gdy się nieszczęśliwa nieco uspokoiła, wydała panna Gertruda spłakana potrzebne dyspozycje służbie z dziwnym jakimś spokojem i z całą świadomością stanowiska pani domu które zająć postanowiła. Jedno z jej rozporządzeń zmieniało dotychczasowy porządek domowy; ośmielił się stary kamerdyner, Grzegorz zwrócić na to jej uwagę że dotąd innego trzymano się trybu. Odpowiedziała krótko i bez namysłu że „odtąd będzie inaczej."

Czynność tę objęcia władzy, z takim pośpiechem i z gorączkową energią podjętą, przerwało nadejście kilku sąsiadów; powracających z odległego cmentarza po złożeniu do grobu zwłok nieboszczyka. Jedni z nich przybyli z zwykłą kondolencyjną wizytą * (ofiarować usługi swoje i pomoc w gospodarstwie i interesach, inni nakoniec pragnęli przedstawić się pannie Gertrudzie albo przypomnieć się jej znajomości z przed laty dwudziestu kilku.

— Dziękuję Panom najmocniej za wasną życzliwość, szczególniej ofiarowaną nam pomoc w gospodarstwie, ale i sam przecież gospodyni. Mamy nadzieję że sobie damy radę.

— Miałem zaszczyt znać panią dzieckiem! - rzekł pan Szydor.

— O nie dzieckiem! (: odrzekła panna Gertruda :) (z pewną ostentacją). Gdyśmy tu mieszkali, byłam już dorosłą panną. Wszak to temu lat przeszło dwadzieścia a ja dziś mam 43.

— Niktby tego nie odgadł, gdybyś mu Pani zgadywać kazała.

— Pan jak widzę nie zmieniłeś się wcale i prawisz damom zawsze grzeczności, Wszyscy przecinie zgadują żem daleko starsza niż nią jestem w samej rzeczy.... Ale dajmy temu pokój.... Jakiegoż zacnego i przykładnego kapłana macie panowie w tutejszym proboszczu! Co za wymowa porywająca! To musi być święty człowiek!

— Istotnie, (: odrzekł p. Teofil :) jest to ksiądz bardzo godny, ale niestety... fanatyk! Dzisiejszem kazaniem nietylko bardzo boleśnie dotknął nas wszystkich którzyśmy całem sercem kochali i czcili nieboszczyka, ale powiem więcej: oburzył nas do żywego....

— Oburzył? Jakże mógł panów oburzyć że postąpił tak jak na kapłana katolickiego przystało? Nikogo pewnie, oprócz Marylki, boleśniejszem odemnie to kazanie nie przejęło wzruszeniem, bo wszak to brat mój rodzony.... a jednak czułam się wielce zbudowaną w duchu chrześcijańskim i umocnioną w wierze.

— Daruj pani, ale brat jej był wzorem obywatela, w życiu rodzinnem jako mąż i ojciec, a przytem najlepszym sąsiadem, dobrodziejem swej wioski ... a o tem wszystkiem ksiądz proboszcz rozmyślnie przepomniał. Brat pani był człowiekiem bursztynowego serca - czysty jak łza - a ksiądz proboszcz....

— Proboszcz (: przerwała panna Gertruda :) przedstawił nam ... życie przed oczy znikomość rzeczy ludzkich i marność najświętszych ... czasy ... świata bez ... Gertruda ...

* Usprawiedliwiając żony swoje iż z powodu wielkiego zimna na pogrzeb przybyć nie mogły, - drudzy przybyli zaniepokojeni o zdrowie Marylki, zapraszając ją do przebycia przez czas jakiś u nich w gościnie dla zatarcia pierwszych wrażeń sieroctwa, inni pospieszyli

(a oraz i pewną że tak powiem klasztorną powagą,

Przyjęła ich panna Gertruda zwiełka uprzejmością, ale widocznie wrażenia dnia tego wyczerpały nieco jej siły, wspomnienia lat dziecięcych w tym dworze spędzonych, mara przeszłości za każdem budząca się miejscem, potargały systemem nerwowym, zwykle tak posłusznym jej woli, bo głos jej drżał, drżały ręce, wstrzęsła się cała gdy wróbel uciekający przed swoim rywalem uderzył o szybę okna, wstrzęsła się na stuk upuszczonego ciężkiego w przyległym pokoju przedmiotu, wzdrygnęła się nawet za każdem drzwi otworzeniem.

— Ale wcześnie upatrzyła panna Dzierska podobieństwo pana do nieboszczyka Seweryna — tego nie pojmuję! — zauważał p. Stanisław.

— Jak pięść do nosa! — dodał p. Marcin. Seweryn mały, drobny, chudy jak szczypa — a Adaś rosły chłop co się zowie, a twarz okrągła i rumiana jak pączek w maśle, — Adaś ma złote runo na głowie — a nieboszczyk nie miał ani jednego włoska...

— Coś może w oczach... czoło... nos — rzekł po chwili pan Teofil.

— Eh nie, już prędzej usta — dodał p. Teodor. — Tylko że nieboszczyk nosił brodę...

— W młodszych latach — kiedy p. Seweryn był jeszcze zdrów i dobrze wyglądał... ha, może panna Dzierska, tak sobie przypominała brata! — dorzucił p. Teofil.

— Et, — zakonkludował p. Marcin obracając się do p. Teodora — jakoś powiedział sąsiedzie: gdyby ty nieboszczyk wrócił — a w tej samej chwili drzwi się właśnie otwarły. To się nieboszczyk przewidział, bo go skrzywdziła i miała złe sumienie. Chciała się potem tłumaczyć z swego przestrachu i powiedziała że Adam do nieboszczyka podobny — oto i cała rzecz — moim zdaniem...

(ucho p. Marcin) A mówiłem Ci Adasiu pospiesz się! Widzisz ty teraz inaczej śpiewał!...

Adaś uśmiechnął się jakby był swego zwycięzcą.

— — — —

Usiadła Ciocia przy łóżku Marylki i chcąc chorą i strapioną rozerwać, zaczęła jej opowiadać o gościach przybyłych z wymienieniem wszystkich.

— Czy jest tam i p. Liwocza? — zapytała z lekkim rumieńcem.

— Jest. Czy to bliski wasz sąsiad?

— O nie. On mieszka stąd o mil trzydzieści. Ale przebywa często u pana Marcina, wuja swej matki, i wtedy jest u nas prawie codziennym gościem.

Ciocia dostrzegła znowu żywszy rumieniec na twarzy Marylki. Śledząc ją badawczym wzrokiem zapytała z widocznym wahaniem:

— Czy może stara się o Twoją rękę?

— Moja ciociu, ja nie wiem jak na to odpowiedzieć...

Skraśniała na twarzy jak jabłuszko i po chwili namysłu dodała:

— Juścić stara się... ale nie tak jak to ludzie rozumieją... a nawet niepotrzebnie się starać...

— Jakto?... czy oświadczył się?

— Nie. Ale mój Ojciec tak go lubi, że on się niepotrzebuje „starać”... bo wie dobrze...

— Że go kochasz? — dodała ciocia z pospiechem a wymówiła ten wyraz takim tonem jakim zwykły go wymawiać stare panny. W ich ustach wyraz miłość brzmi zwykle tak dziwnie jak wyrazy czkawka lub fluksja, a czasem jak wyraz: oszustwo.

Marylka nic nie odpowiedziała. Patrzała tylko zapłakanemi oczkami na Ciocię z jakimś niepokojem.

— Moje dziecko, — mówiła ciocia dalej starając się niby złagodzić surowy ton głosu: — ty jeszcze nie wiesz wcale co to jest „kochać”!... Jeżeli ci się pan Liwocza zalecał, a nie oświadczył się dotąd, — to po prostu bałamucił cię i nic więcej. To rzecz bardzo zwykła u dzisiejszej młodzieży...

— Ciociu! — zaprotestowała Marylka przymilając się jak koteczka — o nie! pan Liwocza nie taki!... Jeśli się nie oświadczył dotąd — to się miał oświadczyć — ojcu....

I na wspomnienie ojca znowu łzy jej puściły się strugą po twarzy.

— Jeszcze przeszłej jesieni — dodała — zapowiedział swój przyjazd z ojcem...

— Z swym ojcem! — podchwyciła żywo panna Gertruda a głos jej drżał... A więc jego ojciec żyje?

— Tak ciociu. Jego ojca wiązała z moim przyjaźń serdeczna z czasów szkolnych...

— Aaa — tak, przyjaźń... wiem... przyjaźń powtarzała ciocia z szczególniejszą intonacją głosu. — I cóż twój Ojciec? — pytała dalej — czy wspominał ci o nim kiedy?

— Pocóż miałam mówić (z nim i o tem,) — przecież nas zawsze widział...

— I nigdy nie mówił z Tobą?...

— Wiem [illegible] potrzebował mi nie[illegible]

[illegible] rozrzewnienia, zadrżawszy się [illegible], a kolory wracały na twarzy. Wpół nieprzytomna pod wpływem silnego wrażenia, czuła jednak że na nią patrzą, że z tego dziwnego wykrzyku wytłumaczyć (i pomieszania) się należy.

— Taki podobny!... szepnęła czy to sama do siebie, czy na usprawiedliwienie przestrachu.

— Do kogo [illegible] Mościa Dobrodziejko? zapytał p. Marcin.

Na dźwięk lubego głosu oprzytomniała panna Gertruda. Lekkim rumieńcem oblała się twarz. —

— Do nieboszczyka! — odrzekła zmięszana.

— Do p. Seweryna? — zapytali p. Marcin, p. Izydor i p. Teofil jednocześnie, wielce zdziwieni; trudno było bowiem dopatrzeć się podobieństwa między jasnowłosym młodzieńcem o błękitnem oku, smukłej postawie i wyrazistych a czysto słowiańskich rysach, a tym starcem (ściągłej twarzy, greckiego profilu. Pan Marcin miał już na ustach pytanie w czem polega mniemane podobieństwo i zaczął swoje przysłowiowe: „Moja Mościa Dobrodziejko...” gdy p. Liwocza pociągnął go za rękę, prosząc:

— Chciej mnie przedstawić pannie Dzie[illegible]skiej.

— Adam Liwocza! — prezentował p. Marcin.

Na dźwięk tego nazwiska dziwne jakieś trudne do określenia wrażenie odzwierciedliło się na twarzy panny Gertrudy, (najpierw lekki rumieniec przebiegł po licu, potem jakby zamęt sprzecznych uczuć przewiał po czole, bolesnym jakimś uśmiechem zadrgnął na ustach; żywszym blaskiem zapłonęły oczy i wyjedzej [illegible] nagle ściemniały się, zpochmurniały i skryły powieką. Gdy je napowrót podniosła, twarz już zupełnym oblała się chłodem a wzrok wyrażał coś podobnego do utajonej niechęci.

Skłoniła głową i wstając rzekła:

— Daruj pan, ale niespokojna jestem o moją siostrzenicę...

— Jakże się teraz ma panna Maryla? — zapytał Adam.

— Bardzo była cierpiąca — teraz nieco się uspokoiła.

— To niegodziwość proboszcza przyczyną tych mdłości! — zawołał Adam z prostotą.

— Śmierć Ojca bez pociech religijnych, powiedz pan raczej, — odparła p. Gertruda z przyciskiem. I dodała (więcej zniżonym jak do prośby głosem:

— A śmiem prosić, abyś pan w naszym katolickim domu, wyrażał się zastanowiej o sędziwym kapłanie, który jest dla nas zastępcą Boga na ziemi...

To rzekłszy skłoniła się i wyszła zanim Adam zdołał zebrać się na odpowiedź. Odurzony takiem dictum acerbum stał przez chwilę nieruchomy tam gdzie go zostawiła panna Gertruda.

Zaśmiał się p. Marcin:

— A co? zapomniałeś języka w gębie Adasiu?... Z jednego drzewa i krzyż i łopata. Tak ona podobna do swego brata z sposobu myślenia i z charakteru jak ty do niego z twarzy.

— A któż utrzymuje żem podobny do p. Seweryna?

— Ona. Powinna by się za to lubić, a patrzała [illegible] uciekała, jakby się chciała połknąć. (i I dodał na

Jakto! – czy chciałabyś pani, aby pochwalił nieboszczyka za to że w kościele nigdy nie bywał, postów nie zachowywał a umarł bez pociech religijnych?... On przedstawił nam jego życie i śmierć jako odstraszający przykład dla indyferentów, dla ludzi obojętnych w wierze, wymykających się z kościoła, – a tem samem szkodliwy wpływ przekonań nieboszczyka, najlepiej przyczynił się jego duszy.

— (Moja Mościa Dobrodziejko,) Pani chyba nie kochałaś swego brata! – rzekł jeden z obecnej szlachty, pan Marcin z energicznym gestem, poprawiając się w fotelu.

I potrafił przypadkiem, oparta o poręcz krzesła nieodstępną swoją laskę z obciętą gałką, która uwadziła i wielkiego narobiła hałasu. Wzdrygnęła się znowu panna Gertruda.

— O kochałam go kochałam lepiej od jego licznych (odpowiedziała z przekąsem:) przyjaciół – bo kochałam go po chrześcijańsku. Nie byłam ślepą na jego zalety, bo znałam go przecież od dziecka. Wiem że był synem najlepszym, najprzykładniejszym bratem; wiem jakim był mężem dla nieboszczki żony, jakim ojcem dla Marylki; wiem że był dobrodziejem dla swoich włościan, że był obywatelem wzorowym, pełnym poświęcenia dla każdej sprawy publicznej.... wiem to wszystko! ale wolałabym aby był najgorszym bratem, najniegodziwszym ojcem i obywatelem (żeby był prostym zbrodniarzem, kryminalistą!) – a nie zrywał z kościołem, żył jak katolik, spowiadał się i zaopatrzony wszystkiem przeniósł się na tamten świat, strzeżony i pomazany olejem świętym...

Dziwnie wstrętne wrażenie wywarła na obecnych ta przemowa. Nowożytne pojęcia zbyt głęboko zakorzeniły się w oświeconych warstwach naszego społeczeństwa aby żarliwość taka w wierze znalazła jeszcze uznanie i bezstronnie mogła być osądzona.

— Co do mnie, moja Mościa Dobrodziejko, – rzekł p. Marcin, – ja to kazanie przypisuję tylko osobistej jakiejś zawiści do nieboszczyka i wypaliłem już proboszczowi verba veritatis z tego powodu.

— Najlepiej podać do gazet! – rzekł p. Stanisław, – i napiętnować naleźycie!...

— Mój Boże, – westchnęła p. Gertruda spuszczając głowę z rezygnacją męczennicy: – i ludzie twierdzą że kościół nie jest uprzemieżony!

— Moja Mościa Dobrodziejko! wybacz, ale żeby pierwszy lepszy klecha miał prawo znieważać, zambony! pamięć porządnych ludzi a nam nie wolno było ująć się za zmarłym....

— Zachowaj Pani, – przerwał mu p. Izydor, – gdyby teraz drzwi się otworzyły i nieboszczyk stanął nagle między nami....

Jak na zawołanie otworzyły się drzwi, panna Gertruda mimowoli podniosła zwieszoną głowę i....

— Aaaa!... wrzasła głosem najwyższego przerażenia zrywając się naraz z siedzenia.

Wszyscy spojrzeli ku drzwiom. Stał w nich...

... nie nieboszczyk zaiste, ale p. Adam Liwocza z twarzą jaśniejącą rumieńcem zdrowia i młodości. Utknął w miejscu, nie umiejąc sobie wytłumaczyć tego okrzyku i tych oczu wszystkich obecnych zwróconych przez chwilę na niego, a następnie na pannę Gertrudę.

Panna Gertruda przez chwilkę jeszcze siedziała blada, nieruchoma z oczyma utkwionemi w przybyłym młodzieńcu, z wyprężonemi kataleptycznie palcami rąk. – Wnet jednak wyraz przestrachu ustąpił z jej rysów i ustąpił w wyraz boleśnego takiego

Obacz stronę odwrotną!

bo wszakże widziałam jak go lubi...

— Może go lubić jako gościa — przerwała niecierpliwie panna Gertruda, nie szczędząc sobie na zięcia...

— O nie ciociu, nie!... ciocia nie wie, p. Adam przyjechał na chwilę przed skonaniem Ojca... i...

I na to wspomnienie łzy zmieniły się w głośne łkanie. Niemogła już mówić dalej.

— Maryniu, daj pokój tej niewczesnej rozmowie w dzień pogrzebu ojca! — lodowatym tonem mówiła panna Gertruda a drżał jej głos pod wpływem gwałtownego rozdrażnienia, które napróżno pokryć usiłowała. — Nie dziwię się że się irrytujesz... Mówić o zamęściu we trzy dni po śmierci Ojca... i to po takiej śmierci... okropnej! (: Tu podniosła głos, skraplając się na zimno jak przeorysza zakonu:) ...okropnej (śmierci)! bez Boga i sakramentów!... No, no, uspokój się, uspokój biedne dziecko! (: rzekła głaszcząc jej główkę:) ...nie chcę ci robić wyrzutów... nie myśl o niczem teraz, tylko módl się, módl za jego duszę!... Módl się, żeby ci dał Bóg siłę do zniesienia tego strasznego ciosu... Może cię natchnie jaka szczęśliwa myśla... (: i pocałowała ją w czoło:) — Gdyby można jaką wielką ofiarą okupić jego zbawienie!...

I padła na kolana przed kopią murillowej Madonny, zawieszonej na ścianie obok łóżka Marylki.

Marylka nic jej nie odrzekła, nie poszła za jej przykładem, nie modliła się: — płakała.

Zmrok zimowy zapadł. Minął wieczór i noc nadeszła. Cicho, smutno w osieroconym dworze. Pierwsza noc po wyniesieniu z domu zmarłego, najboleśniejsza zawsze dla tych którzy go kochali, którzy mieszkali z nim pod jednym dachem a już go niezobaczą... nigdy! Póki trup w domu — to choć wiedzą że ich ukochany już nie żyje, że nie przemówi już do nich, czują jeszcze jego obecność, zdaje im się że on usnął — i śpi — i spać tak będzie na wieki — wpośród nich... Ale gdy go wyniosą — oh, to wcale inaczej! Wtedy ciągle wspominając go, czują że go między nimi niema; a ile razy wspomną, nasuwa im się myśl: gdzie on. I widzą go w tem odzieniu w którem schowano go do trumny, z tą twarzą bladą i smętną, widzą go w trumnie i w ziemi, głęboko, w tym strasznym dole przysypanym gliną, przydeptanym. Tak tam ciemno!... tak duszno... tak ciężko... a wilgoć taka ciężka na niego!... On leży w tem łożu niechlujnem i powstać nie może.... śnieg i zawierucha na świecie — jakże tam w grobie musi być zimno!...

Nie, nie! precz chorobliwe mary wyobraźni! Wszak on nie czuje — jego już nic nie boli. — Kostnieją od mrozu jego ręce — ale te ręce nie czują.... Robactwo wkrótce będzie pełzać po nim, i toczyć będzie jego twarz, jego usta i oczy. Usta których zda nam się że czujemy jeszcze pocałunek, jego oczy, tak sercu naszemu pamiętne, toczyć będzie robactwo... ale on o tem niebędzie wiedział, on tego niebędzie czuł... A więc bądźmy spokojni o niego: on tego nie czuje... nic mu się tam przykrego nie dzieje, bo choć tam tak strasznie byłoby żywemu — to on tego nie czuje... nie czuje...

Ha, ale my czujemy za niego! My go tam

widzimy, takiego jakiegośmy żywym znali — i tak nam przyjdzie na myśl o tem zimnie, o tej wilgoci, o tym grobie ciemnym i dusznym... jakbyśmy go tam żywego widzieli! To on!... ha, on nie czuje — on umarły... ale to zawsze on! — W bolesnem kółku obraca się nasza myśl, nasze uczucie i tak nam jest jakby z nim, z naszym drogim coś okropnego się działo....

Deptać po zmarłym, pluć w twarz trupowi, znęcać się nad zwłokami lub rzucić na gnojną kupę i psom dać na pożarcie — to oburza żywych, choć trup tego nie czuje. A coś nakształt tego samego oburzenia odzywa się w nas zawsze gdy stoimy nad grobem otwartym i gdy spuszczają weń trumnę... Czy w słońca promieniach czy w ciemnościach grobu oddać drogie te zwłoki zgniliźnie, czy psom, czy robactwu — wszak to jedno i to samo! Budzi się coś nad grobem otwartym w sercach szlachetniejszych ludzi — jakby świadkami byli świętokradztwa... Tysiąc zmarłych odprowadza na cmentarz w swem życiu — a nie stępi się to uczucie.

Wśród blasku płomieni ulatał oczyszczony w ogniu duch greka lub rzymianina w świetlane sfery i w cieniów krainę a ciało zmienione w popiół w kosztownej urnie ocalone od plugastwa, zgnilizny, zniewagi, relikwią się stawało i przedmiotem kultu. A dziś? ohydny żydowski obyczaj panuje cywilizowanemu światu, depcząc niemiłosiernie wszelkie szlachetniejsze instynkta. Lepsza kiedyś ludzkość wzdrygać się będzie na wspomnienie tych czasów ludzi którzy zwłoki swych ukochanych zmarłych zakopywali w ziemię jak ścierwo zwierzęce!

— — — — —

Przez większą połowę nocy nie mogła usnąć Marylka. Nazajutrz jednak pokrzepiona nieco snem porannym chciała wstawać. Wzbroniła jej tego ciotka, uznając że tak silne wzruszenie jakiego doznała, wymaga aby jeszcze dzień jeden odpoczęła w łóżku. Sprzeciwiał się temu lekarz, i nadaremnie dowodził iż Marylka tem rychlej przyjdzie do siebie czem prędzej powróci do zwykłych swych zatrudnień i przestanie oddając się bezczynnie bolesnemu rozpamiętywaniu.

— Pan Doktor daruje, lecz ja znam lepiej moją siostrzenicę i wiem czego jej potrzeba... odcięła mu bez namysłu panna Gertruda.

Lekarz o mało że się wgłos nie roześmiał.

— Pani się myli — ja pannę Marylkę znam nie od wczoraj! — rzekł z przekąsem.

— Ja ją znam lepiej... jako kobieta — i wiem że jej przedewszystkiem potrzeba się wypłakać w spokoju...

— Płakała już, płakała już dosyć, więcej będzie niezdrowo.

Nie odpowiedziała na ten argument panna

Gertruda – i odeszła.

Wzruszało ramionami stare(, niemczysko; potrząsał głową, zażywał tabakę i gryzł potem otabaczone paznokcie; poprawiał obcisły halsztuk machinalnym wyciąganiem szyji; skubał rudawo-siwe faworyty, kręcąc w kółko kosmykiem włosów jakby korbą pozytywki.

— Armes Kind!.. Die alte Hexe wird sie zu Tode quälen!...

Panna Gertruda tymczasem zajęła się dokładniejszem zwiedzaniem domowego gospodarstwa, poznaniem służby i wydawaniem rozporządzeń które cały porządek domowy zmieniały. Meble nawet w niektórych pokojach kazała przy sobie poprzestawiać, [illegible] a w odpowiedzi na śmiałe a naiwne pytanie zgorszonego starego Gregora: „Po co to, proszę pani?" rzekła mu wyjaśnić, że zatrzymanie dawniejszego porządku i rozkładu, niedozwoliłoby się utulić w żalu pannie Maryli, gdyby jej wszystko ciągle przypominało Ojca. – Trzy szafki z biblioteką nieboszczyka kazała tymczasem wynieść na strych, podejrzywając zapewne że w nich się znajdą heretyckie i bezbożne książki, które później spalić wypadnie. – Dokonawszy tego dzieła, [illegible] i wydawszy niche niezadowolonej służbie, jeszcze kilka rozporządzeń w duchu zaprowadzonej reformy, przyniosła swój portfel podróżny i zasiadła przy biurku nieboszczyka do pisania listów.

[illegible]

Szybko biegało pióro po papierze szybszą gnane myślą. Nie minęło pół godziny a kilka już listów napisanych i zaadresowanych leżało na biurku. Przy ostatnim jednak zadumała się głęboko, odłożyła pióro, ręką przysłoniła oczy, jakby zakryć chciała przed wzrokiem to co ją otacza i przenieść się myślą gdzieindziej. Westchnęła, a gdy po chwili biorąc za pióro zjęła ręce z twarzy, opadła z jej rysów zwykła lodowa powłoka surowości;, zaokrągliły się ostre ich kontury, omiliły się jakimś pół uśmiechem – smutnym ale miłościwym.

Umaczała pióro po dwakroć w kałamarzu i zadumała się a po dwakroć wysechł na niem atrament. Rozmarzone oczy jej teraz wypiękniały, dziwną jaśniejące tęsknotą. Po chwili z jednej [illegible] ze skrytek portfelu wydobyła pugilares z kilkoma fotografiami, przerzuciła je szybko, na jednej wzrok się jej zatrzymał.. Podpis jednego z najnowszych fotografów stolicy na odwrotnej fotografii stronie świadczy że to świeżo zrobiony portret. Ale czyj?...

Czy mamy zdradzić tajemnicę? Spojrzyjmy raczej na twarz panny Gertrudy. Jakież szczególne przeobrażenie tych chłodnych staropanieńskich rysów! Patrząc na nią w tej chwili, niewidzisz zmarszczeków pod oczyma ani siwiejących na skroni włosów – widzisz tylko i czujesz że była kiedyś piękną, może bardzo piękną..

Fotografia (była wizerunkiem [illegible]) młodego mężczyzny... Położyła ją przed sobą na biurku i zaczęła pisać.

„Droga Przyjaciółko!"... od tych słów list się zaczynał...

— Przyjechał pan Liwosza! – zameldował kamerdyner stając we drzwiach gabinetu.

Odrzuciła pióro z gniewem, schowała fotografię do portfelu.

— Prosić tutaj! –

I zaszła przemiana w wyrazie jej twarzy, jakby nagły podmuch zimowego wiatru mrozem po niej przewiał.

Przyjęty chłodno a nawet niegrzecznie, zachował jednak Adam zwykłą swą w rozmowie swobodę. Mówił do panny Gertrudy nie jak do osoby obcej i niegrzecznej, ale jakby do starszej krewnej będącej w złym humorze: z uszanowaniem ale i z pewną nierażającą się chłodem serdecznością. Panna Gertruda ograniczając z swej strony w tonie [illegible] i w tonie swych odpowiedzi uprzejmość gospodyni do jaknajmniejszych rozmiarów o ile tylko grzeczność przyswojona [illegible] na to dozwalała, niemniej w ciągu rozmowy nie spuszczała z młodzieńca swych oczu, a mieniła się i bladła na przemiany.

— Przyjechałem dziś złożyć paniom me uszanowanie aby je pożegnać.

— Wyjeżdżasz pan z tych stron?

— Oczekiwałem tu przyjazdu ojca, który się spodziewał zastać jeszcze przy życiu pana Seweryna, przyjaciela ze szkolnej ławy, tymczasem wczoraj

13

wieczorem wróciwszy stąd do wuja Marcina, zastałem ~~tam~~ list ojca wzywający mnie do powrotu. Ojciec cierpi na gościec i jak się domyślam musi mu być gorzej, a pora zimowa nie sprzyja podróży w tym stanie rzeczy...

— A, w samej rzeczy, niezwykłe mrozy ~~tej~~ zimy.

~~[illegible] panna Maryla dziś [illegible]~~ — Zawód ten równie bolesny dla mego Ojca jak dla mnie.... Pani wiadomo jaka nadzieja wiązała się z tym ~~[illegible]~~ niespodziewanym przypadkiem. Ojciec chciał prosić ś.p. pana Seweryna o rękę córki dla mnie...

— Czy tak?

— Czyżby panna Maryla niemówiła pani jeszcze? — Nadzieja ta najdroższa spełniona ~~[illegible]~~ na wpół została — ~~bo~~ ostatniem słowem pana Seweryna było błogosławieństwo na nasze głowy złożone — a słowo „Moje dzieci" z jednak....

— Jakto? — zapytała gorączkowo panna Gertruda szamocąc się z rozdrażnieniem swych nerwów — jakto? ~~[illegible]~~ łącząc pobłogosławił pana i Marylkę? i rzekł: moje dzieci?

— Tak pani... W tem miejscu gdzie pani siedzisz wyrzekł te wyrazy, bo w tem miejscu stało jego łóżko....

(Coś niby mrowie przebiegło ciało wzdłuż kości pacierzowej.)

— Któż był przy ~~[illegible]~~ jego śmierci? — zapytała po chwili jakby z niedowierzaniem.

— Oprócz nas dwojga ~~[illegible]~~ doktora, i służący... ah, prawda! i proboszcz wszedł był w tej chwili do pokoju...

— „Moje dzieci" rzekł? — powtórzyła raz jeszcze panna Gertruda. — ~~Ale~~ czyż pan mu się przedtem oświadczyłeś o rękę Marylki?

— Nie pani, ale on wiedział że ja kocham pannę Marylę i że ~~[illegible]~~ ona mi sprzyja...

— Któż może dziś twierdzić co on wiedział a czego nie wiedział — i co myślał mówiąc te wyrazy: „moje dzieci"? — Któż zgadnie co mu się wtedy marzyło w gorączce...

— Wybacz pani, ale on był zupełnie przytomny aż do ostatniej chwili... lekarz to może pani poświadczyć...

— Lekarz jest protestant. A i mój brat gdyby był miał przytomność toby ~~[illegible]~~ był żądał pociechy religijnej.

— Daruj pani, ale wedle tej zasady, ktokolwiek nie umiera tak jak tego żąda ~~[illegible]~~ kościół katolicki, ten umiera nieprzytomnie...

— Czyż tak nie jest?... Kto w ostatniej chwili, w obliczu śmierci, ~~[illegible]~~ zaniedba o żywot wieczny i o zbawienie swej duszy — temu trudno przyznać że umiera w pełni rozumu i przy zdrowych zmysłach...

— Nie ~~[illegible]~~ ośmieliłbym się z panią wdawać się w spór teologiczny, ale wedle pojęć zwykłych naukowych, świeckich, ~~[illegible]~~ nieboszczyk umierał z zupełną przytomnością umysłu. Jego ostatnie wyrazy ~~[illegible]~~ brzmią mi dotąd w pamięci jakbym je teraz słyszał, czuję jeszcze rękę jego z błogosławieństwem na mojej głowie złożoną — wspomnienie to jest dla mnie świętością i najdroższym skarbem i do śmierci nim być nie przestanie, a od chwili owej uroczystej śmiem się uważać za narzeczonego panny Maryli... Przez cześć dla jej ~~[illegible]~~ boleści po stracie ojca, niemówiłem z nią o tem, ale niewątpię że i ona ~~[illegible]~~ w duszy uważa się za zaręczoną mi przez umierającego Ojca...

— Nie zdaje mi się. Ale gdyby nawet i tak było, to musiałabym to uważać za poetyczną mrzonkę i nic więcej... Marylka zbyt jest jeszcze młoda i zbyt mało ma doświadczenia, aby mogła sama stanowić o swoim losie. Zastępując jej matkę niemogłabym dozwolić aby krok tak ważny w życiu uczyniła ~~tak~~ lekkomyślnie i bez należytego ~~[illegible]~~ zastanowienia...

— Więc pani nam jesteś przeciwną?...

— Nam?... Panu — bynajmniej, tylko pana za narzeczonego nie uważam, i stanowczo przestrzegam abyś się pan za niego nie uważał...

~~[illegible] z panną Marylą o tem [illegible]~~...

~~[illegible] Marylka jest [illegible] i dziś [illegible] nie widzi [illegible]~~...

— A więc pozwalasz mi się pani starać o rękę swej siostrzenicy?

— Sądzę że pan zbyt wiele masz delikatności uczucia abyś zamyślał rozpoczynać konkury w czasie żałoby...

— Jam je rozpoczął już przed dwoma laty i radbym je zakończyć ~~[illegible]~~ szanowna pani!...

— Zdaje mi się że o oświadczynach nie może być mowy zanim Marynia nie zrzuci żałoby. W każdym razie proszę stanowczo, abyś ~~[illegible]~~ pan o nich teraz nie myślał, gdyż byłabym zmuszoną stanowczo odmówić...

— A więc raz pani pozwoli abym pożegnał pannę Marylę.

— Marynia jest cierpiąca — i dziś pan się z nią widzieć nie możesz.

— A zatem wstrzymam mój wyjazd do jutra...

— Wątpię abym jutro pozwoliła Maryni wstać z łóżka — a tem bardziej abym ją mogła narazić na denerwującą scenę jaką pan widocznie przygotowujesz...

— Nie wiem czem zasłużyłem na tak niekorzystne mniemanie... Mogę panią zapewnić słowem że żadnej sceny nie przygotowuję. Raz jeszcze śmiem prosić panią — dozwól mi widzieć pannę Marylę!... (błagam panią o to!) W domu jej ojca byłem zawsze witany serdecznie, i zdaje mi się żem zdobył sobie prawo zwać się przyjacielem tego domu i jej przyjacielem...

— Bardzo panu jestem wdzięczna za to życzliwe dla nas usposobienie, ale obowiązek mój jako opiekunki Maryni, inaczej pojmuję, aby życzliwość pańska mogła mnie skłonić do zmiany postanowienia w tej mierze... Jakże zdrowie pana Marcina?

— Wyborne pani...

Tu Adam chwycił za kapelusz i oddając głęboki ukłon pannie Gertrudzie wyszedł z pokoju.

— — — — — — —

Kazał zaprzęgać do sanek, a czekając na nie w przedpokoju, rozmawiał tymczasem Adam z starym Grzegorzem o nieboszczyku panu.

— Czy Wielmożny Pan widział się z panienką?

— Nie, mój Grzegorzu. Wszakże panna Maryla w łóżku, jak mi mówiono.

— Eh, to starsza panna wstać jej nie daje, bo chciała nowe zaprowadzić porządki, ale nasza panienka zdrowa. Gdyby wiedziała że Wielmożny Pan przyjechał, to pewnieby wstała...

— Tak sądzisz mój poczciwy Grzegorzu?

— A czy to ja nie wiem Wielmożny Panie? czy to ja nie mam oczu?.. Byle tylko Wielmożny Pan prędko już został naszym panem... bo tymczasem starsza panna dom cały i gospodarstwo do góry nogami przewróci.... Po co to czekać? Nieboszczyk pan, Panie świeć jego duszy, już pobłogosławił, to teraz ino ślub wziąść w kościele..

— Nie tak to łatwo mój Grzegorzu jak ci się zdaje. Panna Gertruda (nie łaskawa dla mnie, ot widzisz że) nawet mi się widzieć nie dozwala z panną Marylą...

— Eh, to tylko dzisiaj..

— Nie, mój stary, i na jutro zapowiedziała toż samo. Odjadę — bez pożegnania, a muszę odjechać

bo mnie wzywa chory mój Ojciec.

— Oj, to źle!.. jakżeby to mogło być żeby się Wielmożny Pan przed odjazdem z panienką nie widział! Ja zawołam Rusię to ona zaraz pójdzie do panienki i powie że pan tu jest… Albo może pan kartkę napisze do panienki? Rusia zaniesie.

Nie potrzebował Grzegorz namawiać Adama do napisania słów kilku do Marylki. Za chwilę poniosła już jej pokojówka Rusia bilecik drobniutkiemi drżącemi zapisany głoskami. Był to pierwszy liścik jaki do niej napisał — a oraz pierwszy liścik miłosny który ona odebrała w swem życiu.

Droga moja Pani!

Mój Ojciec chory — wzywa mnie do siebie. Jutro muszę wyjechać. Ciocia na mnie bardzo niełaskawa. Zapowiedziała mi dziś nieodwołalnie że niepozwoli pożegnać się z Tobą. Jeśli sprzyjasz mi jeszcze, jeśli ci święta pamięć ostatnich słów zmarłego i jego błogosławieństwo złożone na nasze głowy w chwili skonania, odpowiedz mi i oznacz czas kiedybym mógł z Tobą się widzieć.

Twój wierny do grobu

Adam.

Czy pamiętasz Szanowna Czytelniczko uczucie którego doznałaś otrzymawszy pierwszy liścik z słowami miłości od tego którego kochasz? O pamiętasz! Tego uczucia, tego wrażenia, tej chwili nie zapomina się nigdy w życiu. Pali cię ten liścik w paluszkach jak węgiel żarzący, zdaje ci się trzymając go żeś się nie pisma dotknęła, ale jego, jego samego, żeś położyła rękę na jego sercu bijącem, że duszę jego trzymasz w twej dłoni. Niby stało się coś arcyważnego, niesłychanego na świecie i skwapliwie chciałabyś powiedzieć oczyma te słówka dobrej wieści — aby się dowiedzieć: co? I niby znowu nieczytając wiesz już wszystko co się tam mieści. Bije ci pulsa w piersiach i w skroniach i w paluszkach, drżą ręce, odetchnąć trudno, w oczach się ćmi…

A gdy przeczytasz — to niby rozumiesz wszystko a niby nic. To ci zdaje że wiesz z jakiem każda myśl, słowo, litera pisane były uczuciem, to znowu że nie wiesz nic. To cię wszystko w nim zachwyca, czaruje; to znowu brak ci tam wszystkiego coby świata dziada aby ci on był powiedział a czego tam niema… Dogodzisz się wreszcie ze wszystkiem co w nim jest i wszystko ci się nakoniec w nim podoba, każda koślawa litera, każdy zakrętas jego pisma, — wszystko to ci miłe, za żadne skarby świata nieoddałabyś tego skarbu…

…Ale odpisać, odpisać trzeba i to spiesznie! Ach, jak to trudno!.. Chciałabyś powiedzieć mu tyle — powiedzieć mu wszystko… no, nie wszystko, ale zawsze bardzo wiele — a strach cię przejmuje. Chciałabyś mu to powiedzieć… czego może nawet szepnąć półgłosem brakłoby ci odwagi, a tu napisać to potrzeba — czarno na białem! Nigdy, nigdy!.. A jednak — jak nie napiszesz, co on pomyśli wtedy? jak jemu będzie boleśnie!.. Trzeba napisać… Nie, nie można… Tego nikt nie powinien słyszeć ani widzieć tylko on — a list… gdyby dostał się komu innemu do rąk!.. Nie, nie, Rusia mu go odda, jemu samemu — a on, on przechowa go na sercu… ach!..

Trzeba napisać! Ale co? ale jak? Jakich słów dobrać? Tak, tak będzie dobrze… Nie, tak źle. Tak (mu) się może niepodoba — a twe pismo nieładne — a tybyś chciała aby wszystko było tak piękne jak poemat, piękniejsze niż słowa Marji Malczewskiego, niż słowa Julietty w Szekspirze… Czas leci, czas leci! gotów cię kto zastać przy tem pisaniu!.. Trzeba pisać, cobądź — cobądź… on to będzie czytał oczyma miłości… on zaślepiony, jemu podoba się wszystko… pisz, pisz…

Naglił[?] Rusia o odpowiedź. I Maryla zaczęła pisać:

Jutro Niedziela — msza o godzinie 11tej…

W tem słychać kroki Cioci w drugim pokoju…

…. mój Boże! co zrobić?… on dorozumie się reszty..

… I oddała Maryla liścik Rusi. — —

— Mówić z nią niebędę mógł! Przynajmniej ją obaczę i pożegnam przy wyjściu z kościoła! — tak pomyślał Adam otrzymawszy zaczęty liścik. Niepotrzebujemy dodawać że Rusia czerwonym dukacikiem opłaconą została za tę usługę.

* * * * * * * * * * *

Nazajutrz przed jedenastą Adam był już w kościele. Kościółek mały, przepełniony, ludu wiejskiego jak nabito; w ławkach najbliżsi sąsiedzi należący do parafji. Ławka kolatorska przy wielkim ołtarzu jeszcze próżna. Panny w eleganckich futerkach pochyliły głowy i z książeczek nabożnych czytając modlitwy, ale czasem z pod zimowych kapeluszików zerkają na dorodną młodzież stojącą bądź to w środku nawy, bądź też pod amboną. — W tem ostatniem miejscu stał i Adam, ława kolatorska prawie naprzeciwko kazalnicy.

Młodzież ogląda się po za siebie na zrumienione od mrozu twarzyczki, udziela sobie na ucho rozmaite spostrzeżenia; większy nawet ruch między niemi niż bywa zwykle w kościele, niepokój jakiś, jakieś ciągłe szepty i znaki porozumienia. Adam stoi nieco na uboczu, nie miesza się do tych niewczesnych pogawędek.

W tem ruch jakiś od strony zakrystji i wchodzi bocznemi drzwiami w niebieskich liszkach panna Gertruda. Uklękła przed wielkim ołtarzem, pochyliła się twarzą dwukrotnie aż do ziemi a wstawszy po krótkiej modlitwie usiadła w ławce kolatorskiej.

Czemu sama? Czy Maryla chora? czy ciotka wstać jej niedozwoliła?… albo może słowa wczorajszego biletu znaczyły: „Jutro niedziela — msza o 11tej — ciocia dewotka będzie w kościele a mnie samą w domu zastaniesz…”? O tak,

niezawodnie!

I wyrzekał począd Adam na swoją niedomyślność. Chciał wyjść z kościoła – było już zapóźno, zadzwoniono i w tej chwili proboszcz wyszedł ze mszą świętą. Wyjść teraz było niepodobna – a i ścisk niesłychany przeszkadzałby się do drzwi nie dopuścił. Może się uda wysunąć się przed kazaniem.

Pleban miejscowy był jednym z tych nielicznych kapłanów którzy ofiarę mszy odprawiają nie machinalnie i automatycznie ale z prawdziwą powagą i namaszczeniem. Głos jego silny i dźwięczny, wyraz twarzy pełen zachwytu religijnego niezwykle mógł sprawiać wrażenie na wszystkich którzy umieją podnieść ducha i modlić się z taką gorącą wiarą (z jaką on) się modlił...

Tu – idąc za tradycyjnym kierunkiem powieściopisarstwa polskiego wypadałoby nam się rozrzewnić nad dziecięcą wiarą, głęboką prostotą wiejskiego ludu, wspomnieć potem o tej nierozerwalnej spójni która łączy sędzinę z bogaczem, chłopka z szlachcicem jednością modlitwy, wspólnością uczuć w domu Bożym, rozpisać się szeroko jak skruszone serca czerpią balsam ukojenia z tej przenajświętszej krynicy, jak zwątpiali znajdują siłę, znękani pokój, zrozpaczeni nadzieję i jak powaśnieni grzesznicy ze słowiczą braterskie ku sobie wyciągają ręce i t.d. i t.d. Potem z uśmiechem pobłażania nadmienić o naiwnych próbach niewinnych dziewczątek ... o młodzieńczej modlitwie hartującej duszę na ciężkie walki żywota ... o pełnej poddania się woli Bożej modlitwie starca i t.d... Wypadałoby może powtórzyć te wszystkie stereotypowe frazesy, odpisać je po prostu z którego znanych powieściarzy, – lecz byłoby to niezbyt zajmujące, wcale nie pouczające a co najgorsza niezbyt zgodne z prawdą....

A więc powiedzieć prawdę? Będzie wiele krzyku. – Oto, dziecięca wiara, głęboka prostota wiejskiego ludu manifestowała się bezmyślnem recytowaniem słów pacierza, przerywanem czasami spazmatycznem wzdychaniem i ziewaniem. Bardzo wielu było takich którzy nawet pacierza nie powtarzali, lub powtarzając myśleli przytem o wszystkiem innem tylko nie o Bogu. (Te kobiety) które przesuwały paciorki różańca z uroczystszem jakiemś napięciem ducha, modliły się również nie do Pana Zastępów, ale „do obrazu" swej Patronki księżnej Świętej Katarzyny który w owej parafii uchodził za cudowny. Stara Mateuszowa rozpływała się we łzach za zdechłą wczoraj krową, wedle rady swej kumy „ofiarując ją Bogu." Bartłomiej modlił się o pomyślny wyrok sądu w sporze (niezbyt czystym) z sąsiadem, ofiarując się w razie wygranej kupić Matce Boskiej dwie świece po 45 groszy każdą i powtarzał po dziesięćkroć obietnicę aby ją dobrze w niebie zapamiętano. Łukaszowa modliła się o wyzdrowienie chorego wieprza i chorego dziecięcia które same w chacie zostawiła i ofiarowała się w razie spełnienia prośby powtórzyć 60 razy koronkę do serca Jezusowego. Mikołajowa błagała Pana nad Pany aby brat jej męża, służący w wojsku, nigdy do domu nie powrócił, gdyż w takim razie potrzebaby mu oddać połowę gospodarstwa ... i t.d.

A szlachta? – Szlachta po większej części przybyła dla tego tylko do kościoła, aby chłopstwu „nie dawać złego przykładu", zachowała bowiem „z wiary ojców" tylko tę wiarę że chłopom wiara potrzebna „bo bez niej obróciłby się w samych zbójów i komunistów". Inni przybyli dla zwyczaju lub aby się spotkać z sąsiadami i pogawędzić nieco po nabożeństwie. – Matki przybyły „dla córek" t.j. dla tego żeby je pokazać ... nie panu Bogu ale światu ... a zresztą to tak pięknie jak panna jest nabożną!... Ce n'est plus à la mode d'être esprit-fort powiedziała pani Henrykowa (kiedy pana Alfonsa) gdy tenże z jakiemś heretyckiem popisywał się dowcipem, wyczytanym w najgorszym romansie.

(Ale podczas kiedy inne panie i panny odczytywały bezmyślnie

eleganckiej książki do nabożeństwa, zerkając przytem od czasu do czasu na lewo i na prawo i dostrzegając uwagi o strojach sąsiadek, — pani Leonowa zatopiona w modlitwie nie szła wcale za ich przykładem. Modliła się ona gorąco (o szczęście swych dzieci): primo aby syn się zdecydował konkurować o rękę monstrualnie brzydkiej i ograniczonej ale wielce posażnej kuzynki, secundo aby P. Bóg odwrócił serce hrabiego Gustawa od hrabianki Malwiny a zwrócił ku jej córce, tertio aby jej bogaty wujaszek, p. Bonifacy niezapisał majątku ubogim krewnym jak to zamierzał, ale jej dzieciom...

O co się modliła panna Gertruda? — Niewiemy ale widać było z jej twarzy że się modli szczerze i całą duszą, serdeczniej nawet od tych którzy w kościele modlili się tego dnia najgoręcej, od Łukaszowej proszącej o uzdrowienie wieprza i od pani Leonowej proszącej o hrabiego dla swej córki...

Po ewangelji cofnął się proboszcz na chwilę do zakrystji a zdjąwszy ornat, wstępował właśnie z klerykiem wolnym krokiem po schodkach na kazalnicę. Klęczący powstali dla wysłuchania słowa bożego. Ruch w kościele w tej chwili korzysta Adam aby się przecisnąć do drzwi. Ku niemałemu jego zdziwieniu jednak, wynosi się za nim kilkunastu z młodzieży stojącej w nawie i pod amboną. Niewiedział wcale o przygotowanej przez młodzież demonstracji z powodu owej fatalnej przemowy księdza proboszcza na pogrzebie ś.p. Seweryna. — Zgorszenie między ludem, szepty między szlachtą — a najbardziej zgorszona obrażona ze wszystkich panna Gertruda. — Spostrzegła ona wychodzącego z kościoła p. Adama i jemu przypisała pomysł i przewodnictwo w tej demonstracji. —

— — — — —

Obaczywszy Adama w kościele zdziwioną była zrazu panna Gertruda; po wczorajszej bowiem z nim rozmowie była przekonaną że już odjechał. Widząc go wychodzącego z kościoła wśród nabożeństwa, pomyślała:

— Aha, spodziewał się, że pożegna się tu z Marylą... ...Dobrze się stało że czując się słabą niechciała pójść ze mną do kościoła. Bóg łaskaw — wspiera moje zamiary! Byle się niewidzieli przez czas Mszy a wszystko pójdzie dobrze.

A po chwili nasunęła się jej myśl: — Kto wie, może on teraz zechce korzystać z mojej nieobecności w domu i pojedzie tam w nadziei widzenia się z nią?... Nic z tego, bo Maryla w łóżku.

A gdy młodzież za Adamem zaczęła się tłumnie przed kazaniem wynosić z kościoła, padła panna Gertruda na kolana, modląc się:

— Boże, Boże, zmiłuj się nad nami! Nie karz nas wszystkich za grzechy jednego! Jeśli ta zniewaga wyrządzona zastępcy Twemu w Twoim domu, jego jest dziełem i skutkiem jego namowy, o to ukarz go Panie! daj mu poczuć siłę Twego ramienia! O Jezu najsłodszy przez Twoją mękę na krzyżu pomścij przykładnie obelgę wyrządzoną oblubienicy Twojej, kościołowi Twemu! A niedozwól aby moja siostrzenica została żoną tego bezbożnika! Bądź litościw duszy mojej Panie i wesprzyj moje zamiary...

— — —

— Czy można się widzieć z panną Marylą? — zapytał Adam wyskakując z sanek.

— Panienka jest ubrana, czeka na Wielmożnego Pana.

Zrzucił z siebie futro — i jednym skokiem już był w salonie. Tam jej niema — ona w pokoju Ojca.

Wyciągnęli ku sobie obie ręce, uścisnęli dłonie — tak serdecznie, tak gorąco jak nigdy przed tem.

Chwila milczenia.

Dwie pary oczu spotkały się, w jednem długiem spojrzeniu. Jedna para świeciła miłością z poza łez, druga błyszczała młodzieńczym uniesieniem najczystszego uczucia. Za życia Ojca tysiąc razy spojrzeniem i dźwiękiem głosu powiedzieli już sobie oboje że się kochają – a gdy przed miesiącem zapowiedział jej Adam przyjazd swego Ojca i zapytał czy teraz od jej Ojca również przychylnie otrzyma odpowiedź jaką on z jej oczu czytał, wówczas podała mu Maryla rękę i odpowiedziała tylko uściśnieniem dłoni i spojrzeniem i rumieńcem i uśmiechem. Więcej on nie pytał, więcej z sobą o miłości nie mówili... Toż teraz spotkanie ich sam-na-sam – było dla nich czemś nowem, i niedoznanym dotąd nigdy było owiane urokiem. Było czemś więcej niż najgorętszem wyrażeniem miłości.

Brakło im słów – trzymali się za ręce i milczeli. Było to może bardzo śmieszne, ale – wierzajcie mi moi mili państwo – gdybyście byli kiedy w takiem położeniu i takie jak ich oboje gradu wam serca uczucie – byłoby wam tak bardzo miło w tej „śmiesznej" pozycji, żebyście to pomyśleli co pomyślał Adam: gdyby tak można całą wieczność stać, za ręce się trzymać i patrzeć na siebie!...

On nie śmiał jej ku sobie przygarnąć, objąć wpół, złożyć pocałunek na zarumienionej twarzy – ani mu to przez myśl nie przeszło. – Niegdyś jego oczy mówiły do niej: „Kocham!" i pytały trwożliwie: „A ty?" „I ja kocham!" odpowiadało jej spojrzenie. – A dziś? dziś unisono „kochamy się!" mówiły obie pary oczu. – I padały z obu stron promiennym deszczem pocałunki spojrzeń – serdeczne – namiętne a niewinne.

W jednym z wyższych z pośmiertnych światów w religji Buddhy uścisk dłoni małżeńskim węzłem zaślubia kochanków, a w wyższym niebie już tylko uśmiech, a w wyższem jeszcze – to już samo spojrzenie jest tajem miłości. Takim rajem Buddhistów była dla nich ta chwila milczenia, jedno spojrzenie zaślubiło ich na wieki.

— Oh, moja Pani!...... Marylo!... a więc tyś moja!

— Twoja! – odpowiedziała Maryla. A jakim głosem i z jakim odpowiedział urokiem i jak piękną była w tej chwili to się nie da powtórzyć ani opisać. – Tobie, ale tobie jednej szanowna czytelniczko może się to udać. Spróbuj.

— Ciotka nas chce rozłączyć! – rzekł Adam całując jej rękę.

— Oh! – zaprzeczyła Maryla – wszak nas pobłogosławił Ojciec!

— Ty wiesz jak świętą była ta chwila, jak uroczysta! A ona mówi że to w gorączce...

— O nie! Ojciec chciał abym... była twoją. On nas zaręczył z sobą w chwili skonania.

— Ty o tem nie zapomnisz Najdroższa!

— Nigdy! Mnie świętą jego wola!

— Czy tylko dla tego chcesz moją być, że on tak chciał? – zapytał ze smutkiem Adam.

— On mnie tak kochał!... I ciebie...

— A ty?

— I ja — rzekła spuszczając oczy które nie mogły już wytrzymać jego płomiennych spojrzeń.

— Kochasz?

— Kocham.

Skromna czytelniczko — nie czytaj dalej! — Rumieniłabyś się za pannę Marylę, gdybyś przeczytała co się działo dalej. Nie miej jej jednak tego za złe, nie rzucaj na nią kamieniem potępienia: usta ich były tak blisko siebie!

Objął jej wiotką kibić, przygarnął ku sobie. Chciała wymknąć usta od pierwszego całusa. Nie broniła się od drugiego... on tak prosił błagającym, rzewnym głosem jedno tylko wymawiając słowo: Marylo!... I trzeci i czwarty i piąty całus i bez końca — a ona już nie wiedziała co się z nią dzieje i nie wiedziała kiedy sama całus całusem spłaciła raz pierwszy... A potem — potem — to już usta zrosły się z ustami, a ona bezsilna zwieszona na jego ramieniu, jego szyję ramieniem oplotła, upojona, odurzona, bezprzytomna.

— Mój drogi! — szepnęła wreszcie jakby z omdlenia przychodząc do siebie — mój drogi... tak źle... tak być nie powinno!

— O nie najdroższa! Cóż złego? Już nas Ojciec pobłogosławił... wszak my swoi jesteśmy — na wieki!

Chciała wyrwać się z jego ramion —

— Czas upływa — rzekła — ciocia wkrótce wróci.

On całusami odpowiadał

— Ty jedziesz — mówiła dalej — cóż będziemy robić?

— Muszę jechać, ojciec chory. Ale jak tylko mu będzie lepiej, wrócę. Może zimą razem.

— Tak dobra! Ciocia nie będzie mogła się opierać jak jej powiem że tylko za ciebie pójdę albo za nikogo... A zresztą ja już przecież nie dziecko. Mam już rok dwudziesty... za lat cztery będę pełnoletnia...

— Cztery lata czekać — to długo jak wieczność!... A gdyby się ciotka opierała czy pojedziesz ze mną?

Maryla zamyśliła się.

— Nie — odrzekła po chwili z wahaniem, jakby sama siebie niepewna.

— To mi przyrzecz przynajmniej że się nie dasz obałamucić żadnym intrygom, żadnym plotkom, żadnym namowom...

— O przysięgam ci!

— Oni gotowi użyć religijnych wpływów aby cię usidlić...

— Nie obawiaj się. Ja im nie wierzę. Ojciec zanadto mi wiele o nich mówił abym się dała im otumanić. Nie zawrócą mi głowy a do klasztoru nie pójdę.

— Ciotka jedzie! — zawołał po chwili Adam spojrzawszy w okno. — Raz jeszcze luba!... dodał tym błagającym tonem któremu Maryla oprzeć się nie umiała. I nie czekając odpowiedzi spoił usta z jej ustami długim bez końca pocałunkiem, jakby chciał do dna wychylić czarę rozkoszy, jakby chciał z jej tchnieniem duszę wciągnąć w swe piersi.

— Czy napiszesz do mnie kochana?

— Napiszę.

— A jak adresować listy do ciebie?

— Pisz do Rusi.

— — — — — —

Przyjechawszy z kościoła zobaczyła panna Gertruda wisząće w sieniach futro męskie.

— Kto tu jest?

— Pan Liwocza

— Gdzie?

— W pokoju nieboszczyka pana.

Z widocznym niepokojem wbiegła panna Gertruda do sypialni Marylki, jakieś złe przeczucie ją tam wiodło. Niezastawszy siostrzenicy w łóżku jak się spodziewała poskoczyła jak oparzona ku drzwiom salonu

— Ah, na miłość Boską? — szepnęła takim głosem jakby kto w jej obecności stawiał płonący stoczek na beczułce prochu.

Wpadła do pokoju brata w futrze i w kapeluszu, z twarzą wystraszoną jakby się dach palił nad głową.

Oboje młodzi siedzieli przy sobie, Adam w dłoni swej trzymał rękę Marylki. Wstał nieznieczony wejściem panny Gertrudy, oddając jej głęboki ukłon.

Ciocia nie raczyła mu skłonić głową.

— Tyś nie w łóżku? — zapytała Marylki tonem wielkiego inkwizytora, niczego się oczyma.

— Wstałam ciociu aby pożegnać pana Adama. — odpowiedziało dziewczę dość swobodnie. Rumieniec jednak który cała jej twarz oblały, wydały się pannie Gertrudzie wielce podejrzanemi.

— Nie chciałaś wstać do mszy świętej, a gości to przyjmujesz!... Wyraz „gości" z szczególnie uszczypliwym wymówiła panna Gertruda akcentem.

— Na mszy mogę być codzień ciociu, — odparła rozzuchwalona Marylka, — a pan Adam dziś odjeżdża, więc...

Zkąd ona wiedziała że on odjeżdża? pomyślała ciocia. Ha, jakieś tajne komunikacje!... Pobladła nieco, głos jej drżał. ~~zwróciła się do Adama~~

(z świętoszkowatem wzburzeniem) — Na mszy możesz być codzień, — powtórzyła — a z „panem Adamem" tylko dziś mogłaś się „widzieć"? czy tak? — nieuczono zatem biedne dziecko że być na mszy św. w niedzielę jest świętym obowiązkiem chrześcijanina, od którego go tylko istotna niemożność mo[illegible]a!... ~~zwróciła się do Adama~~. Zrzuciła futro z ramion a z głowy kapiszon. Adam poskoczył aby jej usłużyć. Usunęła się z niechęcią.

— Nie spodziewałam się pańskiej wizyty po wczorajszem pożegnaniu... rzekła tonem cierpkiego sarkazmu.

Adam ukłonił się miasto odpowiedzi i milczał.

— Po dzisiejszej bezbożnej demonstracyi w kościele — ciągnęła ciocia dalej coraz ostrzejszym głosem — mogłam się wprawdzie wszystkiego spodziewać, ale abyś pan takiemi drogami wkradał się do poczciwego domu, tego się nie spodziewałam.

— Niech pani raczy się uspokoić; ja się nie wkradam do tego domu, ale staraćąc się o rękę panny Marylki, jestem tu z tą myślą, jaką żywałem za życia jej ojca...

— W mojej nieobecności!

— Musiałem z niej korzystać, skoro mi pani inaczej nie chciałaś pozwolić pożegnać...

— Zapewne! znieważać w domu bożym sędziwego kapłana, kompromitować dobrą sławę sieroty — to nie u panów nieznaczy!

— Jeśli pani chce mówić o niedorzecznej dzisiejszej demonstracyi ~~w kościele~~ wymierzonej przeciw proboszczowi — to racz mi pani wierzyć że się o niej dowiedziałem dopiero po wyjściu z kościoła. A co do kompromitowania panny Marylki,

sądzę że pani nie czyni z tego zarzutu na serjo. Wszyscy wiedzą że się o pannę Marylę staram, że jesteśmy prawie jak narzeczeni, że nas pobłogosławił umierający ojciec... czyż to może kompromitować pannę Marylę ~~[illegible]~~ żem przyjechał aby się z nią pożegnać?

I wyciągnął dłoń ku Maryli, na którą ona złożyła swoją. Uścisnął drobne paluszki ~~Adam~~ i poniósł do ust. Ktoby był wtedy patrzał na pannę Gertrudę, niemógłby był niedostrzedz szczególnego wrażenia jakie na nią wywarła ta scena, w której zresztą niebyło nic tak nadzwyczajnego. ~~Oczy jej pałały nienawiścią~~ Nieruchoma, jakby zdrętwiała siedziała patrząc na urodziwą parę. Oczy jej tylko pałały nienawiścią.

Chwila mijała za chwilą. Adam nie puścił ~~jeszcze~~ tak ~~długo~~ rychło rączki ~~dziewczęcia~~. Trzymał ją w obu dłoniach i od czasu do czasu składał ~~na~~ niej pocałunek.

Wreszcie ciocia westchnęła głęboko i tonem pełnym chrześcijańskiej rezygnacji rzekła:

~~— [illegible]~~

— Kiedyś pan się już oświadczył i został przyjęty, to ~~[illegible]~~ niepozostaje jak tylko wyznaczyć dzień ślubu... ~~[illegible]~~

Adam przyskoczył ku niej uszczęśliwiony i chciał ją pocałować w rękę, którą panna Gertruda czemprędzej usunęła. Nienawiścią przemówiły oczy jak wprzódy.

— O szanowna pani! Dzięki ci za to dobre słowo!... Będąc tu przed miesiącem nie oświadczyłem się formalnie pani Sewerynowej (o rękę córki), gdyż mój Ojciec ~~wymógł~~ na mnie słowo iż tego dopóty nie uczynię dopóki on nie pozna panny Maryli. Ale dziś po tem uroczystem błogosławieństwie udzielonem nam przez nieboszczyka na łożu śmiertelnem, zdaje mi się że już te formalności zwyczajowe niepotrzebne... Ojciec ~~[illegible]~~ mam nadzieję będzie mógł tu przyjechać za parę tygodni – a tak nie czyniąc nic wbrew jego woli będzie można wtedy oznaczyć dzień naszego ślubu...

— Jakto? więc pan skompromitowawszy pannę, czynisz ten związek zależnym dopiero od woli swego Ojca?

— Ależ ja o jego zezwoleniu nie wątpię!

— A gdyby niezezwolił?

— O nie, pani! Takby się stać nie mogło.

Pannie Gertrudzie stopniała ~~w jednem~~ natwarzy mgnieniu owa zimna surowość wyrazu. Spazmatycznie zadrgnęły rysy ~~[illegible]~~ szarpane krzyżującemi się zmarszczkami w najrozmaitszych kierunkach. I zaczęły z ust jej sypać się urywane wyrazy jakby jej tchu niestawało do wylania wszystkich całej goryczy serca:

— Więc to uczciwie z pana strony?... więc to honorowo?... Bałamucić pannę, napadać dom wtedy kiedy niema jej opiekunki, kompromitować w oczach ~~całej~~ służby domowej i w oczach całego sąsiedztwa... a potem powiedzieć: ożenię się jak ojciec pozwoli..... a ojciec... ...ojciec taki sam jak syn... zapewne... honorowy człowiek... honorowy....

I ~~urywanemi [illegible]~~ pod wpływem gwałtownych uczuć ~~[illegible]~~ wybuchła wkońcu konwulsyjnym śmiechem. ~~[illegible]~~ W tym śmiechu ironicznym-szalonym, w jej poszarpanych rysach, było coś

22. demonicznego, coś co przejmowało dreszczem. (Nie straciła ona jednak przytomności, jakkolwiek wydało się obojgu młodym że od zmysłów odeszła. Chwa[i]lę... atak spazmów ręce przycisnęła do piersi i już razem ze śmiechem jakby łkanie boleśne wydobywało się z krtani. 19.

— Ciociu, ciociu! co ciociu? — wołała klęcząc już przy niej Marylka.

Spazm rozrzewnienia po spazmach śmiechu. Łzy jak groch padały na złote włosy Marylki. Przycisnęła jej główkę oburącz do łona:

— Moje biedne dziecko! moja Marysiu!

— Co cioci? — pytała ciągle Marylka z naiwną troskliwością, nie umiejąc sobie wytłumaczyć chorobliwego stanu którego raz pierwszy w życiu była świadkiem. Hoża, rumiana zdrowa dziewczyna sama nie miewała spazmów i nie widziała ich jeszcze nigdy.

Adam stał jak przykuty na miejscu, dotknięty do żywego uczynionemi mu zarzutami i obelgami rzuconemi na jego ojca, a jednak przerażony dziwacznym atakiem nerwów panny Gertrudy. Nie wiedział jaką ma rolę w tej scenie odegrać wypada. Wreszcie litość przemogła nad urazą — pobiegł do salonu a nalawszy szklankę wody podał ją pannie Gertrudzie.

Gniewnie odtrąciła jego rękę.

— Widzisz teraz Marylko, co to za człowiek! — rozumiesz teraz czego on tu chciał! — On się bawił tylko!... precz stąd! precz! precz!... uwiodłeś pan biedne dziecko!.. precz stąd! — albo weź ją pan żoną — zaraz — natychmiast — bez twego Ojca...

Adam nie wiedział czy śmiać się czy obruszać, czy pozostać polekana. Ze szklanką wody w ręku stał jak skamieniały.

— Ależ uspokój się pani! — rzekł wreszcie jak mógł najspokojniej. † Jeśli pani tego żądasz to daję najświętsze słowo że gotów jestem zaślubić pannę Marylę nawet wbrew woli mego Ojca!

Panna Gertruda zerwała się z siedzenia, szybkiem krokiem biegała po pokoju, łamiąc ręce, to znowu ocierając łzy gniewnym ruchem ręki. Na twarz jej wystąpiły niezwykłe kolory.

Krok w krok chodziła za nią coraz bardziej zaniepokojona tym stanem Marylka, starając się ją zatrzymać i przywieść do opamiętania.

— Ciociu, ciociu! Słowo... słowo honoru... Co u was znaczy dziś słowo honoru kobiecie!... Dać i złamać! ... To tak łatwo...

— Złożę pani przysięgę jak pani chcesz!... — dodał Adam na wpół ze śmiechem.

— Co u was znaczy przysięga! ateusze! wy się Boga nie boicie!.. nie, nie! zaraz musi być ślub, zaraz! natychmiast!... albo...

— Ależ ciociu! ciociu!... cóż Ciocia mówi! ... przecież natychmiast ślub być nie może...

— Za indultem! może być! i indult nie może być natychmiast!

— Ależ ciociu! Po co to wszystko! ja nie chcę ślubu przed końcem żałoby...

— Nie? — zapytała nagle ciotka zatrzymując się w swoim marszu — ... Ty nie wiesz co cię czekał?.. hańba! hańba!

— Jaka hańba? jaka hańba? — pytała raz po raz Marylka z naiwnością dziecka.

— Nie? — zapytała ciotka obejmując ją w ramiona i patrząc jej bystro w oczy. —

Marylka nie spuściła powieki.

Rozjaśniła się twarz panny Gertrudy — z zadowoleniem ucałowała Marylkę w czoło. Trzymała ją jakiś czas w objęciach

† — Nie wiem czem pani dałem powód uważania mnie za łotra. Łotrem ani uwodzicielem nie jestem, ale

23.

potem powolniejszym już krokiem przeszła kilka razy wzdłuż i wszerz po pokoju. Rękę kilkakrotnie przyciskała do bijącego gwałtownie skroni (a spostrzegłszy szklankę z wodą którą Adam był postawił na stole, wychyliła ją duszkiem.

Młodzi przez ten czas z niepokojem spoglądali na nią, szepcząc z cicha do siebie.

— Czy tak często bywa?

— Nie wiem. Odkąd tu jest, to raz pierwszy.

— Czy nie posłać po doktora?

— Mnie się zdaje że się już uspokoiła... Ale co to za choroba?

— Spazmy... a może co gorszego...

— I ja się obawiam...

Panna Gertruda zatrzymała się przechodząc koło nich:

— Co ja mówiłam?

Zakochani spojrzeli po sobie, nie wiedzieli jak na to szczególne pytanie odpowiedzieć.

— Nic ciocia teraz nie mówiła — rzekła pochwili Maryla.

— Ale wprzódy?

— Wprzódy chciała ciocia żebyśmy ślub wzięli za indultem. A ja na to powiedziałam iż niechcę brać ślubu przed końcem żałoby...

— Czemuż pamiętał niewiele? — zapytał Adam. Wszak związku naszego nieboszczyk pragnął — to jego pamięci nie ubliży. Czyż niemoże być ślub bez hucznego wesela? Wszak żałobę po Ojcu w sercach naszych niетylko przez rok nosić będziemy — a dla sukien żałobnych porzuć mamy szczęście nasze odwlekać?

— Nie, nie, panie Adamie, ja niechcę. Mnie się wzdryga serce na myśl abym miała być szczęśliwą tak rychło po jego śmierci...

— Masz słuszność Maryniu! — wmięszała się do rozmowy panna Gertruda, tonem już zupełnie spokojnym. Nie godzi się abyś szła zamąż przed ukończeniem żałoby. Przez ten czas niepowinniście się nawet widywać...

— Jakto ciociu? czemu?

— Bo widywanie się wasze i wszelkie konkury i myśli o zamęściu zadawały by kłamstwo tym czarnym sukniom które nosisz, ubliżałyby powadze twej żałoby i twego sieroctwa.

— Ależ ciociu, ja tak nie myślę... Ojciec gdyby żył toby tego zpewnością nie wymagał... A zresztą, przecież toby było dziwne gdybyśmy wszystkich widywali a tylko panu Adamowi nie wolno było do nas przyjeżdżać...

— Przesiadywanie pana Litwory w naszych stronach kompromitowałoby cię jeszcze bardziej niż dotąd... (i dodała z mocniejszym:) Póki zamąż nie wyszłaś, póty zostajesz pod moją opieką i ja dopełnię ściśle obowiązku jaki na mnie ciąży...

— Ależ pani niechcesz przecież przeszkodzić abym się w ciągu roku ani razu nie widział z panną Marylą?...

— Rozumiem — odrzekła ciocia z przekąsem — rozumiem co pan chcesz przez to powiedzieć: że się pan potrafisz tajemnie widywać jeśli jej wzbronię jawnych konkurów. A więc dobrze. Możesz pan tu przyjeżdżać co miesiąc, byleś w tych stronach nigdy dłużej nad parę dni nie przesiadywał. Pozwolę widywać Marylkę, byle nie zasbyt często, ale

— Pamiętaj o mnie

— O tobie!

— Bądź zdrów!

— Bądź zdrowa!

⊕ Pożegnał się z Marylką i próbował nadrobić ręki panny Gertrudy, która ją jednak usunęła oddając mu głęboki ukłon; pożegnał się z Marylką raz jeszcze. [Ona odprowadziła go aż do drzwi i potem stanęła w oknie aby raz jeszcze choćby przez zmrożone szyby obaczyć odjeżdżającego.

— — — —

musisz mi pan dać słowo że przez ten czas niebędziesz się pan starał widywać ją potajemnie. W przeciwnym bowiem razie cały nasz układ zerwany.

Adam zgodził się na wszystko, uszczęśliwiony że sprawa jego tak szczęśliwy wzięła obrót.

— Jeśli zatem ojcu stan zdrowia pozwoli, to na wiosnę wyjedziemy tu razem...

⊕

— — — — — —

Wstrząśnienie nerwów jakiego doznała panna Gertruda było za silne na jej organizm. Nazajutrz po odjeździe Adama leżała ona na swym łóżku pookładana kataplazmami, na karku kilkanaście pijawek, pod głową pęcherz z tłuczonym lodem, na stoliku przy niej flaszeczki z lekarstwami. Stary lekarz niemiec w drugim pokoju spoglądał co chwila na zegarek, niecierpliwie poprawiał ~~krawatkę~~ i kołnierzyki, skręcał w sznurki swoje siwo-rudawe faworyty. Maryla czuwała przy chorej z troskliwością córki, z tem serdecznem ~~[illegible]~~ oddaniem się wszelkich i wszelkich myśli, dalekiem od owej ~~[illegible]~~ chłodnej staranności przynależnej z uczucia ~~religijnego~~ obowiązku, z tą miłością, którą nie kieruje ~~[illegible]~~ ~~postanowienie~~ na zimno powzięte postanowienie wypełnienia religijnych przepisów, ale która działa bez myśli o zapłacie, ~~zarazem~~ o wdzięczności ludzi lub nagrodę pośmiertnej, bez zastanowienia czy to cnotą czy grzechem ~~[illegible]~~ co czyni, ~~a~~ nie daje folgi staraniom, nie nuży się trudem codziennym i bezsenną nocą, o sobie zapomina, a czerpie ~~[illegible]~~ wciąż siły niespożyte — bo kocha.

Kogoż nie rozczuli, kogoż nie ujmie serdeczna przychylność w chorobie. Każdy objaw szczerego współczucia, każdy dowód niewymuszonej dbałości, bezinteresownej staranności urasta w oczach chorego niemocą ~~do~~ rozmiarów poświęcenia i dobrodziejstwa. Choćby to był człowiek szorstkich uczuć, tępego pojęcia, ~~[illegible]~~ podejrzliwy, nieufny, niedowierzający szczerości przywiązania, zmrożony kolejami życia, on wtedy w chorobliwej drażliwości swej przenikli, on odczuje samo pobudkę twoich starań, on zrozumie z jakiem uczuciem podajesz mu lekarstwo, z jakiem uczuciem poprawiasz poduszkę pod głową, z jakiem uczuciem drzwi skrzypiące ~~ostrożnie~~ zamykasz. Zniesiesz cierpliwie jego kaprys lub wybuch złego humoru, — ~~a~~ wrażliwość jego nerwów podniesiona do nieprzyjętego dla zdrowych ludzi potęgi, do jasnowidzenia niemal, dozwoli mu z zamkniętemi oczyma ~~[illegible]~~ rozpoznać ~~[illegible]~~ z dźwięku twego głosu, ze szmeru twych ruchów, z odgłosu twych stąpień, z jakiem ty to wszystko zniosłoś uczuciem i czemu to znosisz. On czyta samo w twej duszy to nawet z czego sam sobie sprawy jeszcze nie zdałeś.

Co wyczytała w duszy ~~[illegible]~~ siostrzenicy panna Gertruda, nie będziemy się o tem szeroko rozpisywać. ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ W wyrazie jej oczu, w tonie głosu jakim do Maryli przemawiała zaszła zmiana tak widoczna, że młode dziewczę, ~~[illegible]~~ dotąd więcej przez pamięć ukochanego ojca lgnące do surowej ciotki, ~~[illegible]~~ a niżeli ~~[illegible]~~ zmrożone chłodem jej obejścia. Teraz z dniem każdym bardziej przywiązywała się do niej.

~~Chora drugiego dnia swej choroby [illegible] [illegible] [illegible] religijnych, [illegible] lekarz zapomniał~~

Niepotrzebujemy dodawać że proboszcz wszystko przez czas choroby Gertrudy codziennym we dworze był gościem, ale że w ciągu całego dnia zwykle tam spędzał. Trzeciego dnia po zasłabnięciu, stan choroby był najniebezpieczniejszy a chora snadź sama czuła niebezpieczeństwo bo zażądała pociech religijnych. Dowiedziawszy się o tem od Maryli, oświadczył lekarz iż wzruszenie (może korzystną wywołać reakcję, której on lekarstwami nadaremnie sprowadzić usiłuje, radził więc aby bez zwłoki zadość uczyniono żądaniu chorej. W samej rzeczy przewidziany skutek nastąpił, (a panna Gertruda nazajutrz czując się znacznie zdrowszą tryumfującym tonem zapytała starego niemca:

— Cóż, panie doktorze, przekonałżeś się pan że Pan Bóg lepszym od pana lekarzem?

— Nie wątpiłem o tem — odrzekł protestant.

— Bóg sprawił cud nademną aby pana nawrócić!

— Ja mówiłem że będzie cud! — szepnął lekarz półgłosem do Maryli.

Chora o tyle czuła się zdrowszą że kazała podać sobie swój portfel i wyjąwszy znane nam już album przeglądała snadź dla rozrywki fotografie drogich jej osób...

W następnych dniach jednakże, zamiast jak ustawała gorączka, wzrastało osłabienie a chora zatrwożona tym stanem zażądała powtórnie spowiedzi i Śtych Sakramentów. Przyjąwszy je z budzącą pokorą i skruchą prawdziwej chrześcianki, spoczywała z rozjaśnionem niebiańską pogodą obliczem, blada, uśmiechnięta, z oczyma tak nieziemskiem błyszczącemi zachwytem — jak oczy świętych na obrazach Carlo Dolce.

Po odejściu kapłana spoczywała tak czas dłuższy wśród cichej modlitwy i skupienia ducha. Wreszcie przywołała do siebie Marylkę, kazała jej uklęknąć i z błogosławieństwem złożyła ręce na jej głowie.

— Niech Bóg łaską swoją oświeci cię i obudzi w sercu twem gorącą wiarę!... której nie mam dziecko moje biedne... bo ją wyziębił w tobie ojciec... Poddaj się kierunkowi duchownemu proboszcza... Pamiętaj że wiele masz do sprostowania... aby wyzwolić się z więzów niedowiarstwa... i duszę ojca z mąk czyścowych wybawić... Pamiętaj, obowiązek córki... nie szczędź żadnych ofiar... nie oszczędzaj siebie... Straszne sądy Boskie...

Osłabienie nie dozwoliło jej mówić dłużej. Marylka spłakana złożywszy w obie dłonie swoją twarz spłakaną. Po chwili chora mówiła dalej:

— Straszne sądy Boże... dusza Seweryna błaga o ratunek... Proboszcz powie ci wszystko... jak będziesz godnie przygotowaną... módl się za niego i za mnie... Testament w skrzynce... zapis na msze za moją duszę... a gotówkę i papiery które znajdziesz w skrzynce... oddaj za brata mego... Gromnicę zapal...

Wrócił proboszcz z brewiarzem w ręku. Wedle życzenia umierającej zapalono gromnicę.

— Przyrzeknij mi — mówiła chora — przyrzeknij mi Marysiu ... że ...

Nie mogła mówić dalej. Oddech urywał się ... chwila. Cisza — słychać tylko szelest kartek które ksiądz przewracał w brewiarzu.

— w godzinę śmierci ... czuję Marysiu łaskę bożą nad tobą ... Widzę ciebie ... oblubienicą Pańską ... w zakonnej sukni ... Przyrzeknij mi ... nie skonam póki mi nie przyrzekniesz ...

Struchlało biedne dziewczę na te słowa.

— Przyrzeknij ... [że będziesz badać siebie czy nie usłyszysz głosu Pańskiego ... czy nie powoła cię Pan ...

[... że poddasz się kierunkowi księdza proboszcza ...

Odetchnęła Marylka głęboko, jakby ciężar wielki spadł jej z serca.

— Rok ... rok jeden ... — błagała chora.

Ale Maryla pod wpływem doznanego wzruszenia nie była w stanie przemówić.

Chora wstrząsła się cała i zapytała z przerażeniem:

— Chyba ... że ty ... czekać ... nie możesz?

— Przyrzekam ciociu! przyrzekam! zawołała wreszcie Marylka.

Uśmiech pełen słodyczy umilił twarz panny Jertrudy. Z wielkiem wysileniem złożyła ręce na krzyż na piersiach, zwróciła wzrok jeszcze w stronę gdzie stał krucyfiks pośród świec płonących jaskrawym blaskiem — i przymknęła powieki ....

Proboszcz odmawiał głośno modlitwy za konających ....

— — — — — —

Czy umarła?

Zostawmy na chwilę to pytanie bez odpowiedzi. Należy nam bowiem wyjaśnić znaczenie owych słów wyrzeczonych przez nią do Maryli:

— Straszne sądy boże! ... Dusza Seweryna błaga o ratunek .... proboszcz opowie ci wszystko ... jak będziesz godnie przygotowaną ...

Czy złożonej chorobą w gorączce przyśniły się

jakie mary? czy może penitentce opowiadał proboszcz o jakiem zjawieniu się ducha jej brata? Czy była to może tylko pobożna fikcja wymyślona przez dewotkę w celu zjednania boskiemu Oblubieńcowi jednej oblubienicy więcej? czy to może tylko wymysł proboszcza dla wyłudzenia jakiego zapisu za duszę śp. Seweryna, który by mu dozwolił sprowadzić do swej piwniczki kilka beczek tokaju?

Bynajmniej. Proboszcz nie należał wcale do owych księży chciwie przemyśliwających tylko o zysku i zbijaniu grosza, których oczy przysłowie narodowe w jednej z gardłem wilczem stawia kategorji. Żył on skromnie, ubogo, prawie jak asceta, a żelazne zdrowie i wytrwałość jaką daje silna wiara dozwalały mu odmawiać sobie wszelkich wygód życia i poddawać (od czasu do czasu) się takim prywacyom które niełatwo zniósłby kto inny a które w oczach ludu otaczały go aureolą świętości.

Aby godnie narysować tę postać świętobliwego kapłana, należy nam tu skreślić choć pobieżnie obraz jego parafji. Na tem tle tylko uwydatnić się mogą charaktery działających osób powieści naszej.

Za pasterza przykładem umartwienia i posty, nietylko przepisane ale i dobrowolnie ślubowane, w jego parafji do nieznanej gdzieindziej dosięgły surowości. A jakkolwiek mimo gorliwych starań księdza parafjanie pod innym względem nie celowali moralnością, nigdzie jednak niepodobna było znaleźć ludu bardziej przywiązanego do religji, tłumniej uczęszczającego do kościoła, częściej pielgrzymującego do miejsc cudownych. — W czasie najpilniejszych robót w polu, nieraz trzecia część ludności była na wędrówce daleko do odległego o mil kilkanaście cudami słynącego miejsca na dzień odpustowy. — Ale i w miejscowym kościele święty był obraz który za cudowny lud poczytywał a przed którym ekonom śp pana Seweryna naprożno zawieszał wota, aby ściągając tłumy pobożnych nie ogołacał go z potrzebnej liczby robotnika. — Oprócz tego wreszcie była pod lasem kapliczka z niezgrabnie z drzewa figurką Zmartwychwstającego z grobu Zbawiciela z czerwoną chorągiewką w ręku, wkoło którego głowy widywano po nocach świetlane promienie. Że czcią wspominano w okolicy imię młynarza który zimą i latem przed tą kapliczką codzień od zmroku do późnej modlił się nocy i który jak wieść krążyła kilkakrotnie miał być świadkiem cudownego zjawiska. Ostatniej mroźnej zimy, znaleziono go pewnego dnia nad rankiem nieżywego przed kaplicą, w klęczącej postawie, z rękoma przymarzłemi do sztachetów. Młynarz ten i dwie kobiety które po kilkotygodniowym poście z głodu i wycieńczenia Bogu ducha oddały, uchodziły za świętych. Jedna z nich, kobieta wiekowa, przez trzy doby krzyżem leżąc przed obrazem Matki Bolesnej w izdebce z której precz tego obrazu wszystkie kazała usunąć sprzęty, skonała tak cicho że się o tem dopiero wtedy dowiedziano gdy już były zwłoki zimne. Druga, suchotnica, oddała ducha po przyjęciu Najśw. Sakramentów z rozkosznym na ustach uśmiechem, mówiąc: Przyszli po mnie aniołowie... niebo otwarte.... lecę... już lecę!...

Wszystko to powiększało urok który w oczach ludu otaczał świętobliwego kapłana. On jednak nie wzrastał stąd w pychę i w zarozumienie, nie ustawał w gorliwości, unikał o ile mógł składanych mu hołdów, a z pokorą

prawdziwie chrześcijańską znosił obelgi i złość ludzką. Trzykroć w oczach ludu spadło na nieprzyjaciół kapłana wszechmocne ramię tego, o którego miłosierdziu i zapalczywości śpiewa psalmista Sty. - Z dwóch nałogowych pijaków we wsi, pierwszy - organista - (rzucony na plebana dnia pewnego potwarcze podejrzenie w karczmie, wracając nocą do domu wpadł do młynówki i utopił się; drugi zaś, szewc miejscowy, człowiek otyły i wymowny, upadł nieżywy na ganku plebanji, tknięty apoplexją w chwili gdy zuchwale odpowiadał na napomnienie kapłana. Podobnego losu doznał najzaciętszy proboszcza nieprzyjaciel arendarz Abramko, (którego żonę posądzano o podpalenie plebanji, przez zemstę na proboszczu za to, że jego córka Rachela uwiedziona przez parobka, przeszła za wpływem proboszcza na łono kościoła katolickiego); Abramko w dniu ślubu córki którą za staraniem proboszcza cała wieś wyposażyła, zwarjował i w przystępie obłąkania żonę swoją zabił a zarznąwszy młodsze rodzeństwo Racheli, złożył trupy dziatek na progu kościoła.

Lud nieoświecony wszędzie skłonny do wiary w cudowność, a u nas bardziej może niż gdziekolwiek każde niezwykłe zdarzenie nadprzyrodzonym przypisuje przyczynom. Charakterystyka ludu wiejskiego jaką skreślił w XV. wieku Długosz, do dziś dnia jest prawdziwą. - Nic dziw zatem że w parafji którą obraliśmy za pole działania w powieści naszej, po dopiero co wymienionych wypadkach które w krótkich odstępach czasu po sobie nastąpiły, wpływ proboszcza do niezwykłej wzrósł potęgi.

Powaga jego we wsi jednego tylko miała rywala: był nim jego kolator, nieboszczyk p. Seweryn.

Pan Seweryn nie odwodził wprawdzie ludzi od kościoła, nie jątrzył przeciw proboszczowi, nie głosił zdań przeciwnych religji, nie wzbraniał córce bywać w kościele, nie przeszkadzał służbie ani domownikom w uczęszczaniu na nabożeństwa, w zachowywaniu postów itp. ale też nie zachęcał ich do tego zaiste ani słowem ani przykładem własnym. Nie tylko żadnych kościelnych obowiązków nie wypełniał, ale od lat niepamiętnych nawet w kościele nie bywał. Postępowanie takie było niejako milczącem przeczeniem prawd religijnych głoszonych przez proboszcza, i nie mogło pozostać bez wpływu na lud.

Wpływu tego który zdaniem proboszcza podawał w niebezpieczeństwo zbawienie owieczek powierzonych jego pieczy, wielce się obawiał gorliwy pasterz i starał się mu wszelkiemi godziwemi środkami przeciwdziałać. Nie mógł go zwalczać na polu teologicznej dysputy, ani nawet zbijać w kazaniach swoich heretyckich kolatora przekonań, p. Seweryn bowiem żadnych w tych kwestjach zdań nie wypowiadał przed ludem. Uderzał więc proboszcz w kazaniach wogóle na niedowiarstwo i na obojętność w rzeczach religji. Nie odbyło się nabożeństwo niedzielne lub świąteczne aby wymownem słowem nie powtórzył ludowi, że niedowiarek i ateusz choćby zresztą porządnym był człowiekiem gorzeć będzie na wieki wieków w ogniu piekielnym, a choćby posiadał wszystką ziemię i wszystkie skarby tego świata

29\. duszy swojej nie wykupi; a choćby posiadł nauki wszystkie i wszystką mądrość tego świata, głupcem jest w obliczu bożem; a choćby z dobroczynności słynął, jednym złotem i mężobójca podpadnie wyrokowi na Jozafatowej dolinie."

Lew [illegible]

Zdarzyło się po jednem z tych kazań, że chłopi acz nazbyt domyślni, zrozumieli że słowa wyrzeczone przez księdza odnoszą się do postępowania dziedzica. Kilku starszych gospodarzy, wielkną z p. Sewerynem szczycących się zażyłością, postanowiło na wpół szczerą powodowani życzliwością dla swego dobrodzieja, na wpół może z ciekawości, wybadać go dla jakich powodów niedopełnia kościelnych obrzędów i do domu bożego nieuczęszcza. Łatwo było p. Sewerynowi po kilku wyrzeczonych przez nich zdaniach, okrążających pytanie którego wprost wypowiedzieć nie śmieli, dorozumieć się o co rzecz idzie.

„Nie badajcie – rzekł on – nigdy, co człowiek myśli, w co wierzy, tylko to jak żyje i co czyni...

„Sądźcie ludzi wedle czynów ich. Sąd o wierze i o myślach zostawcie Bogu...

„Każdy człowiek w to wierzy co mu się prawdą zdaje. Tak zawsze było i będzie.

„Czy można zmusić człowieka aby w co innego wierzył a nie w to co mu się prawdą zdaje? – Nie. Zmusić go chyba można aby udawał że wierzy w to w co niewierzy i co mu się zdaje fałszem.

„Czy sądzicie że to uczciwe takie udawanie? czy sądzicie że miłe Bogu takie kłamstwo?

„Nie. – A czy myślicie że Bóg sprawiedliwy może kogo karać za to, że wierzył w to co mu się prawdą zdawało? – I to nie.

„A więc zostawcie każdemu wiarę jego i nie pytajcie o nią...

„Nie pytajcie o nię, bo każe się wam nie przydało dowiedzieć się w co on wierzy a w co niewierzy. – Wszak człowiek w to tylko wierzy czego nie wie z pewnością, w to tylko co mu się zdaje.

„Jak człowiek o czemś wie z pewnością, to nie mówi: wierzę że tak jest, ale: wiem że tak jest.

„Pocóż mnie badanie w co wierzę i co mi się zdaje? Ja wolę mówić wam o tem co wiem z pewnością.

„W różnych krajach i narodach rozmaicie ludzie wierzą a wszędzie są i poczciwi i niepoczciwi i dobrzy i źli.

„Nie pytajcie zatem co ludzie wierzą ale sądźcie ich podług ich czynów." –

Między włościanami jednak toczyła się nieraz pogawędka o niedowiarstwie dziedzica.

– Ha, takiego dobrego pana (:rzekł jeden z gospodarzy:) to na świecie całym szukać!

– Oj, to święty człowiek! (: odrzekł drugi:) Szkoda tylko że nie jest sprawiedliwy katolik jak Pan Bóg przykazał...

– Et, gadacie!

– No nie gadam, bo jużci sam nam powiedział że nie wierzy... Obraza boska! Strach!

– A czy on żyd, czy luter?

– Gdzie znowu! On ma jakąś pańską wiarę...

– Hej, hej, żeby to inni panowie byli tacy jak on!

Tak rozprawiali włościanie między sobą. Proboszcz jednak nie dowiedział się nigdy o owej rozmowie ich z dziedzicem którąśmy przytoczyli. Gdyby

Wątpliwym był wpływ tych argumentów na umysły niewykształcone i nienawykłe do rozumowania w rzeczach wiary. Wielu który wcale nie zrozumieli logicznego wywodu p. Seweryna, inni zrozumiawszy na razie, zapomnieli o nim za progiem, tyle tylko zachowując w pamięci że „pan" niechce aby go pytać dotyczące religji. I w samej istocie, nie powtórzyła się już nigdy podobna rozprawa.

wieść o niej doszła była do jego uszu, inaczejby pewnie poruszył sobie w swoich kazaniach.

Stosunki proboszcza z dworem były rzadkie nadzwyczaj i rzadsze z każdym rokiem a wreszcie ograniczyły się do kilku doroczných wizyt. W wilję Bożego Narodzenia przychodził

on aby z kolatorem i jego córką spotykać się wyjątkowo przy wieczerzy, składał życzenia noworoczne, ósmego Stycznia przychodził z powinszowaniem imienin, w wielką sobotę dla poświęcenia jadła wielkanocnego, a drugiego Lipca z życzeniami dla Marylki która w tym dniu obchodziła święto swej patronki i rocznicę urodzin. - Zresztą nie widywano go we dworze, chyba wtedy gdy Biskup dyecezji zjeżdżał na obiad do p. Seweryna aby odwiedzić dawnego szkolnego kolegę, z którym niegdyś ścisła łączyła go zażyłość.

Biskup był człowiekiem wesołym i towarzyskim, jowialnego humoru, (nieco rubaszny) lubiony przez obywatelstwo okoliczne, ceniący w ludziach przedewszystkiem prawość charakteru i swobodny a nawet żartobliwy umysł. Dowcipem, rzeczną odpowiedzią, zabawną dykteryjką, gościnnem przyjęciem, smacznym obiadkiem i dobrem winem, serdeczną wreszcie ofiarnością w szlachetnych celach - mógłeś zjednać jego poważne serce od razu, i nie przeszło mu nigdy przez myśl aby się zapytać o twe religijne mniemania. Żarty nawet nieco <u>masne</u> i dykteryjki o mnichach i zakonnicach, o księżych siostrzenicach i jezuickiej pobożności, znosił on bez gniewu a nieraz sam do nich zachęcał. Za każdą tedy bytnością jego u p. Seweryna, sypały się tego rodzaju anekdoty jak z rękawa, a gospodarz domu szczególną zdawał się w tem znajdować satysfakcję aby w obecności proboszcza wywlekać najdrastyczniejsze historyjki, a gdy hucznemu śmiechowi zgromadzonych sąsiadów biskup piskliwym swoim chichotem wtórował - spoglądał się w surowe rysy kapłana pokrywające się naprzemian to rumieńcem wstydu to marmurową bladością.

Po śmierci biskupa, na kilka lat przed zgonem pana Seweryna, kazania naszego proboszcza coraz dosadniejszemi wyrazami uderzały przeciw niedowiarkom bogaczom nieuczęszczającym do domu bożego, do której to kategorji świadomość ludu zaliczyć mogła jednego tylko pana Seweryna. - Wizyty proboszcza we dworze stały się od tej chwili jeszcze rzadszemi niż wprzódy.

Było jednak w tym małym światku wiejskim neutralne pole na którem nader często spotykał się dziedzic z proboszczem. Na tem polu neutralnem najzaciętsza jednak (acz cicha i pozorem wzajemnego sojuszu osłoniona toczyła się walka - walka o serca włościan. Chaty kurne, a mianowicie te do których zajrzało nieszczęście, niedostatek, choroba, głód, zaraza, sieroctwo, - były miejscem spotkania dziedzica z proboszczem, były oraz polem walki ich wpływów, polem rywalizacji w uczynkach miłosierdzia.

Uczynki ich były częstokroć do siebie tak podobne jakby jedna zdziałała je ręka, a jednak jakże różne były ich środki czynienia dobrze bliźniemu i jak różne działania pobudki! - W dniach pożaru lub w czasach epidemji najbardziej ważyły się wpływy. Osobistą odwagą, przytomnością umysłu, umiejętnem urządzeniem ratunku zdobywał sobie dziedzic serca chłopskie. Z pośród płomieni wyniósł zagrożoną straszliwą śmiercią stuletnią staruszkę, w czasie cholery z pomocą domowego lekarza własnemi rękoma rozcierał drętwiejących i do życia przywracał. A gdy on to w jednej czynił chacie, w drugiej takiejż samej pomocy udzielał proboszcz po zaopatrzeniu chorych ostatniem namaszczeniem.

Tam gdzie szło o udzielenie nieszczęśliwym moralnej pociechy, przeważał wpływ proboszcza. Tam zaś gdzie potrzeba wymagała znaczniejszej ofiary pieniężnej, tam była korzyść po stronie dziedzica: nie trudno było mu okazać się hojniejszym od proboszcza którego dochody

plebańskie ~~[illegible]~~ z odliczeniem nawet sporej sumki jaką mu przynosiły rocznie t. z. jura stolae, niemogły iść w porównanie z dochodami dziedzica obszernych włości. Dodać zresztą należy że proboszcz, jakkolwiek żył więcej niż oszczędnie i wszelkich, najskromniejszych nawet odmawiał sobie wygód, niemniej zwykle tylko niechętnie wydobywał grosz z kalety i z tego się zewnętrznie ociągał ile razy wypadało znaczniejszym datkiem ~~nadwerężyć~~ dla ubogich nadwerężyć okrągłą sumkę ~~[illegible]~~ zamkniętą w skrzyni na klucz i na kłódkę...

W jakim celu zbijał tak skrzętnie grosz do grosza? W jakim celu nabywał akcje ~~[illegible]~~ najwyższe odsetki przynoszące ~~[illegible]~~ i drżącą ręką przeglądał co kwartał listę wylosowanych? dlaczego przed każdem losowaniem suszył ostatni piątek a leżąc krzyżem przed wizerunkiem swego patrona ~~ukrzyżowanego~~ wznosił gorące modły o pomyślny losowania rezultat? co mu zależało na powiększeniu tej mamony z której żadnej nie ciągnął korzyści? — Czy chciał ją zostawić ubogim krewnym? widocznie na myśli zapewnienie im losu po swej śmierci; gdy za życia tak obojętnie znosił ich ~~[illegible]~~ prośby i nalegania a nawet gorzkie czasem wyrzuty nieczułości. Więc może chciał ~~[illegible]~~ uzbierać kapitalik na stare swe lata? Bynajmniej. W sercu świątobliwego kapłana niemogła powstać myśl podobna. Troska o dzień jutrzejszy nie zaniepokoiła go nigdy większa ~~[illegible]~~ a tem mniej zdolnym on był tak przezornego zaopatrywania ~~[illegible]~~ się w przyszłość na starość. On pamiętał słowa ewangelji (Matth. VI. 26.) i wierzył silnie że Ten który żywi ptaki niebieskie co nie sieją ani żną, ani zbierają do gumien, nie opuści go w potrzebie.

Oszczędzał on i skąpił, ale nie dla ziemskich zaiste celów. Ziemia była dlań miejscem wygnania i trudzącą wędrówką a kraina ~~[illegible]~~ do której tęsknił czekała go po ~~jej~~ zwycięzkiem zwalczeniu trudów ziemskiego żywota. Ostatni kawał chleba przełamał-by bez wahania z ubogim, ~~ale~~ a jeśli tak trudno było mu chwilę drobną kwotą nadwerężyć zamknięty w szkatule kapitalik, to dlatego, że nad ulgą doczesnym bliźnich cierpieniom tym groszem niesioną, nieskończenie wyżej wieczysty ~~[illegible]~~ grzesznej duszy ważył ~~[illegible]~~ sobie ratunek. — Bliźniego starał się ukochać jak siebie samego, ale Boga nadewszystko ukochał.

Szczupłym był i za ciasnym drewniany kościółek jego parafji. On zbierał fundusz dla wzniesienia ~~[illegible]~~ murowanej świątyni godniej Pana nad pany! Wszelkie jego myśli, wszelkie jego uczucia ~~pragnienia~~ krystalizowały się w jego duszy ~~około~~ tego ~~[illegible]~~ pragnienia, zbiegały się i skupiały w tym jednym, jedynym celu powiększenia chwały Bożej i ~~[illegible]~~ odkupienia duszy własnej. Kościół miał ~~być~~ stanąć pod wezwaniem Sgo Tomasza z Akwinu, jego ~~patr~~ niebieskiego patrona, a ~~[illegible]~~ na wypadek śmierci przed dokonaniem dzieła, zapewnił sobie proboszcz aktem fundacji większej ~~[illegible]~~ w testamencie 52 msze dorocznych za duszę swoją.

Fundacja ta i coraz częściej owładające go porywy najsurowszego ascetyzmu w których coraz srogszemi ~~[illegible]~~ umartwieniami ćwiczył swe ciało, charakteryzowały ów budzące ~~[illegible]~~ się w nim od czasu do czasu ~~[illegible]~~ uczucie własnej grzeszności i ów drżący niepokój o zbawienie duszy właściwy wszystkim głębszym umysłom ~~[illegible]~~ ludzi szczerze ~~[illegible]~~ religijnych. Płytkim tylko (niedzielnemi), prostaczym duchom, ślizgającym się po powierzchni życia jest on obcym, a zresztą wolni od niego chyba ci ~~[illegible]~~ jedynie którym ustawiczna czynność ~~[illegible]~~ na zewnątrz niedozwala zatapiać się w rozpamiętywaniu

lub którym ubezwładniająca regularność klasztornego żywota już zmieniła duszę w buddhistyczny wiatraczek modlitewny.

Ksiądz Tomasz nie umiał bezmyślnie klepać pacierzy, a zajęcia jego wiele do rozpamiętywań zostawiały mu wolnego czasu.

Roztrząsał on tedy nieustannie swoje sumienie, każdy uczynek, każdy krok w życiu, ~~badał z surowością śledczego~~ myśl każdą przelotną i każde uczucie badał z podejrzliwością śledczego sądu, badał nawet żarliwość modlitw swoich i szczerość skruchy i czystość samej intencyi [illegible] tego surowego śledztwa. [illegible] Wedle wyrażenia śtego Franciszka Salezego rozbierał duszę swą do naga, rozbierał ją na części, ~~każdą~~ jedną po drugiej oglądając pilnie i szukając bacznie każdej plamki i skazy. Budząc się i zasypiając, [illegible] modląc się lub spowiadając owieczki swoje, nie zaprzestawał owej [illegible] straszliwej indagacji własnego sumienia. A śledząc trwożliwie i z nieufnością w czystość swego serca [illegible], przebieg [illegible] każdej myśli, falowanie każdego uczucia, rozgorączkowaną niepokojem ~~wyobraźnię~~ fantazję budził w niej tysiące posądzeń i podejrzliwości, budził w niej wyobrażenia grzesznych myśli i pokus, których przelotne nawet przemykanie się przez duszę następnie za ciężkie poczytywał sobie grzechy. † I znowu owa tak zwana przez teologów conscientia anxiosa ciężyła mu na duszy [illegible] brzemieniem jako grzech największy. Własnej przypisywał ją winie i upadkowi [illegible] ducha. A badaniem choroby chorobę powiększał, truł się [illegible] tem czem się uleczyć pragnął.

† I działo się z nim to co się dzieje zwykle z młodymi penitentami, który z dziewiczą myślą ~~przystępują do konfesji~~ niepokalaną żadnem brudnem wyobrażeniem przystępuje do konfesjonału, a skutkiem nieoględnych badań i napomnień (spowiednika) [illegible] odchodzą [illegible] z sercem pełnem nieznanych (wprzódy) pokus i należycie przygotowani do grzechu... Czuł to nieszczęsny i bolał srodze nad nikczemnością chorobliwej wyobraźni która tak grzeszne associacie myśli wysnuwała.

Straszliwe obrazy sądu ostatecznego i katusz piekielnych, czerpane z pism ojców kościoła a od opisu Tertuliana jaskrawsze przesuwały się nieustannie w wyobraźni jego jakby dantejskie poemata. Niebyło przedmiotu widnego oczom, niebyło tematu rozmowy i niebyło zdarzenia drobnego w tej ciszy wiejskiej któreby mu nienasuwały myśli o piekle. Modląc się do Boga, oczyma duszy piekło widział i jego mieszkańców. Widzeniem nawiedzony straszliwem zrywał się nieraz ze snu po nocach, kroplami zimnego potu zwilżone czoło składając u stóp krzyża.

Drętwiała mu dusza od tych obaw, jadowiało serce od tej trwożliwej niespokojności o własne zbawienie. On, który z wszelkich ziemskich wyzuł się pragnień samolubnych, utonął w owym (jeśli się tak wyrazić można) samolubstwie religijnem, owem wyłącznem pragnieniu własnego zbawienia, (pośmiertnej nagrody, które wraz z obawą kar wieczystych) stają się jedyną wszelkich naszych czynów i myśli pobudką, wszelkie inne uczucia [illegible] w zarodku nam tłumi. Cnotę wszelką czynimy wówczas [illegible] chłodnym umysłem, bez śladu wzruszenia, gotowi do [illegible] każdego czynu który świat poświęceniem zowie, a który dla nas jest tylko dobrą... spekulacją. Znak za ofiarę doczesną wieczysta stokrotna czeka nas nagroda. Warto oddać kapitał doczesnego żywota na tak wysokie procenta lichwiarskie...

„I choćbym wszystkie majętności moje rozdał na żywność ubogich, i choćbym wydał ciało moje tak żebym był spalon, a miłości bym nie miał: nic mi nie pomoże." Tak mówi wielki apostoł w liście

„I choćbym miał wszystką wiarę, tak żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, niczem nie jest," mówi Paweł Śty. I powtarzał te słowa w duchu ksiądz Tomasz i badał serce swoje i nie umiał zdać sprawy sobie samemu, czy miłość czy wiara jest mu pobudką uczynków jego. [illegible] I czasem o miłości swej wątpiąc wobec poczucia przepotężnych wpływów postrachu piekieł, skruszonem sercem bił się w piersi tonąc w niepokoju i trwodze o swoje zbawienie...
Ale o własnej powątpiewając cnocie miłości powątpiewał i o sercach swych owieczek.

33 pierwszym do Koryntów, a (że) słowa te nieraz w rozmaitych swoich postaciach ksiądz Tomasz stosując je w myśli do postępowania śp. pana Seweryna. Γ I powtórzył je wtedy, kiedy gdy po straszliwej klęsce zrządzonej wylewem pobliskiej rzeki, otworzył nieboszczyk spichlerze swoje na ratunek włościan, a zniesione powodzią chaty własnym odbudował kosztem. I mówiąc o bożej opiece która wiernych nigdy nie opuszcza Γ opowiedział im przypowieść o synu króla niewiernym w którym Pan obudził ducha aby stał się narzędziem łaski Jego dla prawowiernego ludu.—

Γ I powtórzył je następnie po owym dniu pamiętnym pożaru z którego śp. Seweryn z niebezpieczeństwem życia wyniósł na rękach swoich staruszkę z przetrąconą staruszkę. Γ

W dobrej wierze kazał w ten sposób ksiądz Tomasz i nie było w słowach jego ani cienia zawiści do nieboszczyka kolatora. Jeśli sam w sobie czasem z bólem serca brak miłości przyznawał, miłosierne owe uczynki działaniu samej tylko przypisując wiary, to już z drugiej strony niewątpliwą mu się wydawała prawda, że niemożliwą jest miłość chrześcijańska w sercu w którem niemasz wiary. Miłosierne uczynki kolatora pozostały według rozumienia księdza tylko z świeckich pobudek, z chęci wypierania się przysłania wpływu i powagi, zjednania sobie ludzkiego szacunku i wdzięczności. A jeśli niekiedy przypisał jaki zacny uczynek „wrodzonej” łagodności charakteru i naturalnej dobroci serca, to zalet tym nietylko żadnej nieprzyznawał zasługi ale je odróżniał a nawet przeciwstawił owej „chrześcijańskiej” miłości bliźniego która tylko w świetle prawdziwej wiary kiełkować się może i owoce przynosić!..

W tym to duchu wypowiedzianem było pamiętne kazanie pogrzebowe wobec trumny stojącej na katafalku którego na jednej z pierwszych kartek niniejszej powieści powtórzyli, w wybitnych jego ustępach dosłownie je podając.

Do tego to dnia cofnąć nam się wypada wypowiedzianemu kazaniu.

Przypomną sobie zapewne czytelnicy wrażenie jakie wywarło owo pogrzebowe kazanie na sąsiadów nieboszczyka, których dzieci pogrzeb szanownego i kochanego współobywatela zgromadził w wiejskim kościółku. Przytoczyliśmy wyrazy oburzenia którymi napiętnowali tę przemowę księdza, urągającą pamięci zmarłego, pp. Marcin, Izydor, Teofil i Stanisław. Tymi goręcej jeszcze od nich uczuli wyrządzoną w ich mniemaniu krzywdę śp. panu Sewerynowi, a niepotrzebujemy zaręczać że najgoręcej uczuła to młodzież okoliczna, która lgnęła do nieboszczyka z największą czcią i zaufaniem. Imponowała im jego wyższość umysłu i wszechstronna nauka a nowożytny postępowy kierunek jego wyobrażeń i szlachetne uczynki, życie jego wszelkich pełne poświęceń, budziły w nich uwielbienie i zapał bez granic.— Z wyjątkiem kilku powiatowych dandysów, płytkiego umysłu i wątpliwej wartości moralnej, cała

Przepisał Medryca
Sekcja ...

młodzież okoliczna, której serca najsilniejszem uczuć uderzały prądem, garnęła się wokół p. Seweryna, ślepo poddając się jego wpływowi. Wpływu tego jednak w kwestjach dotyczących religji nie nadużywał bynajmniej p. Seweryn. Karcił egzaltację fałszywej bigoterji, fanatyzm i nietolerancję, potępiał farmazoństwo i jezuityzm, ale nienarzucał nikomu swoich mniemań ani nawet uważał za niepotrzebne aby je wyjawiać. „Czyż nie lepiej (: mawiał on :) mówić o tem w czem, niż o tem w co tylko wierzymy?"

Dość na tem że młodzież, żywo dotknięta pogrzebowem kazaniem, idąc za trumną na cmentarz nie powstrzymywała wyrazów oburzenia a wracając skupiwszy się razem, zaczęła podawać sobie nawzajem rozmaite plany pomszczenia się na kaznodziei. W rezultacie tej narady podjęło się kilku napisać korespondencję do dzienników, dwóch zaś w celu wypłatania księdzu jakiejś psoty studenckiej, niedoszedłszy do cmentarza siedli na sanie i wrócili do wsi. Był to p. Zbigniew, syn znanego nam p. Stanisława i p. Karol, jego brat cioteczny. Sanie ich zatrzymały się przed plebanją. Wyszedli i pod pozorem że bardzo przeziębli, niezważając na nieobecność gospodarza weszli do jego pokoju aby się nieco ogrzać.

Co tam robili – niewiemy. Wyprawiwszy kucharkę księżą z jakimś poleceniem do furmana któremu wyprzęgać kazali były odjechać do karczmy, zajęli się tymczasem jakąś robotą koło zawiasków i rygli u obu okien a widocznie śpieszyli się bardzo aby ich przy tem niezastano. Gdy służąca wróciła, ubierali się już w niedźwiedzie i zabierali się do wyjścia.

Doszedłszy do karczmy, wypili po kieliszku wódki, siedli na sanie i pojechali. Żwawe kare koniki w szybkim biegu zagrzechotały dzwonkami.

Rzecz dziwna jednak, późno w nocy widziano znowu te same sanie przemykające się polem poza wsią koło sadu od strony plebanji. Dostrzegła je jedna (wdowa Wojciechowa) z miejscowych bab dewotek, śpiesząca na modlitwę do owej kapliczki pod lasem przy której przed kilkoma laty w zimie zakonnik tak świątobliwie żywot zakończył. – Rzecz dziwniejsza jeszcze, od sanek odjęto dzwonki mimo dość ciemnej nocy i cicho jak cień podjechały aż pod płot sadu plebańskiego. Dwóch ludzi wysiadło, obaj zrzucili z siebie futra niedźwiedzie. Trzeci w sobolach siedział na koźle.

— Psów tu niema? zapytał jeden z nich po cichu.

— Zdaje mi się że niema — szepnął. I dodał podając z sani jakieś zawiniątko: Ale dla bezpieczeństwa weź zawsze laskę!

— Ej, gdyby nas przy opadły... toby było fatalnie! – rzekł drugi.

— No przecież nas nie zjedzą... – odparł trzeci. – Chodźmy w imię Boże!

— A niezapomnij Zbisiu: r przez gardło! Podobieraj wyrazy z r! – zawołał za nimi furman w sobolowem futerku.

— Chodź, chodź, już blisko północ.

Więcej stara Wojciechowa nie dosłyszała. Mróz dokuczał piekielny, nie mogła ustać tak długo na miejscu, przytulona do płotu. Usłyszawszy wreszcie imię Pańskie wymówione przy końcu poprzedniej niezrozumiałej dla niej rozmowy, była już dostatecznie zaspokojoną że ci dwaj panowie nie mają nic złego na myśli. Ruszyła dalej w drogę aby dokończyć ponownej pielgrzymki ku cudownej kapliczce. Wiatr się zrywał, zaczynała się zadymka. Pomiędzy drzewami sadu błyskało czasem światło z okien proboszcza.

Proboszcz jeszcze niespał. Klęczał on przed wizerunkiem Ukrzyżowanego przy którym na małym stoliku w staroświeckich lichtarzach dwie płonęły świece. Na pościelonem skromnem łożu leżała zrzucona sutanna i zgrzebna koszula, a proboszcz obnażony do pasa klęczał z wzniesionemi ku obrazowi rękoma, zaczynał

jaśniejącemi niebiańskim zachwytem jak u świętego. Grube i surowe jego rysy uszlachetniały teraz wyrazem męczeńskiej rozkoszy czy boleści — bo jedna i druga w cudowną jakąś zespoliły się harmonię. Obnażone się pomarszczone czoło, wzniesione w górę muskularne ramiona drżały od wzruszenia a na atletycznych barkach pokutnika błyszczały tu i ówdzie jak drogie rubiny — krople krwi. Na podłodze tuż przy nim leżała rzemienna dyscyplina...

Co piątku raz świątobliwy chłostał srogo grzeszne swoje ciało, ale nikomu z tem się nie zwierzał, nie chełpił przed nikim, owszem krył się z tem starannie, a dyscyplina leżała zamknięta w skrzyni w której przechowywał uzbierane na odbudowę kościoła kapitały. Jak te fundusze tak i ona była w oczach jego kluczem który mu miał otworzyć po śmierci wrota niebieskie.

Chwila w której zastaliśmy świątobliwego kapłana przy modlitwie była jedną z tych chwil niebiesznych, w których grzesznik najcięższy nawet przygnieciony pod brzemieniem wygórowanego poczucia swoich bądź to rzeczywistych, bądź urojonych grzechów, skołatany nadmiarem boleści i niewymownego żalu, skruszony do głębi, tonie wreszcie w owem rozkosznem omdleniu ducha, w ekstazie... Znika mu wtedy z przed oczu świat zewnętrzny, w sercu zabliźniają się rany, a jakby od kropli niebiańskiego balsamu ukojenia dziwna w duchu po przebytej burzy nastaje cisza i pokój; niby światłem jakiemś wewnętrznem przeniknione ciało uduchownia się samo, do lotu gotowe, niby mistycznych kwiatów wonią płyną arterie; — myśl bez treści i bez przedmiotu uczucie! wygasa świadomość jak tchnienie w eter anielskich rozwiane błękitów! Błogość unicestwienia istoty naszej w wszechharmonii bytu — stan ducha do którego oprócz mistyków chrześcijańskich chyba tylko wyznawca buddhistycznej Nirwany wznieść się zdolny...

W naszych jednak czasach, najwyżej nawet wzlatujące ku niebu duchy, oddychając całe życie tak nieprzyjazną zachwytom mistycznym atmosferą, nie długo utrzymać się mogą na tej uniesienia wysokości. Słabną skrzydła — duch ku ziemi upada. Lecz jak błogo, jak lekko jeszcze i wtedy na sercu, gdy duch na wpół oprzytomniony, odzyskując świadomość bytu, którego brzemię czasowo zdjęła zeń chwila — duchem dopiero się czuje — a jeszcze nie człowiekiem w niewolnicze więzy ciała spętanym. Brzemię grzechów nie ciąży mu jeszcze, pod którego ciężarem zachwiany w proch [illegible] spłakany upadnie, on czuje jeszcze w tej chwili niepokalaną anielskość swoją, on czuje się usprawiedliwionym przed Panem, czystym i wolnym i silnym — tak silnym że na skrzydłach swojej modlitwy unieść ku niebu swych braci omdlałych w locie, o skrzydłach zbrukanych, złamanych...

O owieczkach pasterskiej jego powierzonej pieczy myślał w tej chwili zacny kapłan... I nic dziw że przyszedł mu na myśl i ten także którego zwłoki dziś właśnie odprowadził na miejsce wiecznego spoczynku... zbłąkana owieczka, której może surowy obowiązek nakazywał odmówić kąta święconej ziemi...

Wtem dzikim jakimś dźwiękiem zabrzęczały szyby okien... zgrzyt przeraźliwy jakby dwie tafle szklane ostrym starły się kantem...

Proboszcz zadrżał, ręce wzniesione opadły mu ku ziemi...

I jakby pchnięte przesilnem tchnieniem burzy która stuletnie dęby łamie w posadach, oba okna o podwójnych ramach rozwarły się nagle, a jedno nawet skrzydło z łoskotem i dźwiękiem strzaskanych szyb runęło na ziemię...

Mroźny podmuch wiatru wionął do pokoju — jedna z świec przed krucyfiksem zagasła. Z przerażeniem spojrzał kapłan ku oknu. Na ciemnem tle nieba rysowała się biała postać...

— Wszelki duch chwali… wyszeptał proboszcz aby odżegnać upiora, ale reszta słów zamarła mu w gardle. Chciał się przeżegnać ale mu ręka zdrętwiała, podnieść jej nie mógł.

Smutnym grobowym tonem, cicho ale jak na ducha nieco pospiesznie odezwał się p. Seweryn:

— Proboszczu! proboszczu! zrobiłeś mi krzywdę straszną!…

Był to niewątpliwy głos p. Seweryna — i jego wymowa. Charakterystyczne r gardlane tak brzmiało w jego ustach jak za życia.

— Gorzko będzie w piekle…

I czy proboszcz ruch jakiś zrobił rozpaczliwy, czy się duchowi tak wydało że powstaje na nogi aby go schwytać — duch urwał swoją piekielną eskortę na tych wyrazach — i znikł.

Gdyby to nie duch, powiedzielibyśmy że uciekł.

Zadymką wiał wicher na dworze, płatami śniegu przerzucał przez rozbite okna.

Proboszcz leżał na ziemi — bezprzytomny. Krzyk jakiś chrapliwy wydobył mu się z krtani jakby go kto ściskał za szyję. Źrenice wywróciły się białkiem do góry, ściśły się zęby, zapieniły usta krwawą pianą, wyprężone epileptycznie ręce miotały się w bezładnych ruchach, twarz przekrzywiona sczerniała, a głowa w strasznej drgawce dudniła na deskach podłogi….

A tymczasem p. Zbigniew z p. Karolem przedarłszy się przez płot dzwoniąc zębami, dobiegają czemprędzej do sanek, otulają się w futra. Siedli i jadą, sunąc po śniegu jakby po szynach kolei.

— A cóż? — zapytał ich furman, brat p. Karola.

— Paradnie się udało!

— Ale już byłem w strachu… zdaje się że chciał nas łapać…

— Et! stchórzyłeś po prostu. Ani mu to w głowie — on taki był przerażony!.. Padł na kolana…

— Ale dlaczego on był bez koszuli?

— Rozbierał się właśnie… ho, ho, teraz nie zaśnie tak prędko…

— Chyba dlatego że my mu okna wytłukli.

— Ma za swoje szelma!

I głośnym śmiechem zawtórzyli tym słowom.

Tymczasem inna odbywała się scena na plebanji.

Łoskot upadającego okna i brzęk potłuczonych szyb zbudził kucharkę mieszkającą po drugiej stronie sionki. Przestraszona zarzuciła naprędce chustkę i wyszedłszy do sieni zapukała do drzwi proboszcza. Drzwi jak zwykle zamknięte były na klucz.

— Jegomość! jegomość!

Proboszcz nic nie odpowiedział.

— Księże proboszczu! co to się stało?

Milczenie.

Przerażona sługa zapukała raz jeszcze i jeszcze raz a coraz głośniej! I coraz natarczywiej prosiła o odpowiedź — naprożno. Wreszcie wielce zaniepokojona obuła trzewiki i wyszła na podwórze aby choć przez okno zaglądnąć do pokoju proboszcza.

Z przerażeniem spostrzegła otwarte na oścież okna. Zbliżyła się i straszny jaki widok przedstawił się jej oczom….

Okna rozwarte, porozrywane z zawiasów, izba śniegiem zawiana, na podłodze twarzą ku ziemi leżący proboszcz, obnażony do pasa, ręce rozkrzyżowane, plecy krwią zlane, usta czerwoną okryte pianą... Leżał nieruchomy jak trup.

Przerażona gospodyni chciała zrazu wołać ratunku, ale ileż to minęłoby czasu, zanimby zbudzeni jej wołaniem sąsiedzi zbiegli na plebanię. — Marta więc przez okno do pokoju i probowała podnieść leżącego. Coś niby jęk, niby westchnienie dobyło się z jego piersi. Z radością przekonała się Marta (: to było imię gospodyni :) że nie zabity. Zaczęła mu skronie nacierać śniegiem, pobiegła do spiżarki po flaszeczkę octu i dała mu powąchać. Proboszcz odzyskał przytomność. Spojrzał na nią i poznał widocznie bo zawołał po imieniu: Marta... (Podniósł się na ziemi z jej pomocą.) Potoczył potem przerażonym wzrokiem po pokoju, wstrząsł się ujrzawszy otwarte okna, ręką przesunął kilkakrotnie po czole, jakby chciał przypomnieć sobie co zaszło albo przekonać się że to nie sen okropny, że to rzeczywistość.

— Jegomość!.. co jegomości?.. co się tu stało? — wrzeszczała mu nad uchem Marta, sądząc że należy mówić jak najgłośniej aby ją zrozumiał.

Nic nie odrzekł wcale, powstał z ziemi za jej pomocą na nogi, i opierając się na jej ramieniu, sunął drżącym krokiem do łóżka. Usiadł. Leżącą na łóżku sutanną zakrył wstydliwie nagie swoje piersi.

— Tu zimno, okna wybite! Chodź jegomość do mojej stancji albo do gościnnej... Jezus Maria Józefie święty (Matko Boska)! co się tu stało? Jegomość cały pokrwawiony!.. Co się tu stało?.. Może posłać po doktora?

— Nie, — nie trzeba.. — odrzekł proboszcz, wzdrygnąwszy się na wzmiankę o tym niedowiarku do którego wstręt szczególny uczuwał. — Nic mi już nie jest — dodał po chwili.

Umaczała ręcznik w wodzie i obmyła mu twarz i usta a potem poprowadziła do pustej izby gościnnej.

Posłała łóżko, rozniecila ogień w piecu. Proboszcz kazał jej wyjść z pokoju, rozebrał się i położył. Po chwili wróciła.

— Jakże teraz jegomości? — Może jegomości dać trochę wina? Może rumianku zgotować, albo mięty?

— Niczego mi nie potrzeba Marto, niczego... Niezdrowo: rano msza, muszę być naczczo, a teraz już po północy..

— A już po północy, jegomość!... Co się to stało?.. Ze chyba jakieś zbóje wpadli?... Może dać znać do wójta?

— Nie zbóje Marto... nie. To ja sam wszystkiemu winien... to ja sam!

— Ej, co też Jegomość mówi! Przecież jegomość sam okien nie powytłukał, zawiasów nie powyrywał? I sam się przecież jegomość tak nie pokrwawił?.. Jezus Maria Józefie Święty, Matko Boska! Oni pewnie wpadli do jegomościa i bili i pytali o pieniądze?..

Na wzmiankę o pieniądzach, zadrżał proboszcz.

— Idź Marto do mego pokoju, i zamknij skrzynię na klucz..... A na podłodze znajdziesz dyscyplinę, włóż ją także do skrzyni.... Widzisz, to ja sam chłostałem grzeszne ciało moje...

Spojrzała na niego jak na świętego, ucałowała rękę i poszła wypełnić dane jej rozkazy.

Znalazłszy dyscyplinę, ucałowała ją z czcią religijną jakby relikwię. Zdarzenie całe wydało się jej teraz zupełnie jasnem i zrozumiałem, wytłumaczyła je sobie wedle swoich pojęć. Oto ksiądz niewątpliwie wypędzał dyscypliną grzechy.. może djabły (: odpuść Panie! :).. a one nie chciały

porozbijały tak okna. Drzwiami oczywiście wejść nie mogły, nie tylko dlatego że były zamknięte, bo mogłyby były wyrwać je z zawiasów tak jak okno, ale dlatego że niedawno ona sama napisała ~~[illegible]~~ nad drzwiami kredą święconą w dzień Trzechkróli owe trzy litery C.+M.+B.+ niedozwalające złemu duchowi przekroczyć progu. Ksiądz jak dłubały zobaczyć musiał się tak przestraszyć że ~~zemdlał~~ zemdlał... a może przez usta mu ~~[illegible]~~ powylatywały że także miał zapienione?

Ale nie czas było rozstrzygać tych wątpliwości. Raz jeszcze nadłamała względy dyscypliny i podniosła ~~przymknięte~~ przymknięte wieko skrzyni aby zajrzeć tam w głąb.... Aj! co tu pieniędzy! – Bo mało w głos nie wykrzykła. Nigdy nie widziała tyle nagromadzonej w jednym schowku mamony. Bankocetle ~~obligacyj, dukaty~~ różnej wielkości i wartości, (poukładane w paczkach) arkuszowych obligacyj cały stos ~~paka~~, złotych dukatów kilkadziesiąt w przezroczystej jedwabnej sakiewce i jeszcze (spory) worek płócienny ze srebrem!... Zkąd on nabrał tyle pieniędzy! Żyje tak ubogo, tak oszczędza, tak skąpi w najmniejszych wydatkach, je lada co, wina nie ma ~~[illegible]~~ w domu chyba na lekarstwo, w karty nie grywa jak inni księża, gości nie sprasza... (nie dziw że) ma, pieniędzy ma pełną skrzynię! Sknera! A mnie gdym go prosiła o zapomogę dla ~~[illegible]~~ mego syna który warsztat ~~stolarski~~ w mieście otwierał – nie chciał dać! Kutwa!.. I na co on to chowa?.. Krewnym swoim nawet nie da, nie chciał jak tu przyjeżdżali z prośbą! Skąpiec!... Ale zkąd on tyle ~~nabrał~~ nazbierał tego skarbu? (choćby nie wiem jak skąpił to) jużci (nie uzbierałby tyle z dochodów) ~~[illegible]~~ swojej plebanji!... Jezus Maria Józefie Święty Matko Boska... może on to ma od... Złego! Nieboszczyk Organista jak się upił, to zawsze mówił że on świętego udaje ale że w nim djabeł siedzi... Jezu Najsłodszy ratuj!... ~~(przeżegnała się krzyżem świętym)~~

I przeżegnała się krzyżem świętym. ~~Stała~~ nad skrzynką pochylona, oderwać oczu nie mogła od tego blasku szatańskiego, jak ptaszyna gdy się wzrokiem węża spotka. Poruszyła papiery, wysunęło się ~~[illegible]~~ pomiędzy nich kilka dukacików niezwiązanych do sakiewki. Wzięła jednego z nich ostrożnie w palce... Jak się to świeci! To złoto! prawdziwe złoto!... A gdybym schowała?... Jezus Maria.. to grzech!... Bo, ale on tyle tego ma, a mnie tak lichu płaci... jużci mi krzywda!... odbiorę tylko swoje, to co mi się ~~[illegible]~~ sprawiedliwie i tak należy... To jego grzech a nie mój!

– Marto, Marto! – wołał proboszcz z drugiego pokoju.

Zadrżała Marta jakby usłyszała trąbę archanioła na sądzie ostatecznym. Zamknęła czemprędzej ~~[illegible]~~ wieko, obróciła kluczem w zamku raz ~~[illegible]~~ i drugi.

– Idę jegomość, idę! – i pobiegła. Dukacik pozostał jej w ręku.

– Cożeś tam robiła tak długo?

– Nic jegomość! patrzałam na tę rujnację.

Toddała mu klucz od skrzyni.

– Przynieś tu krucyfiks i świece..

– Na co jegomość? – zapytała zatrwożona tym rozkazem. Dukat piekł ją w ręku. ~~[illegible]~~

– Przynieś... nie pytaj.

Przyniosła i postawiła na stole. Dukat parzył jej dłoń jak rozpalony węgiel.

– Przysięgnij mi (:mówił proboszcz:) że o tem wszystkiem co dziś zaszło w nocy, nikomu ani słowa nie powiesz!

Ciężar spadł jej z serca.

– Nic jegomość! dlaczego?.. jak bo sama nie wiem jak się to wszystko stało i kto to zrobił!

– Nie pytaj o to i przysięgnij na rany Chrystusowe! Ja tak chcę!...

J. J. W. R.

Marta wiedziała z doświadczenia, że przeciw tym słowom „ja tak chcę!" żaden nie pomoże argument. Jeszcze jeden skrupuł jednakże przyszedł jej na myśl.

— Jegomość! a jak ludzie jutro zobaczą okna wyrwane z zawiasów?

— Rano, ze świtem, każesz parobkowi zasadzić okna i naprawić jak potrafi. Choćby miał je gwoździami poprzybijać… Powiedz mu…. powiedz mu prawdę: że niewiesz jak się to stało… A teraz przysięgnij.

Marta przysięgła.

Jak noc przepędził proboszcz, czy wyczerpane gwałtownem wzruszeniem siły przywołały sen pokrzepiający, czy też rozdrażnione nerwy snać mu niedozwoliły – niewiemy. O ósmej godzinie jednakowoż, acz strasznie blady i zmieniony na twarzy, czytał on jak codzień cichą mszę przed ołtarzem, a powróciwszy z kościoła i pokrzepiwszy się szklanką kawy, spędził całe przedpołudnie na modlitwie.

— — —

Marta wiernie dochowała przysięgi – i dukata. Z dukatem było więcej kłopotu w sumieniu, z przysięgą kłopot wielkiej jeszcze w powściąganiu gadatliwości. – Ale na wszystko znajdzie się rada. Mimo całej sofistycznej elokwencji niemogła przekonać swego sumienia że przywłaszczenie sobie owego dukacika nie jest kradzieżą ale tylko odebraniem niesłusznie zatrzymanych jej zasług. Ona upierała się przy swojem a sumienie przy swojem. Weszła więc z niem w kompromis. Zwrócić dukata niebyło podobna bez przyznania się do kradzieży, bo skrzynia zawsze stała zamknięta. Podrzucić? niemożna, rzecz wyszłaby na jaw. Postanowiła zatem za najbliższą bytnością w mieście odpustowem dać go na mszę na własną intencję, a tak jeśli się on proboszczowi należy to mu go Pan Bóg zwróci, a to ona ile kradzieżą popsuła sobie sprawę w rządzie niebieskim, to przynajmniej tyle a niezawodnie i więcej poprawi ją sobie za pomocą mszy świętej odprawionej przed cudownym obrazem na jej intencję. Jeśli zaś dukat ten jest jej prawnie nabytą własnością, to cały zysk z obrachunku buchhalterii niebieskiej na niej przypadnie… Zresztą, pomyślała, lepiej zawsze żeby ten dukat był w boskim ręku niż żeby leżał bezużytecznie w szkatule proboszcza. Pan Bóg najlepiej będzie wiedział co z nim zrobić.

Większy był kłopot z przysięgą. Wielce zadziwionemu tak osobliwszą ruiną parobkowi, powiedziała wedle woli proboszcza, że „niewie jak się to stało," a gdy parobek niezawolony taką odpowiedzią, szukał rozwiązania zagadki w różnych domysłach i zauważył że wiatru takiego niebyło tej nocy aby mógł w oknach zawiasy powyrywać, że to zatem chyba złodzieje zrobili, wtedy zaprzeczyła temu stanowczo:

— Pleciesz sam niewiesz co! gdyby złodzieje to zrobili, toby im było wystarczyło jedno okno a nie dwa! i byliby zabrali skrzynię z pieniędzmi, a przecież widzisz że nie wzięli… ot, lepiej się niedomyślaj wcale! ⌈… Ja nic niewiem, nic niewiem… a gdybym nawet wiedziała, tobym niemogła powiedzieć, bo mi Jegomość kazał przysiądz przed Panem Jezusem że nic nie powiem… Jezus Marja Józefie święty matko Boska, a gdzieżbym ja przysięgę złamała!

Zbyteczną byłoby rzeczą dodawać że po tak skrupulatnem dochowaniu przysięgi przez księża gospodynię, w przeciągu kilku dni najdziwaczniejsze po całej wsi o tajemniczem zdarzeniu obiegały pogłoski i najnieprawdopodobniejsze tworzyły się domysły. ⌈

Obaczmy teraz jak się na to zapatrywał sam proboszcz, ocknąwszy z pierwszego przerażenia.

⌈ To strach nawet dochodzić!

⌈ Proboszcza jednak nikt zapytać nie śmiał, wiedząc o przysiędze którą kazał złożyć gospodyni.

Łatwo domyśli się czytelnik, że ksiądz Tomasz jakkolwiek w zupełności wierzył w prawdziwe zjawienie się ducha śp. Seweryna, wcale jednak inaczej zrozumiał zrobiony mu przez tegoż zarzut i zagrożenie piekłem, niż to pragnęli sprawcy niedorzecznej mistyfikacji. Wrażenie udało im się wywrzeć nadzwyczajne, bez porównania większe niż zamierzali; wpłynęło ono potężnie na zdrowie i na umysł proboszcza, ale wpłynęło na umysł jego w wręcz przeciwnym kierunku temu co mieli na celu. Zwykły to los wszelkich mistyfikacyj, zarówno czy jednostka są jej przedmiotem czy społeczeństwa i narody. Dla złej sprawy skuteczną ona niekiedy może być bronią, dla dobrej bywa zawsze zgubną. Prawda nie zwycięża zaporą fałszu i kłamstwa. Kuglarską sztuczką nie zwalcza się przesądu lecz nowy się przesąd wytwarza...

Słowa ducha: „proboszczu, straszną zrobiłeś mi krzywdę!" zrozumiał proboszcz w ten sposób, że nieboszczyk użala się na niego iż niedopełnił wobec niego obowiązku duszpasterza i nie starał się z należną gorliwością o jego nawrócenie. Uczuł on ciężką swoją winę i skruszony do głębi serca, czuł że zasłużył na straszliwą groźbę: gorzeć będziesz w piekle!...

Nadaremnie nasuwała mu pamięć łagodzące jego przewinę okoliczności, a było ich zaiste niemało. Zamiast aby te przypomnienia ukoiły jego boleść (stały mu się one przeciwnie nowem źródłem boleści) nieszczęśliwy starał się je usunąć z myśli uważając je za nagabywania szatana, który kusi grzeszników do usprawiedliwiania występków swoich, pragnie bowiem uśpić czujność ich sumienia i niedozwolić im uprosić łaski Bożej obudzenia w sobie doskonałej skruchy. Biada grzesznikowi który nie jest oskarżycielem własnym ale adwokatem! powtarzał w duchu ksiądz Tomasz i mimowolne przypominanie usprawiedliwiających jego postępowanie okoliczności poczytywał sobie za nowy ciężki grzech. Działo się w jego duszy to, co się dzieje w sercu wszystkich skłonnych do egzaltacji religijnej penitentach. „Żal za grzechy jest gniewem na siebie samego" powiada jeden z Ojców kościoła. Otóż gniew ten starają się oni rozkołysać szturmem i do najwyższej podnieść potęgi. W szale tego gniewu (przesadą obwinienia i umyślnem podawaniem w niepamięć wszystkiego co ich winę zmniejsza) z oskarżycieli własnych stają się oszczercami, i jak tego żąda jeden z czytanych wiele pisarzy katolickich X. Gaume (zjadłszy n. p. w dzień postny talerz rosołu lub opuściwszy niedzielne nabożeństwo:) obwiniają się „o najczarniejszą niewdzięczność, najsromotniejsze wiarołomstwo, najniecniejszą zdradę — bo wszakże tem wszystkiem jest grzech!..." (grzech każdy, choćby najmniejszy.) I tak „gniew na siebie samego" zmienia się w szał i w bezrozumne okrucieństwo wściekłość, a to wszystko z powodu zaniedbania mniemanego obowiązku, którego zaniedbanie najmniejszej innym ludziom nie przynosi szkody. W tym stanie wypaczonego egzaltacją i chorobliwie rozgorączkowanego sumienia cierpią niewysłowione katusze. Nie trzeba piekła po śmierci — oni piekło przechodzą za życia, w wierzeniu, że mają obłąkaniu...

Takie piekło wrzało w piersi księdza Tomasza.

W średnich wiekach, zwanych przez nowoczesnych fanatyków i faryzeuszy „wiekami wiary" i sławionych z taką emfazą, w wiekach mordów tysięcy ludzi z innej religji, w wiekach wojen religijnych, rzezi bartłomiejowych, stosów płomiennych, tortur i Inkwizycji, zdarzało się nieraz że przywalony nadmiarem żalu grzesznik skonał przy konfessjonale. Dziś fanatyzm bezsilny, do jawnego prześladowania braknie mu dziś władzy, nie smaży innowierców przy powolnym ogniu, w dzień jasny nie poważy się mordować. Nie masz już fanatyków szerzących wiarę mieczem i ogniem, ale (z wyjątkiem niektórych klasztorów

niemasz już fanatycznych pokutników. Nie słyszeliśmy w naszych czasach aby penitent skonał z żalu za grzechy...

Bądź co bądź, niewiele brakowało a byłby należał do tych nieliczonych wyjątków nasz ksiądz Tomasz. Musimy bowiem przyznać że stan okropny w jakim go znalazła gospodyni po rozstaniu się duchem z p. Seweryna, nie tyle był może skutkiem samego przerażenia jak również i ogromu żalu i skruchy w jakie go pogrążyły słowa nieboszczyka. Nie umarł ale dostał pierwszego ataku strasznej choroby zwanej chorobą Śtego Walentego. – Odtąd na jawie i we śnie co chwila jawiła mu w wyobraźni blada twarz pana Seweryna a jak Gustaw w Dziadach godziny spędzone z kochanką tak on w duszy swej ~~odrzucał~~ ~~codzień~~ mimowolnie wznawiał codzień i odnawiał rozmowy swoje z nieboszczykiem. Zmartwychwstawały mu one w pamięci ~~[illegible]~~ tak żywo, jakby nie wspomnieniem były odległem ale przywołane ~~[illegible]~~ powtórnie do żywej rzeczywistości.

— — — —

Dwie próby od czasu swej installacji uczynił był proboszcz celem nawrócenia p. Seweryna; trzecia próba udaremnioną została nagłą śmiercią nieboszczyka, jak bowiem czytelnikom wiadomo, skonał tenże w chwili wstąpienia proboszcza na próg jego pokoju. –

Raz pierwszy udał się proboszcz w tym zamiarze do kollatora jeszcze za życia owego jowialnego biskupa o którym nadmieniliśmy mimochodem w jednym z poprzedzających rozdziałów.

Po długiej, żarliwej modlitwie udał się ksiądz Tomasz do dworu. ⌈ ~~P. Seweryn przywitał go ze zwykłą staropolską gościnnością:~~

⌈ Na twarzy miał uroczysty wyraz pełen apostolskiej powagi i namaszczenia. Każdy ruch jego naznaczony był ową naturalną godnością jaką nadać może tylko głębokie poczucie wzniosłej missji.

— Laudetur Jesus Christus!

— Na wieki. Jak się masz proboszczu! Gość tak rzadki!

I przywitał go p. Seweryn ze zwykłą staropolską gościnnością.

~~[illegible]~~

— Wina, ciastek! – zawołał na służącego.

— Nie na wino i nie na ciastka tu przychodzę – przerwał mu surowym tonem proboszcz — ale dla dopełnienia kapłańskiego obowiązku...

P. Seweryn spojrzał nań zdziwiony F Proboszcz mówił dalej:

F Spotkały się jego jasne błękitne oczy błyszczące wewnętrzną pogodą z surowym wzrokiem kapłana.

— Zbawienie owieczek tej parafji powierzone mej pieczy i odpowiem ~~[illegible]~~ kiedyś za każdą z nich przed sądem bożym jako ich pasterz. Przychodzę cię upomnieć panie kollatorze abyś nie zaniedbywał obowiązków ~~[illegible]~~ które na tobie ciężą tak samo jak na każdym z najuboższych wieśniaków mej parafji... a z powodu stanowiska wyższego na którem Bóg cię postawił ciężą na tobie bardziej niż na którymkolwiek bądź z twych podwładnych, których gorszysz i do złego wiedziesz przykładem twoim...

— Ja? – zapytał p. Seweryn spokojnie, nie spuszczając oczu w których ~~[illegible]~~ wzrokiem księdza Tomasza ~~[illegible]~~ spojrzeniem pełnym świętobliwej grozy. – Ja?... Czy życie wiodę rozwiązłe? czy zbyt surowy jestem wobec sług? ~~[illegible]~~ Czy obrzędem się z kim nie po ludzku? Czym może odmówił komu ~~[illegible]~~ pomocy i ratunku w nieszczęściu? Czy może ~~[illegible]~~ ludzi do złego ~~[illegible]~~ ~~albo~~ nakłaniał... albo waśnił ich między sobą... albo poważnionych nie starał się pogodzić? Mów księże! mów śmiało: co mi masz do zarzucenia?

I lekki ironiczny uśmiech przemknął mu po twarzy.

— Nie te grzechy które pan wymieniasz... pod tym względem dotąd nic... ale daleko cięższe. Nie bywasz pan na mszy Śtej, nie odprawiasz spowiedzi, nie zachowujesz postów. Znosiłem to dłużej milczeniem niż był powinien, łudziłem się że się pan opamiętasz za łaską Bożą, ale teraz przekonawszy się o szkodliwym wpływie postępowania pańskiego na okoliczną młodzież szlachecką a nawet i na niektórych włościan — mieszczan dłużej – nie mogę...

P. Seweryn w odpowiedzi wyjął z szafki duży foliał i położył na stole. Była to biblia Wujka. Przewracał w niej kartki przez

chwilę i wskazał wreszcie proboszczowi palcem rozdział XIV. listu Śgo Pawła do Rzymian. I czytał:

— Bo jeden wierzy iż może pożywać wszelakich pokarmów, a ów zaś słaby (w wierze) jarzyny niech jada.

Ten który je, niechaj lekce nie waży tego który nie je; a który nie je niechaj tego nie posądza który je. Albowiem go Bóg przyjął.

Ty ktoś jest, co sądzisz sługę cudzego? Panu-ć swemu stoi albo upada. A ostoi się albowiem może go Bóg postawić.

Więc jeden różność czyni między dniami, a drugiemu każdy dzień jednaki. Zostań każdy przy mniemaniu swoim. — —

Przeto tedy każdy z nas za siebie da liczbę Bogu.

Atak dalej nie sądźmy jedni drugich....

Przerwał to czytanie proboszcz:

— Czy nie wie pan że wzbronionem jest katolikowi czytać Pismo święte bez pozwolenia zwierzchności duchownej? W tej chwili ciężki popełniłeś pan grzech. A zresztą słowa Pawła świętego zupełnie pan mylnie zastosowałeś i sprzecznie z wykładem kościoła.

— Sprzecznie z waszą teologią? Być może. A czy mylnie? To inna rzecz... Ale dajmy pokój biblji. Zostań każdy przy mniemaniu swoim... Co do mnie wydaje mi się zaślepieniem, że nie powiem grzechem, wierzyć, aby to miało wpływać na sąd boży czy kto jadł cielęcinę czy szczupaka, czy brał udział w wanych ceremoniach niedzielnych czy nie...

Wyrazem najwyższego oburzenia zrumieniła się twarz proboszcza

— Przestań pan — przestań! Każdem słowem bluźnisz!...

— Ba cóż mam koniecznie być widzem i słuchaczem za niedzielnych ceremonji i karań... które mnie tak gorszą jak może ciebie gorszy to co powiedziałem — jeśli tylko się gorszysz a nie uważasz za obowiązek udawać zgorszenia.... No, no, nie gniewaj się proboszczu! nie chciałem cię obrazić. — Słuchaj....

— Nie mogę słuchać obelg... Gdybyś je pan na mnie rzucał — słuchałbym, ale je rzucasz na świętą religję naszą...

— A więc mnie słuchaj jak apostołowie i missjonarze słuchają argumentów pogan, aby je obalić potęgą słowa... Ot wiesz co, siądź tu i rozmówmy się raz szczerze... pogadajmy...

Proboszcz wzbraniał się usiąść, — surowemu karcicielowi grzechów zbłąkanej owieczki nie przystawało utonąć w miękkich poduszkach przyrzuconego mu niskiego skarżu. Abbate wsobli nie czuły sprzeczności w tem położeniu, ksiądz Roman czuł ją instynktownie i wymownym ruchem ręki odmówił zaproszeniu kolatora.

— No, proboszczu, — siadaj lub nie, jak ci się podoba, ale mnie nogi bolą rozmawiać stojący.

To mówiąc usiadł p. Seweryn na kanapie. Proboszcz stał przed nim przez chwilę z założonemi na piersiach rękoma. Oskarżyciel stał przed oskarżonym rozpartym w wygodnem siedzeniu — zakrawało to bardziej śmiesznie tę niewzruszoną powagę i tę pewność siebie z jaką przyszedł pokonać przeciwnika. Uczuł on niewłaściwość tej pozycji — i po chwili wahania usiadł... Ah, jakże niemiło mu było w tych puchach,

[...Boć one się jawne jak sądzę...

jakże duch jego w nastroju grozy kapłańskiej spadał coraz niżej w tem rozhoworem gwiazdeczku do poziomu codziennych uczuć i myśli. – Śmieszności mu się wpnody wydało stać jak winowajca przed oskarżonym rozpartym na kanapie, teraz zdało mu się śmiesznością że usiadł po tak stanowczej odmowie;

Cała jego postać wyrażała zakłopotanie.

— Tak jest (:mówił p. Seweryn:), prawdę rzekłem szczerą, mówiąc że mnie gorszą wasze kościelne ceremonje. – Msza jest piękną, prawdziwie piękną obrzędem poważnym, uroczystym, pełnym najwznioślejszych wspomnień i myśli... Ale nabożeństwo tak jak je duchowieństwo dzisiejsze odprawia – to pytlowanie modlitw u ołtarza i pytlowanie ojczenaszów i zdrowasiek na różańcowych paciorkach, przez lud a na książeczkach nabożnych przez inteligencję .... to mnie gorszy, to mnie sprawia wrażenie zbiorowego co niedziela bluźnierstwa Bogu i rozumowi. Bóg jest najrozumniejszą istotą – a wy powtarzając mu raz po raz po tysiąc razy te same słowa, tak postępujecie jakbyście go mieli za idiotę!.. To są przesądne praktyki które mnie gorszą.... a lud który taką paplaninę uważa za najpierwszy obowiązek – demoralizują! To też mimo dobrych twoich intencji proboszczu o których nie wątpię, przez twe subtelności dogmatyczne których nikt zrozumieć nie jest w stanie – i dziecinnych ceremonjałów – któremi Boga obrażacie, demoralizujecie ten lud w gruncie serca poczciwy i odwracacie jego myśli i uczucia od rzeczywistych obowiązków – dla urojonych... Zdrowy jego rozum, – zdrowa, z serca płynąca moralność, – prosta, naturalna poczciwość – cierpi na tem... zmienia się w wyrachowanie najemnika, ogłupiającego, wszelki sposób z najmniejszym trudem dorobić się nagrody..! jak wykpić się z piekła spowiedzią i koronkami....

— Boże! Boże!... – powtarzał w duchu proboszcz, zdrętwiały od tego powodzi słów z których każde było bluźnierstwem i herezją, każde śmiertelnym grzechem i każde przejmowało go naprzemian to niewypowiedzianą boleścią to zgrozą i oburzeniem bez granic. Pochylił głowę, twarz nakrył dłońmi – i milczał. Od nawału uczuć rwał mu się wątek myśli, pulsa głośno tętniły w skroniach, zamieniło się czoło od wszystkich. Nie tylko więzy kapłańskiego zawodu ale wszystkie wstęgi całem niedawnym mu się odjąć takiego stekłu zdań (gorszących) stóp straszniejszych, od przekleństwa a z takim wypowiedzianych spokojem, z taką łagodnością i słodyczą głosu jakby ewangieliczne wyrazy jakiegoś kaznodziei. Dźwięczny i harmonijny głos p. Seweryna brzmiał mu w duszy jak chrapliwy głos trąby której nuta każda jest dyssonansem i zgrzytem, z każdą chwilą stawał się mu straszniejszą dla ducha torturą. Drętwiało w niej jego serce, nie był już w stanie iść za prądem tych dyssydenckich myśli, nierozumiał już wyrazów, – czuł tylko duha jakiem tchnęły i było mu tak jakby owionął go odurzający oddech otwartych czeluści piekielnych.

— Tak, tak proboszczu! – mówił dalej p. Seweryn. – Nie ja to gorszę i demoralizuję ten lud wiejski ani tę młodzież szlachecką która ma do mnie zaufanie. – Nie ich uczę miłości bliźniego, uczę ich prawości, oszczędności, nakłaniaj włościan aby zamiast na odpusty i kalwarie posyłali dzieci do szkoły → a niech formułki dogmatyczne przygłuszy raz w tobie głos prawdy. – Ty sam w nie nie wierzysz – ręczę za to, ile razy jesteś szczerym

wobec siebie samego... Wierzysz w nie chyba wtedy gdy ci się uda znarkotyzować się i zawrócić sobie głowę jakimś szałem ekzaltacji.... A księża inni czy wierzą? powiedz sam!... Ot n.p. w sąsiedztwie: taki ks. Marek – lichwiarz, kutwa, zdzierca, któryby i ostatnią koszulę ściągnął z swych parafian!... Albo opasły ks. Wenanty – obrzydły brzuchacz, smakosz, żarłok, opój... z którym niema mowy ani rozmowy; jeśli w karty z nim nie grasz to drzemie... A! a ks. Sylwan.... ten zaiste nie idzie w ślady swego patrona... ... No, to najgorsi. Ale z światłych i poczciwych księży – taki n.p. ks. Hugo – prawdziwy filantrop i dobroczyńca swoich owieczek – wielbiciel Schaninga i Parkera. Ksiądz Leon – archeolog i znawca sztuki – ale tyle wiary co Leon X.... Ks. Marceli – entomolog pisze dzieło w duchu Lamarka... Powiedz sam! powiedz sam?..

— Dość, dość, panie kolatorze! Jeśli są niegodni kapłani – nie nam rzecz ich sądzić... Nie sądź, abyś nie był sądzony...

— Aaa prawda! Wymieniłem ci takiego księdza Ignacego, księdza Piotra, księdza Hieronima! Ty wiesz sam proboszczu że to są faryzeusze, obłudnicy. Ksiądz Ignacy to intrygant, zawraca głowy kobietom fałszywą dewocją!, tworzy niezgodę w stadle gdzie jest spowiednikiem; ksiądz Piotr – ambitnik, zaraża swoim zelatorstwem (zamieniłby duszę diabłu za infułę i pastorał...!) na pelerynkę i pierścień... No, stary ks. Hieronim – ten trzech zliczyć nie umie – nieznośna figura świętoszka... ale może on ma zresztą wiarę prostaczka... on jeden... Ot masz jedynego katolika z całego okolicznego duchowieństwa! Ty proboszczu drugi. Księdzu Hieronimowi się nie dziwię – stary niedołęga i od lat 50 pewnie nie wyczytał oprócz brewiarza. Ale ty, ty proboszczu.... z twoim wykształceniem, z twoją nauką – jak ty możesz być tak zagorzałym katolikiem!

— Więc pan kolator mi oświadcza że nie jesteś katolikiem, w takim razie nie pozostanie mi nic tylko oznajmić parafianom moim że...

— No, no, no! – przerwał śmiejąc się p. Seweryn. – Nie ci nie oświadczam i parafianom nic oznajmiać nie potrzebujesz. Jestem katolikiem, jestem!... takim jak ty!... A jeśli nie wierzysz – to ci pokażę moją metrykę...

I wesołym, dobrodusznym roześmiał się śmiechem p. Seweryn, zadowolony jak dziecko z własnej odpowiedzi. Otworzył stojącą na stole puszkę z cygarami i podał proboszczowi.

Ksiądz Tomasz powstał z surowym, pełnym kapłańskiej grozy obliczem. Nie tyle jednak oburzenia ile boleści był w wyrazie jego twarzy, w dźwięku jego głosu.

— Nie do żartów to przedmiot (rzekł) o którym mówimy. Jeśli pan chce abym go uważał za katolika, w takim razie żądam (... żądam (: powtórzył z naciskiem:) abyś pan w tych dniach odbył spowiedź wielkanocną. – A teraz nie pozostaje mi już nic jak tylko pożegnać pana kolatora...

Pochwycił za kapelusz i zabierał się do wyjścia. Blady był, drżały mu usta.

Po raz pierwszy w ciągu rozmowy wyraz zniecierpliwienia przemknął po twarzy pana Seweryna.

— Żartujesz proboszczu, mówiąc o spowiedzi – żartujesz chyba!... A uważaj mnie zresztą za katolika lub nie – jak ci się podoba... to mi wszystko jedno!.. Na stosie mnie nie spalisz!... Minęły te czasy!..

Proboszcz ukłonił się zimno i z godnością i obrócił się ku drzwiom. Rumieniec gniewu wystąpił na twarzy p. Seweryna.

— A zamiast mnie wyklinać (: dodał w nerwowym rozdrażnieniu :) – zapytaj wprzódy biskupa... tak radzę... Bądź zdrów a miej rozum!...

Proboszcz już był za drzwiami.

Być może że nie słyszał on już ostatnich wyrazów p. Seweryna, nazajutrz jednak uczynił to czego zapewne inicjatywy tenże od niego żądał – pojechał do stolicy biskupiej dla zasięgnięcia rady jakie mu stanowisko wobec heretyka kolatora zająć wypada.

Srodze się zawiódł w swem oczekiwaniu. Inną wcale była odpowiedź biskupa na jego pytanie niż ta której się usłyszeć spodziewał.

Lekkim sarkazmu żartem zbył go zrazu biskup, głęboki znawca ludzi, w tem zapewne mniemaniu iż bryźnięcie śmiechem ironji taki na rozekzaltowaną głowę księdza Tomasza wywrze skutek jak bryźnięcie wodą zimną na szkła w gorączce. Chorobliwy mistyczny kierunek pewnej dziwięcznej sekty ultramontańskiej nazywał on zawsze „cichem obłąkaniem" i zwykłą sobie trzeźwością zdania ile razy wypadło mu o tem mówić, dodawał: „ale uchowaj Boże dowierzać spokojności i łagodności tych warjatów; cicha manja zmienić się może przy lada sposobności w straszliwe szaleństwo: (mistyk staje się fanatykiem, manjak furjatem – z ascetycznej ekstazy wpada w szał, w wściekłość – gotów ranić i podpalać.. Zamykać – zamykać takich zawczasu do szpitala – albo do kamedułów!..

Nie poskutkowała tym razem kuracja przyznicowa którą biskup zwykł był szaleńców tego rodzaju przyprowadzać do opamiętania. – X. Tomasz żartobliwym tonem biskupa dotknięty głęboko, odpowiedział w sposób tak uroczysty i pełen grozy, jakby przystało apostołom wobec pogan szydzących z Chrystusowej religji ale jak nie godziło się przemawiać do dygnitarza kościoła a swego przełożonego.

– Oszalałeś? – zawołał zniecierpliwiony biskup. – Chcesz mi nauki dawać? Ty mnie?... na rekolekcji cię osadzę!... Rozumiem cię teraz. Pycha z ciebie mówi!.. Twój kolator to twój dobrodziej, pamiętaj o tem... Na dobrodzieja twego się miotasz. – Heretyk? co?.. Obyś ty mu tylko dorównał w cnotach! Tyś mu niewart rzemyków rozwiązać jego obuwia!... Przeproś go jeśliś obraził... przeproś... ja każę!... Cóż to? czy się nie uczyłeś: Infirmum autem in fide assumite... Z słabego w wierze tyś gotów uczynić wroga kościołowi.. Idź – a nie szalej! ... Ani słowa więcej! ... Bądź zdrów.

Po takiej odprawie smutny i zmęczony wrócił proboszcz do domu; posłuszny biskupowi zaprzestał dalszych usiłowań złamania oporu kolatora; nie pokwapił się wprawdzie do obowiązku przeproszenia go, nie sądził bowiem aby go mógł był postępowaniem swem obrazić, ale przeciwdziałając szkodliwym jego wpływom wedle możności, zaprzestał jednak w kazaniach swoich wszelkich wyraźniejszych wzmianek któreby sprowadzić do niego ściągać się mogły. (Nie dowiedział się nigdy Ks. Tomasz że w kilka dni po bytności jego w stolicy, biskup odwiedził umyślnie przyjaciela swego aby go zapytać czy wiema powodu działania się na proboszcza.) – „Nie" – odrzekł p. Seweryn po chwili namysłu, „to człowiek moralny – ludzi nie zdziera jak inni – uczciwy człowiek... No, trochę fanatyk, to prawda. Wolałbym aby więcej chrześcijańskiej uczył moralności niż dogmatu... ale to

trudno ... całe prawie duchowieństwo dziś takie. ~~[illegible]~~ Jam zadowolony że ks Tomasz takim jest jakim jest ... a nie gorszy.

— Jakże wiesz co on dokopiero uczy, kiedy w kościele nie bywasz panie Sewerynie! — zapytał biskup z łagodnym wyrzutem.

— Wiem ja, wiem .... i wnoszę ~~[illegible]~~ o nauce po owocach jej, choć nie bywam w kościele.

— Źle robisz — źle mój drogi! Tyś powinien bardziej od innych wiedzieć że religja to jedyny łącznik jaki jeszcze pozostał między szlachtą a ludem....

— Nie jedyny... nie. A tam gdzie innego niema — to wierzaj mi Illustrissime że tak jest jakby żadnego nie był.

— A historja? — zapytał biskup

— Historja?.. Oh, historja!... Ona w mem rozumieniu właśnie dowodzi że ~~[illegible]~~ alians z Rzymem był zawsze fatalny. Poświęcaliśmy Rzymowi sto razy wszystko ziemskie — a Rzym dla interesu świeckiego swej polityki zawsze nas poświęcał ... i będzie zawsze poświęcał...

— Daj pokój .... Sto razy mówiliśmy już o tem — i nie zgodzimy się... Gotowiśmy się poróżnić kiedy z tego powodu.

— O nie, z Tobą nigdy! Tyś człowiekiem dobrej woli. Szanować muszę twe przekonanie, bo szanujesz cudze. Ty nie masz się za ~~nieomylnego~~ i nie powiesz jak ~~[illegible]~~ mówią ultramontanie: „fałszu szanować nie można tylko ~~[illegible]~~ go potępiać... ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ i tępić czem się da."..... a fałszem dla nich każde przeciwne im zdanie... Ciebie czczę i kocham, ~~[illegible]~~ religja nie zgłuszyła ~~[illegible]~~ w tobie ludzkości... ale jak niewielu was takich!

Biskup westchnął. Znać uznawał on uczciwość zarzutu p Seweryna.

— Daj rękę Sewerynie. W niejednem zgadzamy się jeszcze i popieramy nawzajem. Nie mówmy o tem co nas dzieli.

— ~~Religja~~ dogmat dzieli — ~~ludzkość~~ miłość łączy... wszędzie i zawsze.

— — — — — — —

Kilka lat minęło od tej rozmowy. Wiele się rzeczy zmieniło. — Biskup umarł. Na stolicy biskupiej zasiadł prałat zupełnie innych przekonań i kierunku, (wychowanek OO Jezuitów i wierny ich zwolennik.) — I w domu p. Seweryna ważna zaszła zmiana. Powróciła do domu rodzicielskiego córka, znajdująca się od lat kilku w stolicy na pensyi.

Wychowanie takie otrzymała Marylka w pensjonie Pani *** w stołecznem mieście, nieodpowiadało wprawdzie wszystkim wymaganiom jej ojca, lecz w każdym razie atmosfera moralna którą tam dziewczę przez lat kilka oddychało, ~~[illegible]~~ nieskończenie czystszą była i zdrowszą od odurzających zaduchów klasztornej klauzury, którą niestety tyle jeszcze u nas młodych istot się truje. ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ Mialżeż p. Seweryn wychowywać córki w domu pod okiem guwernantek, wiedząc o tem że jedna nauczycielka niemoże posiadać tyle nauki i talentów aby była w stanie ~~[illegible]~~ gruntowne (wszechstronne i) uczennicy swej ~~[illegible]~~

47 ~~dzieci wykształceniu; a w mierniej postaci obawiał się również aby Marylka w nauczycielce swej nie spotkała ideału któremu (jak się to często zdarza) dorównać pragnęłaby~~ ~~starać się podobną największą byłoby ułudą,~~ ~~[illegible]~~

możliwie wykształcenie; obawiał się również aby ulegając wyłącznemu tej nauczycielki wpływowi, Marylka nie uległa zwykłej chorobie młodych panienek wychowywanych w domu t.j. aby zaślepiona wyższością umysłową swej preceptorki nie ukochała w niej ideału, któremu we wszystkiem podobną stać się należy. Naśladowanie takich żywych wzorów tłumi zazwyczaj wszelką samodzielność myśli i uczucia, przetwarza się w odziwaczną jednostronność, w ślepe naśladownictwo a nawet w pewien rodzaj niewolniczej uległości, nader niebezpiecznej w późniejszym życiu gdy o własnych wychowaniu przyjdzie chodzić siłach. Rozumiał te niebezpieczeństwa domowego wychowania p. Seweryn i uznając wysoki pożytek jaki odnosi młodociany umysł z zetknięcia się dziewczęcia z rówieśniczkami, w poznaniu różnych charakterów, usposobień i kierunków, w przebyciu za młodu tej szkoły życia jaką częstokroć z tak ciężkim trudem w późniejszych latach innym przebywać wypadnie, przemógł na sobie aby na lat kilka rozłączyć się z ukochaną jedynaczką i powierzyć ją opiece właścicielki pensjonu, który (daleko wprawdzie będąc od zakładu wychowawczego jakiego byłby pragnął dla córki, bardziej jednakże od innych w stolicy na jego zasługiwał uznanie.

W szkole tej kształciły się dziewczęta różnych warstw społeczeństwa, nikła różnica stanów i zawiązywały się przyjaźnie szczere i niewinne bez względu na przyszłe stanowisko wychowanek w hierarchii społecznej. Wspólne wszystkim szlachetne uczucia i dążności które rzadkim darem i szczęściem jeszcze poświęceniem i wytrwałością zaszczepiać umiała w sercach swych uczennic pani xxx, wspólne pragnienia i miłość wspólnego wszystkim celu życia, wspólnego ideału — oto był węzeł który prawdziwie religijną łączył serca spójnią. A ideałem tym nie była mglista jakaś, nieuchwytna marzonka, nie kontemplacyjne jakieś aspiracje do mistycznej doskonałości, ani sekciarski zelotyzm i apostolstwo, ale jasno wytknięty cel o wyrazistych kształtach, program praktycznej pracy, pożytecznego życia. — Dziewczęta te nie pragnęły stać się gwiazdeczkami na niebie, aniołkami o śnieżnych skrzydełkach, fiołkami i liliami — ale każda z nich pragnęła stać się pożyteczną niewiastą w swej rodzinie i na swem stanowisku, współpracownicą wytrwałą w budowie tej drogi po której dąży ludzkość do światła i szczęścia...

Religijny nastrój ducha tak właściwy latom dziewczęcym nie przeradzał się w chorobliwą wyłączność fanatyzmu, nie kostniał w ascetycznym formalizmie, ale żywą strugą miłościwych uczuć i niespożytej w przyszłość ufności rzeźwił bujne pole myśli i szlachetnych zamiarów i postanowień. Światła kierowniczka zakładu zupełną wychowankom swoim pozostawiła wolność w wypełnianiu obrządków kościelnych i oddawaniu się religijnym ćwiczeniom, nad tem tylko czuwając aby one nie czyniły uszczerbku zdrowiu lub nauce dziewcząt lub stawały się przeszkodą w wypełnianiu powszednich ludzkich obowiązków i niegasiły w sercach uczuć miłosierdzia i wyrozumiałości.

Taka nieprzymuszona religijność szczerszą była i czystszą od owych w wielu zakładach wychowawczych obowiązkowych godzinek i litanji, przeżegnań i westchnień, modlitw i modlitewek przy wstawaniu, myciu, czesaniu i ubieraniu, przed śniadaniem i po śniadaniu, przed nauką i po nauce itd. itd. bez liczby i miary.

W takim to zakładzie wychowawczym pod dobroczynną opieką pani xxx rozwinął się umysł Marylki i wonną różą rozkwitło jej serce. Serdecznie ucieszył się ojciec nieznalazłszy w niej śladu owej małodusznej bigoterji i salonowego faryzejstwa którego nadewszystko się obawiał. Codzień odkrywał w niej nowe zalety, codzień bardziej ją kochał. W ciągu tych kilku lat które przebyła w stolicy, nadko on ją widywał, a nawet czas wakacyj w dwóch ostatnich latach spędziła ona w mieście, ważne sprawy majątkowe bowiem zniewoliły go w pierwszym roku do odbycia niemiłej podróży w dalekie strony, w drugim roku zaś nadwątlone zdrowie wymagało wyjazdu do wód i wydatnego użycia się przepisanej przez lekarza kuracji. A w tych właśnie latach dojrzało dziewczę w dziewicę, żywiej zaczęło udenać serce, dumy urosły skrzydła. On jej nieznał prawie, nie był świadkiem owych dni w których chryzalida w cudnego zmieniła się motyla. Poznawał ją teraz i z każdym dniem serce wielką napawał radością. Zamiast oczekiwanej przesadnej ciasnoty wyobrażeń niedozwalającej myśleć i rozumować a nawet słuchać rozmowy o najważniejszych życia zagadnieniach – znalazł umysł otwarty, wiedzy chciwy, rozmiłowany nie w tajemniczych półcieniach ale we wszystkiem co rozumne i piękne, jasne i czyste. Dziwił go często jej zdrowy i trzeźwy sąd o rzeczach zadziwił go jej szczery a swobodny pogląd w kwestjach w których kobiety nasze wychowywane na salonowe bożyszcza lub mężowskie niewolnice nieważą się zwykle mieć zdania.

Wieczory, jeśli przyjazd gości z sąsiedztwa nie przeszkodził, spędzali oni zwykle oboje na czytaniu (rodzimych i obcych poetów, na arcydzieł) poważnej rozmowie o różnych przedmiotach naukowych i literackich a czasem czytał jej ojciec ustępy filozoficznego dzieła nad którem od lat wielu pracował i rozwijał przed nią dalszy plan tej pracy. –

Błogo upływały Marylce te wieczorne godziny spędzone z ojcem – w sercu swem niezatartemi zapisała je głoskami. Ale najdroższą dla niej pamięć tych wieczorów w których ktoś trzeci jeszcze brał udział w tej duchowej biesiedzie... Niepotrzebujemy objaśniać że to było wtedy ilekroć zjechał do nich p. Adam Liwosza.

Tak upływały Marylce wieczory w ojcowskim domu. Dnie spędzała na pracy. We dwa miesiące po swem przybyciu zawiadywała już całem domowem czyli tak zwanem kobiecem gospodarstwem, obeznawszy się z niem dostatecznie. Zwolna wtajemniczył ją ojciec w system rachunkowości administracyjnej. Był on tego zdania że jak w handlu zagranicą żona kupca zwykle siedzi za komptoarem pełniąc urząd najwierniejszego buchhaltera, tak u nas w administracji majątków ziemskich posadę F.Z. „rachmistrza" żona lub córka właściciela zajmować powinna. Oddał więc Marylce księgi rachunkowe odchwili gdy się przekonał że je w należytym porządku utrzymać potrafi.

Zatrudnienia te pozostawiały jej jeszcze dość wolnego czasu na uzupełnie wykształcenia swego czytaniem dzieł naukowych wedle

49. wyborem Ojca. Aby z tej lektury prawdziwą odnieść korzyść, robiła z dzieł przeczytanych notatki i wyciągi, przytem zapisywała niekiedy własne uwagi i myśli jakie jej czytane dzieła nasuwały. P. Seweryn zdziwiony był raz przy tem zarazem gorącym uczuciem, najmilszej doznał niespodzianki, odczytawszy kilkanaście kartek z jej notatek, napisanych pięknym i poprawnym a nawet wykwintnym stylem. Zdawało mu się że odkrył w córce niezwykłe zdolności pisarską i zachęcił ją do przetłumaczenia z angielskiego dwóch wybornych książek dla młodzieży, na których tak nam zbywa w rodzimem piśmiennictwie. Dokonała Marylka tej pracy w ciągu kilku miesięcy kosztem potowy tego czasu który dotąd poświęcała muzyce. Nie zaniedbywała jednak i fortepianu a kiedyż gra jej nie dosięgała koncertowego mistrzowstwa, pełną jednak była werwy i czucia. Fantazjując o szarej godzinie z tematu teskniej dumki ukraińskiej szczególniejszym kaprysem przenosiła się zwykle w wir szalonego oberka a czasem w jedno dziwacznie pot-pourri wnetkie wplatała motywa i - zwoływany do salonu dwie wesołe, które do melodyj improwizowanych dziecięce improwizowały tańce....

Omal byliśmy zapomnieli wspomnieć o jednem z najpoważniejszych zajęć Maryli - o tych dwóch godzinach dziennie w których wypełnywała wolą nauczycielki. - We dworze wychowywał się kosztem p. Seweryna pięcioro dziewczątek, sierot bądź to po sługach jego bądź po ubogich włościanach z jego majątku. Czytać nauczyła je z rozkazu dziedzica żona ekonoma, wychowanica śp. pani Seweryniowej, szycia i cerowania uczyła je pokojówka Kasia. Marylka zajęła się dalszem ich wykształceniem a na naukę tę schodziło się prócz tych sierotek jeszcze kilkanaścioro dziewcząt wiejskich, zachęconych do tego bądź podarunkami przez młodą nauczycielkę ustarczanemi bądź też już samą jej dobrocią i tą porażającą wszystkie serca słodyczą wyrazu i uprzejmości obejścia. Kaligrafia i rachunki a przytem krótkie katechizm, opowiadania historyczne i elementarne wiadomości z geografji i nauk przyrodniczych - oto były przedmioty wykładu dla tych dziatek. - Starsze dziewczęta chodziły na katechizację do proboszcza.

W ostatnim roku życia p. Seweryna liczbę tych sierot które we dworze jego znalazły przytułek powiększyła jeszcze jedna sześcio- czy siedmioletnia dziewczynka. Stało się to skutkiem szczególnego zdarzenia. Ludzie, idący o świcie na robotę znaleźli na drodze publicznej zimnego już trupa staruszki jakiejś w łachmanach - a z główką na trupie opartą to dziecko śpiące spokojnym snem. Na umarłej niepodobna było dopatrzeć śladów zabójstwa, lekarz który zbadał zwłoki uznał iż umarła skutkiem ataku apoplektycznego. Ze stroju umarłej który miała na sobie i z niektórych przedmiotów w zawiniątku które niosła na plecach, można się było domyślać że była żydówką, świadczyła o tem także łamana wymowa dziecka. Dziewczynka mało jeszcze rozwiniętych władz umysłowych, nie umiała powiedzieć skąd szli i jak się nazywają rodzice. Mówiła tylko że zwie się Rachelą, że babka do bicia, że od dni wielu już były w drodze idąc czasem pieszo a czasem przysiadając się na wozy chłopskie które im się spotkać zdarzyło. Wczoraj wieczorem - mówiło dziecko - na wozie babka nagle zasnęła, pochyliła głowę i zaczęła głośno „chrapać".

ja was nieznam.

— Co? co? ty mnie nieznasz siostrzeniu? A jakże tobie na imię moja pani? — i pochwycił ją za ramię.

— Ludwika! — odrzekła majstrowa usiłując mu się wydrzeć. Obcemi otoczyli ich dokoła przypatrując się ciekawie tej scenie.

— Ludwika? Ludwika! Cha cha cha! sto par butów!... ty taka Ludwika jaki ja Ludwik, ja twój brat Walenty!

— Puśćcie mnie, ja niemam żadnego brata.

— Ty niemasz brata? — wołał pijak z teatralną emfazą. — ty mnie to mówisz w oczy — ty niemasz brata! A cóż ty masz?... Dzieci masz! oj masz pare dzieci! widzę, widzę... A Karol się jeszcze nie ponurzył?

I obrócił się do otaczających:

— A gdzie Karol... pan majster? he?... No, czegóż nic nie odpowiadacie sto par butów?... Karol Racik, pan majster. Czy ona z nim żyje?..

— A jakże — odpowiedziała jedna z kobiet wszystkich — przecież to pani majstrowa!

— Cha cha cha cha! majstrowa! Racikowa! Ludwika!... Ludwika! tak się nazywa jak jego żona co zdradzona uciekła!... Sto par butów z cholewkami!

— Nieprawda! niewierzcie mu, to wszystko nieprawda! — wołała nieszczęśliwa kobieta rozpaczliwym głosem. Ale okropne pomięszanie na jej twarzy co innego świadczyło. Na domiar złego nadszedł na tę scenę Karol a z jego rysów i przerażenia nie trudno było wyczytać stwierdzenie słów włóczęgi. Tajemnica kilkoletnia była zdradzoną, szczęście całej rodziny zniweczone tym ciosem, zburzone na zawsze.

W jednej chwili zmieniło się dla nich wszystko. Szacunek całej gromady dla szewcowej zmienił się w pogardę; kumoszki wiejskie (niechciały się z nią wdawać, nieodpowiadając nawet kobiet znanych z rozwiązłych obyczajów, a było takich we wsi bardzo wiele; odwracały się i spluwały spotkawszy ją na drodze, nie odpowiadały wcale gdy do nich przemówiła. Z podszczerzenia matek dzieci nie przestawały odtąd z dziećmi szewca, usuwały się od nich w kościele a na ulicy wytykały palcami wołając na nie znanem obelżywem przezwiskiem.

Najsroziej jednak cierpiał (poczciwy Karol. Od ciosu który go dotknął, stokroć bardziej bolało go nieszczęście kobiety którą kochał i dzieci jego, cierpiał tem bardziej iż wszelkie wyrzuty i wymówki zwracano głównie do niego a i on sam czuł się głównym sprawcą nieszczęścia tych których nad życie byli mu milsi. A jednak czuł że sąd ludzki jest niesprawiedliwy a potępienie tak bezwzględne niezasłużone. Wobec ustalonych w kwestji małżeństwa pojęć religijno-obyczajowych w tym wiejskim świecie, na czynione mu zarzuty nieumiał on znaleźć odpowiedzi. Milczał. Uciekał od ludzi. Siedział w domu przy warsztacie ale nie sporo szła mu już robota. Szedł do izby w której (ona siedziała przy kołysce szyjąc pieluchy dla najmłodszego dzieciątka; usiadł na zydlu naprzeciwko, spojrzeli oboje na siebie — i nie mówili nic więcej, bo w tym jednem spojrzeniu wszystko powiedzieli już sobie. Milczeli i płakali. Ona twarz przysłoniła ręką słuchając z cicha, on na nią patrzał smutny (z pochyloną głową i patrzał bezkońca a z oczu duże krople kapały na podłogę jak z dachu krople wody po deszczu.

Wzywał go już dwa razy proboszcz do siebie. Oszczędzimy czytelnikowi powtórzenia tej rozmowy, wyrzutów, napomnień i gróźb.

— Jak długo z nią żyjesz? — zapytał.

— Czternaście lat.

— Czternaście lat! — z świątobliwą zgrozą oburzenia powtórzył kapłan. — Czternaście lat! człowieku, czyś ty Boga się nie bał!

I łzami zwilżyły się jego oczy, — nie na myśl o nieszczęściu jakie spotkało jego ulubieńca ale z żalu nad zatwardziałością grzesznika.

— Czternaście lat! tyle dni, tyle godzin obrażałeś Boga! tyle dni przybijałeś do krzyża twojego zbawcę który krew najświętszą przelał aby cię odkupić! Tyle dni Bóg oczekiwał cierpliwie twojego opamiętania i twojej poprawy — a ty rozkoszowałeś w grzechu i nie zerwałeś cudzołożnych związków! I t. d. i t. d.

Wróćmy lepiej do chaty Karola.

Milczą oboje i płaczą.

— Czegoż chciał proboszcz od ciebie? — zapytała go wreszcie.

— Na co mnie się pytasz, Halciu, na co ci to wiedzieć! — odszepnął z cicha.

— Powiedz już lepiej, niech wiem.

Zerwał się gwałtownym ruchem ze stołka i szybkim krokiem zaczął chodzić po pokoju trzymając ręce na głowie.

— Chce żebyśmy się rozłączyli — i to zaraz, natychmiast! — zaryczał przez zęby jakimś dziwnym głosem, rozpacznym i gniewnym zarazem.

— A ty? — i oddechu jej brakło.

— Ah nigdy!.. nigdy! — ty wiesz że cię nieopuszczę aż do śmierci? Ja uczciwy człowiek! — zawołał uroczystym głosem.

— Ja cię nieopuszczę Halciu, — ja uczciwy człowiek! — powtórzył raz jeszcze. — Niech mówi co chce, niech grozi, niech straszy śmiercią i piekłem, niech mnie bierze na męki: — ja uczciwy człowiek! Tyś moja żona przed Bogiem i przed dziećmi naszemi i przed całym światem! Ja się ciebie nie wstydzę — i dzieci ciebie się wstydzić nie będą. Jam ci ślubował wiarę nie przed urzędem, to prawda, ale w sercu moim — i nieopuszczę cię aże do śmierci, tak mi Panie Boże dopomóż w Trójcy Świętej jedyny i wszystkie święci!

— O Karolu!... — i słów jej brakło. Wstała i zarzuciła oba ramiona na jego szyję, tuląc zapłakaną twarz cisnąc do jego piersi. —

— Karolu, — rzekła po chwili — pozwól mi, ja pójdę do niego. On już dwa razy po mnie posyłał. Ja mu powiem wszystko. Ja mu powiem jak cię żona opuściła, jakeśmy się poznali i pokochali, jakeś mnie uratował sierotę od złych ludzi, jak nas potem ogadali ludzie i jak się to stało żem twoja. Ja mu powiem żeśmy sobie wiarę przysięgli dozgonną i żem tobie była wierna tyle lat. Przecież się on ulituje naszego nieszczęścia i naszych sierotek!.. Pozwól mi Karolu, ja pójdę do niego i będę go po nogach całować — to się przecież ulituje nad nami.

— Nie, nie, Halciu, nie chodź! nie chodź ty do niego! Już ja mu to wszystko mówił — ale on się nie ulituje — on ksiądz! on nie ma żony ani dzieci, on nie wie co to serce ludzkie. Ty nie wiesz jak on strasznie gada — to się aż w głowie mąci.... Tybyś gotowa przystać na wszystko coby on chciał, jakby cię zaraz straszył karą boską na dzieciach naszych tak jak mnie straszył.... Boże, Boże święty! co on gadał — aż włosy stawały mi na głowie...

— Ja się tego nie zlęknę Karolu. Przecież Pan Bóg litościwszy od proboszcza. A matka Boska miała serce siedmiu mieczami przebite.

— Nie Halciu, ty niechodź do niego! jak mnie kochasz niechodź! To się na nic nie zda. On się nie da zmiękczyć. A jakbyś ty mnie opuściła — to jabym chyba umarł ze zgryzoty a dzieci by poszły na pokarbienie ludzkie....

— Nie opuszczę cię mój drogi aż do śmierci! A jakażbym ja była matka gdybym dzieci porzuciła! Jużbym chyba była ostatnia gdybym ciebie opuściła i dzieci...

Wtedy chłop konie zatrzymał, zniósł ją z wozu na rękach i położył na drodze a sam odjechał. Babka leżała na ziemi ~~[illegible]~~ na wznak i — spała a „chrapała” bardzo głośno. ~~Ciemno~~ zrobiło się na dworze, dziewczę chciało zbudzić „śpiącą”, zaczęło płakać i szarpać ją za rękę, budziło ją i wołało nadaremnie — babka spała twardym snem. Wreszcie i ona przytuliwszy się do „śpiącej” zasnęła... Tak je ~~[illegible]~~ znaleziono w polu rżyskiem na drodze.

Chłopi przyprowadzili dziecię do dworu, a p. Seweryn kazał je nakarmić, umyć, uczesać i ubrać i oddał córce w opiekę. Równocześnie zawiadomił władzę o całem zdarzeniu, celem wyszukania rodziców ~~[illegible]~~ Racheli. Próżne były jednak wszelkie zarządzone w tym celu poszukiwania: pół roku minęło — a sierotka przywiązała się do swej opiekunki jak do matki; i przywykła do domu ~~[illegible]~~ który ją tak miłosiernie przygarnął jakby do chaty rodzicielskiej. — Widząc że domownicy i nawet współwychowanki Racheli obchodzą się z nią jakby z innego rzędu istotą, Marylka ~~[illegible]~~ z tem większą mocą się zajęła pieczołowitością. W krótkim czasie Rachela poznała abecadło, nauczyła się ~~[illegible]~~ sylabizować, zaczynała już czytać, a kilkanaście moralnych przypowiastek i ~~[illegible]~~ bajeczek dziecięcych wybornie umiała na pamięć.

Przyjęcie małej żydówczki w poczet wychowanek różnie osądzano we wsi. Niektórzy wdzięcznie budowali się miłosierdziem panienki która nawet nad żydówką się lituje; większa część jednakże, ciemna i przesądna była niem zgorszona jakby ~~[illegible]~~ czynem bezbożnym, ~~[illegible]~~ świadczącym jak mało panienka dba o religię, kiedy żydówkę tak samo karmi i odziewa a nawet uczy i pieści jakby „ludzkie dziecko.”

— Dajcie pokój Wojciechu! — mówiła Józefowa — przecież to i żydówka boskie stworzenie.

— Et, kto tam wie czy boskie.

— Zwarjowałaś Józefowo czy co? Czy to nie wiem że żydzi Pana Jezusa ukrzyżowali!

— A panienka za to ją karmi i całuje! Niechby to zginęło gdzie pod płotem! (— odezwała się znowu Józefowa —

— Ej, wstydźcie się Wojciechu,) gadanie tak nie po chrześcijańsku.

— To wy tak gadacie. Ja tam żydówkę nie obtałę.

— A jak się ochrzci? Juści gdyby nie na to toby jej panienka do domu nie brała.

— Gadacie! wykrztuś to pewnie gorny jak żyd. Co żydówka krew, to żydówka.

Takie toczyły się ~~[illegible]~~ niekiedy wdzięczne (rozmowy) — a wogóle o całem tem zdarzeniu wiele we wsi rozprawiano.

Wkrótce jednak inny wypadek parafialny stał się przedmiotem ~~niemniej~~ charakterystycznych sporów. † Rzecz była taka:

Przed laty blisko ~~[illegible]~~ czterdziestu umarł był we wsi osiadły tam od dawna nomocielnik, szewc z profesji. Majątku wszelkiego nie zostawił: chatę, ~~[illegible]~~ sad mały z pasieką i kawał gruntu, ale natomiast troje niedobnich dzieci i syna, kilkunastoletniego chłopaka, który podmuszył był już wiele w swoim nemiośle. Sąsiedzi zaopiekowali się drobną dziatwą, najstarszy — Karol było mu na imię — poszedł na wędrówkę i przez lat ~~[illegible]~~ dziesięcia nie wiedziano wiedzieć o sobie. Raz tylko jeden ~~[illegible]~~ tego czasu pisał do proboszcza gdzieś ze Szlązka, donosząc że się ma żenić i prosił o przysłanie (metryki, ~~[illegible]~~ przy tej sposobności zapytał o swoje potrzebnej mu)

† Dłużej ~~[illegible]~~ o nim rozpisać się nam wypadnie — bo to powieść w powieści — a wątek jej ściśle z treścią naszego opowiadania związany. Osoby które w niej poznamy, zaważą i na szali losów naszej zakochanej pary.

51 rodzeństwo i o ojcowiźnie. Mógł mieć wtedy lat dwadzieścia
kilka. Blisko dwadzieścia lat później zjawił się we wsi, gdzie prócz
jednego starca nikt go już nie poznał, dowiedział się że rodzeństwo jego
wymarło nierozkrzewiwszy potomstwa prócz małej dziewczynki sieroty, będącej
we dworze na wychowaniu. Karol poszedł do dworu i podziękował za opiekę
daną jego siostrzenicy, wykupił ojcowską chatę i sad które
w obce już przeszły były ręce, sprowadził żonę i pięcioro dziatek i
założył warsztat. Był to rzemieślnik wprawny i pilny a jako na wiejskiego
szewca niezwykłą nawet okazał biegłość w swoim zawodzie. (Po kilku latach pobytu
już nietylko) włościan ale i okoliczną szlachtę zaopatrywał w obuwie, a starczyć
niemógł zamówionej u niego robocie a wreszcie kilkoro czeladzi zatrudniał
nawet u siebie. – Pilny, trzeźwy, pracowity, uczciwy, łagodnego przytem charakteru
i uczynny wobec biedniejszych sąsiadów, powszechne umiał pozyskać poważanie
i miłość ludzką. Lubili go włościanie i w ważniejszych
sprawach często pytali go o radę, lubiono go we dworze gdzie pożyczał
książki popularne które w niedzielę
i święta wieczorami czytywał rodzinie i czeladzi, lubił go wreszcie;
proboszcz i stawiał innym za wzór trzeźwości i przykładnego pożycia
małżeńskiego. Stadło bowiem p. majstra i pani majstrowej w samej rzeczy nadkiem
odznaczało się przywiązaniem wzajemnem i niezmąconą niczem zgodą. Dzieci
(chowały się zdrowo a przejmowały) się przykładem cnót w domu rodzicielskim:
czyściutko choć skromnie ubrane, umyte, uczesane, grzeczne i przyzwoite
wyglądały jak jakie panięta w gronie dzieci włościańskich. Majstrowy chłopcy
(służył zawsze mszy proboszczowi) do mszy, młodsze dziewczęta celowały przy katechizacji.
Kiedy raz pożar gwałtowny we wsi wybuchnął i wśród silnego wiatru
który się zerwał, dokoła chaty Karola czterech zgorzało sąsiadów
a jego dom szczególnym ocalał wypadkiem, (w najbliższą niedzielę rozwodził się nad tem proboszcz
w kazaniu, mówiąc o tem) jako o niewątpliwym dowodzie opieki bożej nad tymi którzy na nią zasługują.
Wspomniał przy tem o wiernych Bogu Machabeuszach, którzy nietknięci szli
przez płomienie...
Wracającym do domu z kościoła panu majstrowi i pani majstrowej
winszowała wieś cała i szczęścia i błogosławieństwa bożego
które ich w tak cudowny ocaliło sposób a dewotki w głębi serca
zazdrościły zaszczytu jaki ich spotkał z kościele. Uśmiechnięta szła pani
majstrowa, piękna, świeże i dziś młodo wyglądająca kobieta, z najmłodszem
dzieckiem na ręku, obok niej starsze dziewczęta; mąż wstąpił do dworu po
książki. – Jakaż niespodzianka czekała ją przechodzącą koło karczmy!
Włóczęga jakiś pijany, w obdartem odzieniu, z torbą na plecach a
kosturem w ręku, o wstrętnej twarzy z wyrazem zbydlęcenia nałogowych
miłośników wódki, stał w bramie – i spojrzał na przechodzącą. I ona
mimowoli rzuciła nań okiem – i zadrżała. Chwilkę tylko, jak dzikie
zatrzymała się przed nim. Rychło znać odzyskała przytomność i chcąc uciec
przed grożącem jakiemś niebezpieczeństwem które jej
w postaci tego włóczęgi stanęło przed oczyma, przyśpieszyła kroku.... Ale
już było za późno. Pijany włóczęga poznał ją.
— Helena! – wołał – Helena! – i potoczył za nią.
Ona szła prędzej, coraz prędzej, biedz chciała. Lecz, czuła
że mu się nie wymknie: trzeba czoło stawić niebezpieczeństwu. Zatrzymała
się. – On stał już przed nią. Gestykulował rękoma, chorobliwie
nabrzękłe, żółte policzki wykrzywiły się radośnym śmiechem.
— Hola, hola! czego uciekasz?... Cóż to, niepoznajesz
mnie Helenko czy co? Do sto par butów!
— Czego chcesz człowieku? Ja się nie nazywam Helena,

Na tem skończyła się ich rozmowa. I lżej im potem było obojgu.

Nie skończyło się jednak na tem prześladowanie proboszcza. – Kilka razy jeszcze w ciągu tego tygodnia wzywał ich oboje do siebie, chcąc ich nakłonić do zerwania występnego związku który stał się powodem publicznego zgorszenia w parafji. Na wezwanie nie przyszli. Gruchneła o tem wiadomość ich po wsi pogłoska. Obecnie powszechne doszło do szczytu: dość było jemu albo jej stanąć w progu swej chaty, a już nie tylko obelgi ale pogróżki sypały się dokoła. Zeszło się kilkanaście bab dewotek i kilka najgorętszych w rzeczach wiary gospodarzy na ganku probostwa, ofiarując się upornych grzeszników gwałtem sprowadzić na plebanję, związanych powrozem przypędzić „jak bydlęta co duszy niemają."

Zawahał się proboszcz. Zadumał się i milczał. Siedząc na ganku plebanji powiódł gdzieś wzrokiem po szerokiej równinie wzdłuż drogi wijącej się wśród zieleni łanów ku krańcom horyzontu... Myślą utonął w mglistej dali ubiegłych wieków, w wspomnieniach świetniejszej dla kościoła epoki... kiedy nie zabrakło nigdy świeckiego ramienia do wykonania duchownego wyroku: ad nutum et patientiam sacerdotis wedle wyrazu bulli owego papieża którego Dante w swem piekle umieścił.... Wtem w dali na drodze coś błysło w słońcu: broń żandarmskiego patrolu....

— Nie – rzekł proboszcz zwracając się ku parafianom, – niemożecie ich wiązać, to nie wolno; bylibyście za to karani przez władzę. Ale jeśli dobrowolnie się nie rozłączą (i ona stąd nie zechce wyjechać), to wy wójcie macie się o to postarać aby ją stąd wydalić jako osobę niemoralną i odstawić na miejsce urodzenia, bo ona nie tutejsza.

Wójt oświadczył gotowość bezzwłocznego wykonania rozkazu.

– Nie, czekajcie jeszcze! Bóg jest cierpliwym. Jutro niedziela: może Bóg ich natchnie skruchą za grzechy. Po kazaniu i po mszy śtej raz jeszcze ich wezwę do poprawy. Za łaską bożą może się opamiętają. Módlcie się za nich! I ja się modlić będę aby Pan zesłał na nich promień swej łaski!

Nazajutrz była niedziela. Oboje nieszczęśliwi nie śmieli udać się do kościoła, obawiali się zarówno parafian jak proboszcza. Od włościan mogli się spodziewać tysiącznych obelg, może wzbronienia wstępu do domu bożego lub nawet chłosty, od proboszcza wyrazów potępienia które gotów był rzucić z ambony. Zostali zatem w domu, spędzając przed obrazem matki Bolesnej cały czas nabożeństwa na gorącej modlitwie. Dzieci tylko wysłali na msze. A najmłodsze w kołysce zatrute mlekiem matki zmieszanym ze łzami – kwiliło żałośnie.

Dzieci wróciły z płaczem. Niewymienił wprawdzie proboszcz w kazaniu nazwiska ich rodziców, jak to często czynią plebani wiejscy a razem nawet i miejscy kaznodzieje dla złamania uporu zatwardziałych grzeszników, ale wszystkie dzieci włościańskie usuwały się od nich jak od zapowietrzonych, szeroko w koło nich robiąc koło, a gdy ksiądz gromkim głosem z ambony karcił powszechną rozpustę i zepsucie obyczajów, gdy wreszcie jako o znaku czasów i o karze bożej na gromadę zesłanej wspomniał o świeżem zdarzeniu we wsi, które całej parafji niesłychane zgorszenie, wstyd i hańbę przynosi, dowodząc (jak parafianie nisko upadli gdy) wśród nich „po lat 14 żyją z sobą ludzie jak zwierzęta w borach, folgując dzikiej żądzy i łącząc się w nieślubne stadła, bez błogosławieństwa kościoła, bez

sakramentu małżeństwa, oszukując kościół i współmieszkańców, naigrawając się wśmiechu z praw boskich i ludzkich ⌈ — wtedy cichie westchnienia i szept grozy i oburzenia odzywały się po wszystkich kątach kościoła a dewotki stojące obok dzieci Karola nieomieszkały ich objaśnić z naciskiem:

⌈ krzywiące Zbawiciela codzień przez lat czternaście, zbrodniarze gorsi od zbójców i podpalaczy, szerzący zarazę w owczarni pańskiej ..."

— Słuchajcie! to to o waszym Ojcu mowa i o waszej Matce.

— „Zbójca ciało zabija, podpalacz niszczy dobytek, ale rozpustnik i cudzołożnik zatwardziały w grzechu, piekielnym tchem zgorszenia zaraża dusze, przykład jego jak złodziej wkrada się do serc ludzkich, podpala on za życia ogień piekielny dla siebie i dla wspólniczki grzechu swego i dla dzieci swoich i dla wszystkich dokoła, który z nim żyje i obcuje, zarazę szerzy po całej parafii! Od Sodomy i Gomorry odwraca Pan twarz swoją i zsyła na nie z nieba siarkę i ogień jako deszcz!"

Po skończonem nabożeństwie wracając na plebanię polecił proboszcz stojącym w zakrystyi gospodarzom aby przywołali do niego Karola i jego żonę skoro wyjdą z kościoła. Zadziwił się bardzo usłyszawszy odpowiedź że oboje wcale na mszy św. nie byli.

— Ha, kiedy tak, to ja pójdę do nich!

I w samej rzeczy wypiwszy kawę, wyruszył po śniadaniu ku domowi szewca. Tłum ludu szedł za nim ale u wrót domostwa się zatrzymał. — Jak nie usłuchają dobrodzieja — rzekł jeden z gospodarzy — to rozniesiem tę chatę na †

† rękach, żeby śladu nie zostało i zaorać!...

Nie będziemy opisywać sceny jaka się odbyła w domu Karola. Padli mu oboje do nóg, wlokli się na kolanach, całowali stopy, błagali o litość. — Dzieci starsze z płaczem naśladowały rodziców, mała dziewczynka wcisnęła się do kąta izby i z przestrachem patrzała na tę scenę. W kołysce kwiliło niemowlę.

— Bezbożni! — zawołał proboszcz podnosząc ku niebu ramię jakby gromy chciał ściągnąć z nieba — czyż sądzicie się o proszku abym wam dozwolił gubić dusze wasze? — Nigdy! — mam litość nad wami, Tak, mam litość i dlatego tu przyszedłem abym dusze wasze wyratował od śmierci. — Z waszą wolą czy wbrew woli waszej grzeszyć wam już niedozwolę.

— Dobrodzieju! — błagał Karol ze łzami. — Jeżeli pożycie nasze było grzeszne, to zgrzeszyłbym sto razy więcej gdybym ją teraz opuścił — gdybym pozbawił ją opieki i podał na hańbę i pośmiewisko ludzkie a dzieci gdybym matki pozbawił!

— Coś ty za jeden? — wołał proboszcz, z apostolską przybrawszy się powagą. — Czyś ty turek czy poganin, że chcesz czoło stawić Bogu i kościołowi jego? Dziesięć lat jakieście tu zgrzeszyli zakonowi wypełniając przykazania boże? A nie wiesz że ty że dłoń Boża zawieszona nad wami i czeka poprawy waszej i każdej chwili zgruchotać może was i wasze dzieci?... Wynoś się z tego domu kobieto — to nie twój dom — tu nie twoje miejsce!

Zakwiliło chore dziecko w kołysce. Przerażona kobieta pochwyciwszy je za ręce tulac do siebie.

— Wynoś się ze wsi! — rzekł proboszcz do niej piorunując ją wzrokiem ⌈ — zaraz! bezzwłocznie!

⌈ i zelektryzowany dźwiękiem własnego głosu, dodał:

— Jakże ja mogę porzucić dzieci moje! To mój mąż, to moje dzieci! ja ich nie porzucę! chybym trupem tu padła!

— To nie twój mąż, nierządnico! Jeśli dobrowolnie nie pójdziesz to powiem wójtowi aby cię kazał wyprowadzić ze wsi.

— Niechno by spróbował! — zawołał Karol z zaciśniętemi pięściami odchodząc już od przytomności z rozpaczy.

Przyskoczyła żona do niego.

— Co robisz! — szepnęła przerażona.

On ją objął silnem ramieniem i przytulił do siebie serdecznie, namiętnie. Zdawało mu się w tej chwili że nikt mu jej wydrzeć nie zdoła. Pogoda zaświeciła znów rysy jego twarzy. Mając ją przy sobie czuł się znowu spokojnym,

odważnym. Nachylił ku niej usta i złożył pocałunek na jej czole. Dziecko ~~[illegible]~~ w jej ramionach wyciągnęło ku ojcu rączęta.

Przebrała się miara cierpliwości ~~[illegible]~~ w sercu proboszcza. Rumieńcem wstydu (i gniewu) oblały się surowe jego lica. Litość którą uczuwał zastąpiło obrzydzenie wobec bezbrzeżnej ohydy grzechu jaką w świątobliwych jego oczach gorzał ten uwodzicielny pocałunek.

— Precz stąd! – zawołał – precz, nierządnico!

Otworzył drzwi chaty na oścież i rozkazującym gestem wskazał jej drogę.

W sionkach za drzwiami stało kilkunastu gospodarzy, tłum ludu zaraz się cisnął do chaty. Groźne były twarze. ~~Spojrzała~~ Spojrzała po nich nieszczęśliwa kobieta i zrozumiała ~~[illegible]~~ co ją czeka.

— Meju – szepnęła z cicha – nie opieraj się, to darmo – ja muszę iść ... na Matkę Najświętszą nie opieraj się!... Nie bój się o mnie... dam ci znać... Dzieci...

Dwóch ludzi porwało ją pod ręce

— Ja pójdę sama... nie bijcie mnie ludzie... ~~Dobrodzieju~~ miejcie litość – oni mnie zabiją...

— Ha, jeśli ona idzie to i ja! Chodźcie dzieci!...

I zerwał się za nią

— Ho, ho, pomału! Ty nie pójdziesz! – i (siłą rozpaczy) ~~wyrywającego~~ im się z rąk przytrzymali przemocą. Nadaremnie się szarpał, darł odzienie, kopiąc nogami, paznokciami krwawiąc im ręce. ~~[illegible]~~

— Najświętsza Panno!.. Ludzie! Pan Bóg was ukarze! Ulitujcie się!... Puśćcie mnie!.. Zbóje... łotry!.. bodaj was piorun...

Proboszcz stał na miejscu ~~[illegible]~~ nieporuszony, blady. Pomieszanie, przelękłe przerażenie znać było na jego twarzy. Gwałtowna scena której był świadkiem, stała się mimo jego woli, niejako wbrew jego woli nawet. Zbyt gorliwi wykonawcy jego wyroku tak nagle wpadli do izby, tak się pośpieszyli – że zanim on ochłonął z gniewu, zanim opamiętał się i opamiętać się – jej już wcale nie było a Karol szarpał się jak wściekły w ich rękach.

Swarliwe obelgi tłumu i (głośny) szmer pośmiewiska przed chatą i krzyk nieszczęśliwej kobiety ze wszech stron trącanej i popychanej – to wreszcie wróciło przytomność proboszczowi. Wiedział już co mu czynić kapłański nakazuje obowiązek. Śpiesznym krokiem wyszedł z chaty i głos jego potężny zagrzmiał po nad głowami ciżby:

— Puśćcie ją wolno!... niech idzie gdzie chce. Nie jej nie czyńcie złego. Łotry! Takaż to wasza miłość bliźniego znęcać się nad nieszczęśliwą? ~~[illegible]~~ Nie wasza rzecza ją karać! Kto jest bez grzechu niech pierwszy rzuci na nię kamieniem!

Z małem dzieckiem na ręku biegła nieszczęsna drogą pomiędzy chaty jakby śmierć za nią goniła. Nie gonił za nią nikt. Czasem tylko z progu chaty rzucono jej na pożegnanie zelżywy wyraz, czasem dziecko bawiące się na drodze dopomagając matce w znieważeniu wygnanej rzuciło za nią błotem. Tliłaś fanatyzmem w sercach wiejskich ~~[illegible]~~ prostaczków kaznodzieja, i pogwałcenie religijno-obyczajowego prawa przez nieszczęśliwą parę odczuli oni jako zniewagę sakramentu i religji, jako otwarty bunt przeciw Bogu i ludziom, jako nierządną

57 zbrodnię. Zatwardziały na niedolę bliźniego wieśniacze serca — zakamieniały w tej dzikiej religijności, jeśli religijnością zwać się godzi fanatyczną zaciekłość. Zaledwie w kilku sercach nieśmiałym głosem odezwało się współczucie, to znamię człowieczeństwa, kilka kobiet widząc uciekającą — przerażoną — wzdrygnęło się na jej widok i pobladło... odwróciły twarze — milczały. Jutro, pojutrze gdy szał się uspokoi — znajdzie się ich więcej...

A ona biegnie — tchu jej braknie, zwolniła biegu. Mijając kościół przyklękła; krzyż święty zrobiła na czole i na piersiach, łzy strumieniem puściły się z oczu, wstała i dalej w drogę... Karczmę mija i od pijących posypały się wyrazy szyderstwa... Wieś tak długa!... Ona za każdą obelgą przyspiesza kroku — chciałaby aby to była ostatnia...

Tu dzielą się drogi: na wprost — pola i łąki i las w głębi i kapliczka pod lasem, na lewo szereg chat i ogrodów, na prawo za mostkiem sztachety dworskiego obejścia i z poza nich za klombem drzew bieleją ściany dworku.

Minąwszy bramę odetchnęła głęboko: tu ona bezpieczna, tu nikt nie wyrządzi jej krzywdy, tu może znajdzie opiekę...

Czy ją znajdzie? — Zawahała się chwilę przy tej myśli. Może i tu pogardy tylko dozna? Nie, — przynajmniej jej dadzą przytułek choć na dzień jeden... wszak i to dla niej wiele. —

Proboszcz tymczasem ochłonął z gwałtownego wzruszenia w jakie wprawiły go sceny w kościele i przed chatą szewca, które sam mimowoli wywołał.

Karol wpół bezprzytomny wyrywał się jeszcze z rąk tych, którzy go z chaty nie puszczali; pienił się, gryzł zębami. Nadaremnie proboszcz starał się przyprowadzić go do opamiętania, pokropił go nawet wodą święconą z kropielniczki wiszącej u progu — nic to nie pomogło.

— Nie puśćcie go z chaty (rzekł wreszcie proboszcz), aż do nieszporów, dopóki ona nie oddali się ze wsi. Ale żadnej mu nie czyńcie krzywdy, ani jemu ani tym dzieciom! Nie macie prawa do tego — Bóg by was ukarał!

Podczas gdy to się działo we wsi, szewcowa we dworze znalazła nietylko przytułek ale prawdziwie ojcowską opiekę. Przeznaczono jej próżną izbę w obszernych oficynach na mieszkanie a stary doktor zajął się chorem jej dzieckiem. Wieczorem tegoż samego dnia posłał pan Seweryn po Karola aby się z nim rozmówić.

Jakaż była radość poczciwego rzemieślnika gdy zastał tam swoją towarzyszkę życia, matkę jego dzieci z którą go proboszcz nadaremnie rozłączyć usiłował! — P. Seweryn wypytał go o wszelkie szczegóły jego ożenienia z kobietą która w rok po ślubie go opuściła dla miłości jakiegoś dragona, a w końcu rzekł:

— Nie tamta twoją żoną ale ta, matka twoich dzieci która lat czternaście była ci wierną. Byłbyś łotrem gdybyś ją porzucił! Proboszcz powinien się wstydzić że cię do tego namawiał. Bóg nie żąda od nikogo aby stał się łotrem, choćby na rozkaz wszystkich proboszczów i rabinów na świecie. Bądźcie dobrej myśli: poczynię starania aby twoje pierwsze małżeństwo uznane zostało za nieważne; mam już na oku stosunki z ludźmi którzy mi w tem dopomogą a i koszty

niepożądliwię. Wam się otem nie śni że wtych czynnościach idzie tylko o to aby wiedzieć jak się wiąże do rzeczy... No, jeśli mi się powiedzie, to ten sam proboszcz który was prześladuje będzie musiał dać wam ślub w kościele! A zaprosicie mnie wtedy na wesele!

a p. Seweryn nie zwlekając w samej istocie rozpisał nazajutrz listy w tej sprawie. Rzecz nie była tak łatwą jak się w pierwszej chwili wydała. Potrzeba było z jednej strony aby biegły jurysta zbadał wszelkie okoliczności towarzyszące zawarciu małżeństwa i wyszukał jakiejś unieważniającej ślub nieformalności; mógł to najłatwiej uczynić duchowny który ów ślub sam dawał; – z drugiej strony należało z niedostatecznych wskazówek jakie mógł dać Karol dojść do odkrycia obecnego miejsca pobytu jego ślubnej żony. To ostatnie zdawało się najtrudniejszą częścią zadania, p. Seweryn jednakże liczył na to że jej krewni zamieszkali w Królowej-Hucie niewątpliwie bliższej w tym względzie dostarczą informacji.

Padli mu do nóg oboje, ze łzami wdzięczności całując jego kolana.

— Hm, – dodał p. Seweryn – a jeśliby się to wszystko nie powiodło, to sprzedajcie grunt i gospodarstwo, przenieście się w odległe strony gdzie was nikt nie zna i żyjcie porządnie jakeście tyle lat z sobą przeżyli. – Tymczasem spróbujemy, może mi się uda uzyskać postanowienie że ślub był nieważny a pan Karol jest kawalerem... No, ale nie mówcie teraz nikomu o tych staraniach, bo gotów mi ksiądz przeszkadzać jakiemi intrygami... Pamiętajcie: nikomu!

Przyrzekli mu oboje jak żądał.

Z zatrutej bólem i przestrachem piersi nieszczęśliwej kobiety dziecko jej jad wyssało i śmiertelną chorobę. Wszelkie leki i starania poczciwego lekarza nie przydały się na nie, mimo odłączenia od macierzyńskiej piersi, mimo usilnego i umiejętnego ratunku czwartego dnia zaczęło dziecię konać w ramionach szalejącej od rozpaczy matki. – Skonało a ona jeszcze kołysała je na ręku, nucąc mu półgłosem:

— Pst, pst, maleńka! śpij... śpij... lulaj...

Błyszczały jej oczy, na twarzy purpurowe zabłysły rumieńce, – pożar nieprzepędzony do głowy uderzył.

— Opamiętaj się Halcia! – wołał mąż wyrywając jej trupka z ramion – Zmusia już nieżyje!

— Cicho, cicho... bo się zbudzi – Już jej lepiej... dobre lekarstwo... dobre...

— Halcia! – Halcia! – wołał z rozpaczą

— Co? – zapytała spokojnie

— Zmusia umarła, – czyż nie widzisz?

— A, prawda – zapomniałam. Trzeba ją pogrzebać... idź do księdza... Będzie się cieszył... zgadł, zgadł!.. – Pst, pst maleńka...

— Halcia, na miłość boską, oddaj mi to dziecko!

Cóż ty kotynem umarła? (ja ją tymczasem uśpię... dobre dziecko... nic nie płacze... A Franusieńka żeby żadnej była!.. Idź, idź.

— Idź do księdza, idź...

Nachyliła ku niemu usta do pocałunku jakby na pożegnanie i zapytała:

— A Józio czy już umarł? a Antosia?... a Julcia?... a Karolek?... czy ty wiesz że one wszystkie tam poumierają... bo wszystkie nieślubne.... Fe, bękarty!... fe! – i ta takasama! weź ją sobie, weź... fe!

I oddała mu dziecko z odrazą, otrzepała ręce z wyrazem obrzydzenia zaczęła wycierać fartuszkiem.

W kilka godzin później leżała bezprzytomna na pościeli. Lekarz stał przy niej, w lewej ręce zegarek, prawą trzymał jej za puls. Brwi krzaczyste zmarszczył, potrząsł głową z powątpiewaniem.

— Ona pójdzie za dzieckiem! – szepnął poczciwiec do Marylki która przyszła zapytać o stan chorej.

Na zajutrz wnocy jednak, chorej było już lepiej.

Dziewka we dworze która przez noc czuwała przy niej, dostrzegłszy że chora odzyskała przytomność, zawołała z radością:

— Chwała Bogu, żeś wam rozum powrócił! Myślałam że się już przed śmiercią nie opamiętacie. Teraz to mogę pójść po księdza. Czas wam, czas! może godziny macie policzone, nie ma co zwlekać. Już słońce wschodzi — a Panu Bogu wiadomo czy doczekacie południa.

Nie przeraziła chorej ta mowa o śmierci. Ludzie na wsi nienawykli do owej wybrednej delikatności wyższych warstw społecznych, gdzie wobec ludzi starych lub chorych o śmierci nie wspomina się wcale, tak jakby jej niebyło. Na wsi mówi się o śmierci (zwłaszcza wśród) tak obojętnie jak o rzeczy zwykłej, codziennej. Oswoiła się tam można z tym wyrazem i z tą myślą. Śmierć dziecka bardziej przeraziła chorą niż myśl o własnem niebezpieczeństwie.

— Idźcie po księdza — idźcie! — odrzekła słabym głosem. — A przywołajcie Karola ... i dzieci .....

— No, dzieci, jak dzieci ... ale dalibyście pokój wodzić jego oczy przed śmiercią ... żeby wam tego Pan Bóg zagrzech nie policzył!...

I poszła. — W dobre półgodziny później dał się słyszeć w bramie głos dzwonka, — służba dworska klękała pochylając głowy przed Utajonym w Sakramencie.

. . . .

Do spowiedzi już było, — zgodnie i skrucha budzącą chorą ostatni przyszła posiłek i ostatnie w ciemną drogę pociechy. — Proboszcz sam przyprowadził do jej łoża dzieci zapłakane [którzy z Ojcem odchodził wśród ukończenia obrzędu]. Drżącą rękę kładła po kolei na ich główki umierająca. Łzy świeciły w jej oczach — sił jej brakło — i tylko zostawało w spojrzeniach.

Z trudnością po chwili ku drzwiom twarz obróciła, poruszyła ustami, pragnęła coś przemówić — łzy popłynęły jej po białej jak chusta twarzy. Ciężkim oddechem wciągnęła nieco powietrza w płuca i jedno słowo zabrzmiało w jej ustach:

— Karolu!... Ale w dźwięku tego słowa cała wcieliła się dusza.

— Jeszcze! — szepnął proboszcz (surowym tonem) przystępując do jej łoża.

— Drogę ... do ... że ... gnać!... błagała chora.

— Nie powinnaś go widzieć?

— Za ... dziećmi ... prosić!...

— Za dziećmi? — zapytał wzruszonym głosem. Przypomniał sobie swą matkę na jej łożu śmiertelnem.

— Dobrze — rzekł po chwili namysłu. — Boś go niech się nawróci i żałuje za grzech za który was Bóg karze, to może wtedy Najlitościwszy odwróci karzącą od dzieci waszych.

Karol już klęczał przy łóżku. Twarz przycisnął do jej ręki i szlochał głośno. Co się dokoła działo, co ona do niego mówiła — nie wiedział o niczem, nic nie słyszał.

Wszedł stary doktor do pokoju. — za nim ciekawa Φ [Φ czeladź dworska zaczęła się wciskać po jednemu do izdebki]

— Czy skończył swoje ceremonie ksiądz proboszcz? — zapytał lekarz. — Bo ja widzę że ja tu jeszcze mam co robić, kiedy chora gada.

I usuwając na bok Karola — rzekł mu z gniewem:

— Cicho! — Chorą wziął za rękę, policzył tętno, dotknął ręką jej czoła, zajrzał w oczy, poprawił pod głową poduszkę.

— Gott sei Dank! lepiej jest niż ja sam wczoraj myślał!

— To cud boski! cud boski! — chórem szepnęła czeladź.

. . . .

Ruch jakiś niezwykły przed oknami dworku i odgłos kościelnego dzwonka zbudził ze snu pana Seweryna. Pociągnął za taśmę ~~wiszącą u głów~~ łóżka, za chwilę wszedł znany nam stary sługa.

— Co to Grzegorzu? dzwonek słyszałem, czy kto przyjechał?

— Nie, to ksiądz proboszcz przyszedł z Panem Bogiem do Szewcowej.

~~[illegible]~~ Wyraz zniecierpliwienia przemknął po twarzy p. Seweryna.

— Biedna kobieta! jeszcze i teraz niedaje jej pokoju ten człowiek! Nie dość mu jeszcze! Dziecko zamordował, teraz matkę chce dobić!...

Grzegorz z spuszczonym ~~[illegible]~~ w ziemię wzrokiem stał we drzwiach. Dziwne jakieś wrażenie malowało się na jego pomarszczonej twarzy.

— Kto go sprowadził? kto mu powiedział że tak niebezpiecznie chora? — zapytał p. Seweryn gorączkowo, na wpół z gniewem.

— Maryna chodziła na plebanję. Podobno chora przebudziła się nad ranem i sama zażądała...

— Sama?... ona sama?... tego księdza? ona sama!

I wstając z łóżka ~~zaczął~~ się ubierać z pomocą Grzegorza. A od czasu do czasu mimowiednie ~~[illegible]~~ a coraz innym tonem powtarzał ten wyraz: Ona sama!... Cała skala ~~[illegible]~~ uczuć odbijała się w tym jedynym wyrazie, od wykrzyku zdziwienia do gorzkiego uśmiechu ironji, ~~[illegible]~~ aż wreszcie poważny jakiś smutek osiadł na ~~[illegible]~~ obliczu p. Seweryna.

— Ona sama mówi?.. ha!... Czy bardzo chora? Czemu tam doktora niema?

— Właśnie pan doktor tam poszedł.

— Ksiądz jeszcze jest?

— Jest.

— Idź-że mu powiedz że ~~[illegible]~~ go kazałem prosić aby do mnie wstąpił.

— Teraz?

— A, teraz.

Grzegorz znowu oczy spuścił ku ziemi jakby zawstydzony. Za siebie? nie, za swego pana.

— Teraz nie przyjdzie Jaśnie Panie. —

— Jakto? czemu?

— Aa...

I zająknął się Grzegorz — tak mu się dziwnem wydało pytanie.

61.

— Czemu nie przyjdzie?

— A — bo on by z Panem Bogiem.

— Cóż stąd? To niech przyjdzie z Bogiem. Owszem.

— To niemożna Jaśnie Panie. On tylko do chorego z Panem Bogiem przyjść może. Gdzieżby by puszkę postawił?

— Jaką puszkę?... A! wiem już, wiem! puszkę z Bogiem!...

Mrowie przeszło po grzbiecie poczciwego Gregora gdy obaczył szyderczy uśmiech na twarzy swego pana. ~~Pan Seweryn pokiwał smutnie głową i nieco~~ Zebrał ~~mój Gregorze~~ się wreszcie na odwagę i rzekł:

— Jaśnie Pan daruje, ale to wielki grzech śmiać się..

Pan Seweryn pokiwał smutnie głową i położywszy rękę na ramieniu starego sługi spojrzał mu w oczy z ~~[illegible]~~ bolesnym uśmiechem:

— Mój Gregorze, czyż ty nie wierzysz że Bóg jest wszędzie? że wszechobecny? że cały świat ogarnia? Jakże ty możesz myśleć że Bóg jest w księżej puszce? że potrzebuje księdza aby go nosił?.... Mój Gregorze, nie bądź bałwochwalcą!

Krew uderzyła Gregorowi do głowy. Rumieńcem oburzenia twarz się oblała. Pokłonił się panu do kolan i rzekł drżącym od wzruszenia głosem:

— Proszę Jaśnie Pana, ja tego niemogę słuchać. — Pójdę powiedzieć księdzu proboszczowi że Jaśnie Pan życzy sobie widzieć się z nim.

I wyszedł za drzwi.

Ostatnie słowa p. Seweryna wydały mu się strasznem bluźnierstwem. Zgorszony był do głębi duszy — tak samo ~~[illegible]~~ jak p. Seweryn.

Podając proboszczowi futro wspomniał mu Gregor że p. Seweryn życzyłby sobie z nim się widzieć.

— Pan Kolator chce się widzieć ze mną? Dobrze, Przyjadę tu dziś po nieszporach... a! i po pogrzebie dziecka tej kobiety.

. . . .

Wieczorem, po pogrzebie małej Anusi stanęła kryta bryczka ~~[illegible]~~ przed gankiem dworu.

Wszedł ks. Tomasz do salonu. Zastał tam pannę Marylę przy nauce z Rachelką i drugą jeszcze dziewczynkę sierotę wychowywaną we dworze. ~~[illegible]~~.

Frania, tak się zwała ta sierotka, na widok wchodzącego proboszcza wstała z krzesełka i pobiegła czemprędzej aby go pocałować w rękę. Rachelka powstała ~~[illegible]~~

~~[illegible]~~

. . . .

również i zaraz chciała pójść za przykładem swej towarzyszki, zawahała się jednak i zarumieniona spojrzała badawczo dużemi czarnemi oczyma na swą nauczycielkę. Wiedziała ona że jest „żydówką", chociaż nie pojmowała różnicy jaka zachodzi między żydem a chrześcijaninem, wiedziała że jest inną jakąś istotą od reszty dziewcząt wychowywanych we dworze a domownicy mimo starania Marylki dali jej już nieraz uczuć że jest istotą jakiegoś gorszego od nich gatunku. Nie skarżyło się jednak na to biedne dziecko, bo Marylka wynagradzała jej każdą doznaną przykrość większemi pieszczotami. Kilka razy w niedzielę i święta chciała pójść Rachela z innemi dziewczętami do kościoła, wybierała się tam z wielką radością i ciekawością a rozpłakała się rzewnie gdy jej Marylka kazała pozostać w domu. Dziecko czuło się takiem samem dziewczęciem jak jej towarzyszki. Bolało ją to że ją wyróżniają, że ją upośledzają, to znowu wyszczególniają na przemian. Nie czekając teraz na wezwanie swej opiekunki stanęła przy stoliku z książeczką w ręku i zarumieniona patrzała na proboszcza nie spuszczając z niego oka. Widziała go po raz pierwszy. —

Proboszcz rękę całowaną przez Franię, wyciągał już ku Racheli, spostrzegł jednak jej wahanie i zapytał:

— A! to zapewne ta żydówka? Słyszałem o miłosiernym uczynku Pani.

— To nie jest to mój ojciec .... odrzekła Marylka. I dodała: Jakże nie było wziąć jej w opiekę, takie nieszczęście! A dotąd niepodobna odszukać jej rodziny.

— Niezbadane są zamiary Opatrzności! odrzekł proboszcz składając pobożnie ręce. Po chwili zapytał:

— Jakże postępuje w nauce?

— Bardzo z niej jestem zadowolona.

I pocałowała ją w czoło.

— Kiedyż ją Pani przyśle do mnie?

— Do księdza Proboszcza? jakto? — zapytała Marylka z niejakiem zdziwieniem.

— A na katechizacje! — odparł proboszcz tonem głosu który niemniej świadczył o zdziwieniu.

— Na katechizację? — zapytała Marylka jakby niedowierzając własnym uszom. — Proboszcz zrobił gest przytwierdzający.

— Wszakże ona żydówka! — zauważyła Marylka.

— Wszakże ją Pani uczy katechizmu! — odrzekł proboszcz.

63

— Ja? katechizmu?... Uczę ją religii ale katechizmu jej uczyć nie mogę bo nie mam jej katechizmu. Nie wiem nawet czy można dostać w księgarni katechizm polski dla dzieci żydowskich...

Proboszcz zapłonił się cały z oburzenia.

— Jakto? — rzekł hamując się w gniewie z wyrazem niekłamanej boleści — jakto? Pani byś ją uczyła tych fałszów [?] żydowskich!

— Przecież niepodobna abym dziecko z niej zrobiła chrześcijankę.....

— Pani nie chce aby przyszła do chrztu! Bóg w łasce swej niezmierzonej oddał Pani w ręce to dziecko a Pani je nie chce uratować od potępienia?

— Księże Proboszczu! — odrzekła Marylka z żywością [?]. — Zaczóżby ją Bóg miał potępiać jeśli będzie zawsze dobrą i cnotliwą?

— Boże Święty! cóż Pani mówisz! cnotliwą! czyż może być cnotliwą, bo za obrębem kościoła!

— Przecież i w Starym Testamencie jest to przykazanie: Miłuj bliźniego twego jako siebie samego.

— Tak, jest to u Mojżesza w rozdziale XIX. Levitiku, — ale czyż Pani nie wiesz że bez łaski Ducha Stego niema ani cnoty ani zbawienia! — Zważ Pani jaką ciężką na siebie przyjmujesz odpowiedzialność!...

— A jeśliby rodzice Racheli zgłosili się po nią i znaleźli ją chrześcijanką... Cóżby powiedzieli? Nie byliby mi wdzięczni! —

— Czyż Pani dla wdzięczności tych żydów ją wychowujesz?

— Nie, ale jakież by to było dla nich nieszczęście!

— Dla nich? dla niej by było nieszczęściem odnalezienie rodziców jeśliby dostatecznie nie była jeszcze umocnioną w wierze...

— Ale zważ księże Proboszczu — jakiby to był rozstrój w tej rodzinie. Ani oni jejby nie kochali ani ona ich.

— Rozstrój? — powtórzył proboszcz — to właśnie daj Boże!

— Ależ to okropne!

— A któż to rzekł: Przyszedłem abym rozerwanie uczynił między synem a ojcem jego i między córką a matką jej?... (Matth. X. 35.)...

— To okropne! — poszepnęła mimowiednie Marylka.

— Kto miłuje Ojca albo Matkę nademnie nie jest mnie godzien — dalej proboszcz kaznodziejskim uroczystym głosem.

Pan Seweryn zapracowany nad jakimś dziełem w swoim gabinecie, usłyszał donośny głos proboszcza i

wyszedł do salonu.

— Witam Proboszcza i proszę do siebie.

Weszli obaj. P. Seweryn wskazał mu ręką fotel, sam usiadł naprzeciwko na krześle.

— Z pogrzebu wracasz księże Proboszcz? — zapytał kolator szorstkim pełnym tonem. Proboszcz potwierdził pochyleniem głowy.

— Jakkolwiek wielka zachodzi różnica w naszym sposobie myślenia — mówił zwolna p. Seweryn patrząc w oczy księdzu Tomaszowi — niesądzę, aby przekonania twoje księże Proboszczu mogły tak daleko wyziębić serce i zagłuszyć w niem głos naturalnego dla cierpiących współczucia, aby to co się stało niemiało cię wzruszyć do głębi...

Proboszcz nie przeczył — był on w samej rzeczy głęboko wzruszonym. Wstrzymał się od odpowiedzi i choć go raził ostry ton tej przemowy w którym brzmiało coś cięższego od zarzutu, postanowił jednak z godnością kapłana chrystusowego cierpliwością i spokojem wysłuchać do końca.

— Nie wątpię zatem — nie chcę wątpić że czujesz teraz coś zrobił i że widzisz jasno dokąd cię doprowadziła twoja fanatyczna dla dogmatu żarliwość...

— W rzeczach wiary nigdy dość żarliwym być niemożna — odparł proboszcz z spokojem. — A jeśli w czem zbłądziłem, proszę, chciej mi Pan kolator powiedzieć.

— Jakto? — przerwał mu gospodarz gwałtownie, — jakto? czyż niewidzisz naocznie owoców Twego fanatyzmu? czyż jeszcze nie dość! Czy niewidzisz żeś zburzył domowe szczęście poczciwej rodziny! żeś zabił dziecko! żeś matkę mało o śmierć nie przyprawił!..

Westchnął się proboszcz boleśnie.

— Tych zbrodni winnym się nie czuję.

I spokojnym wzrokiem spoglądał na gestykulującego namiętnie gospodarza.

— Nie czujesz się winnym? Ha! to przepyszne!... A z pogrzebu wracasz? Zakopałeś twoją ofiarę — i nie czujesz się winnym? I spokojnym jesteś, zupełnie spokojnym! A któż to zrobił? kto?

— Najsprawiedliwszy Sędzia chciał ukarać grzeszników i ukarał! — odparł proboszcz z godnością.

— Co? Bóg? – Bóg dzieciobójca? – A wy wykonawcy jego wyroków? – Bóg wam dzieci każe mordować? ... Melkart? Moloch?.. Baal-Chamman?..

— Dość, Panie kolatorze! – Bóg zabrał to dziecię do swej chwały..... Jakto? czyż sądzisz Pan iż Bóg może błogosławić cudzołożnym związkom? Czyż kilkoletnia zatwardziałością w grzechu nie zasłużyli ci ludzie aby im dzieci wymierały?

— Wybornie! – możeby jeszcze resztę dzieci im pozabijać?

— W miłosierdziu Jego uzbrojonom nadzieja że wstrzyma karzącą rękę...

— Kto wie proboszczu – przedrwiwając mówił p. Seweryn – Kto wie? Jehowa aż do trzeciego karze pokolenia a za jabłko zjedzone przez Adama pokutujemy wszyscy wedle dogmatu...

Powstał proboszcz z krzesła i rzekł łagodnie:

— Panie kolatorze! nie sądzę abyś kazał mnie wołać nato abym słuchał bluźnierstw. Jeśli zamiarem Pana był uczynić mi niesłuszny zarzut jakobym ja był winien śmierci tego dziecka....

— A ktoż? a któż? – pytał pan Seweryn rozdrażniony do żywego. – Któż winien? może ja?

— Nie myślę Pana o to obwiniać. Ale...

— Ale cóż?

— Kto wie czyby Najmiłosierniejszy nie był oszczędził tego dziecka, gdybyś Pan niebył podtrzymał w jego rodzicach grzesznej nadziei...

— Jakto? zkąd wiesz o tem księże?

Rumieniec oblał bladą twarz księdza Tomasza.

— Zkąd możesz o tem wiedzieć żem im zrobił nadzieję połączenia?... Ona ci tylko mogła powiedzieć! chora... przy spowiedzi! bo Karol zapewniłem nie. Ona, przy spowiedzi! Cha cha... zdradziłeś tajemnicę spowiedzi księże...

I rubasznym wybuchnął śmiechem na widok zakłopotania proboszcza...

Ksiądz Tomasz poczerwieniał na twarzy z wstydu czy oburzenia. Skrzącym gestem odparł to ubliżające mu przypuszczenie.

— No, mniejsza o to! – mówił p. Seweryn. – A więc to ja, ja winien temu nieszczęściu?.. powiedz że księże!

— Nie mówiłem tego, ale Pan kolator jako pan tej włości...

— Winien jestem śmierci moich poddanych... Co? tak? – Król Dawid karał sporadzie spis ludności – a Jehowa za karę zabił mu 70.000 poddanych. Dawid zawinił a ślusarza powiesili. Quidquid delirant reges plectuntur Achivi! – Siadaj-no, księże, siadaj, bo mnie bawisz...

— Nie jestem na to abym bawił Pana kolatora! – odrzekł proboszcz zgodnością i zabierał się do wyjścia.

— No, no; nie obrażaj się księże — bo mnie nie w myśli obrażać cię. Jeśli ci mówię bez ogródek szczerą prawdę tak jak ją czuję, — to nie w chęci obrażania cię. Siadaj księże i słuchaj.

Proboszcz nie usiadł, ręce założył na piersi i słuchał.

— Wszak mnie to samo powiedziałeś proboszczu co ja tobie — mówił pan Seweryn spokojniejszym już tonem głosu (z pewną nawet słodyczą) — Tak! zarzuciłeś mi ten sam zarzut, że ja winien śmierci tego dziecka, — a ja się jednak nie obrażam.... ~~[illegible]~~ podobno zamieniliśmy role i ja teraz jestem uczniem Chrystusowym.... Wejdź w siebie księże! wejdź w siebie ... choć raz w życiu! Ale bez dumy apostolskiej, bez pychy, bez uprzedzenia!... Przecież niema ci za człowieka bez grzechu ... co? czyś i ty nieomylny?.. Tego nie myślisz... no, to uderz się w piersi tym razem....

Ksiądz Tomasz uśmiechnął się boleśnie: pan Seweryn zarzucał mu pychę, jemu który tak ~~wielkim~~ czuł się grzesznikiem! A jednak do winy w obecnym wypadku nie mógł się przyznać, wszak on postąpił wedle obowiązku swego, rozrywając gorszący bezecny związek tych ludzi...

— No, księże proboszczu! wejdź w głąb własnego serca. Niepodobna aby tam na dnie nie było ludzkiego uczucia! Wiem jak w czasie zarazy z narażeniem życia odwiedzałeś chorych i ginących, ~~[illegible]~~ przywracałeś zdrowie i siły staraniem twem ~~[illegible]~~... Niepodobna abyś nie miał zrozumieć nieszczęścia w jakie twoją niewczesną gorliwością pogrążyłeś tych dwoje poczciwych ludzi!...

— Boleję nad ich nieszczęściem panie kolatorze, — rzekł ks. Tomasz z prostotą. — ale cóżem ja temu winien?

— Jakto? A któż to wygnał tę kobietę z domu w którym czternaście lat poczciwie przeżyła? kto ~~[illegible]~~ odebrał mężowi żonę a dzieci osierocił? ~~[illegible]~~ Zapomnij że choć raz że jesteś księdzem a pomów jako człowiek!

— Że jestem księdzem, o tem panie kolatorze nigdy nie zapomnę. Ale gdybym zapomniał że pan jesteś katolikiem — o czem niestety słysząc Pana możnaby nieraz powątpiewać! — to i w takim razie już nie jako katolika ale jako obywatela ~~[illegible]~~ mógłbym zapytać: czy możliwym byłby jakikolwiek ład społeczny tam gdzieby prawo tolerowało tego rodzaju dzikie

związki? Czyż nie jest to już nie „księżym" jak się pan wyraziłeś, i nie wyłącznie katolickim ale wprost nawet obywatelskim obowiązkiem przeszkodzić takiej ohydzie i demoralizacji?.. Wszakże rodzina jest podwaliną każdego społeczeństwa!.. cóżby się z nią stało, gdyby wolno było porzucać żonę ślubną a żyć z inną kobietą i mieć z nią potomstwo, które już na świat sierotami się rodzą.... Niemożna wprawdzie być dobrym obywatelem niebędąc katolikiem, ale ty już nawet i protestant niemógłby zezwolić na podobne publiczne zgorszenie... i pochwaliłby moje postępowanie..... Cóżem miał robić!

— Najlepiej było nic nie robić, nie mięszać się wcale w te rzeczy...

— Wielki Boże! cóżby się to działo gdyby na takie obyczaje patrzyć przez palce! To niepodobna! tego Pan niemożesz mówić na serjo. Za przykładem jednej takiej pary niedozwolonej któryby występek uszedł bezkarnie, sto innych kojarzyłoby się w każdej parafji, domagając się toleracji. Jeżeli Karol Raik i Helena przez tyle lat umieli się ukryć z swoją tajemnicą i żyjąc pod każdym innym względem na pozór przykładnie — nie byli dla parafian powodem zgorszenia, to stali się niem obecnie w tem wyższym stopniu... Inni zaś panie kolatorze przekonawszy się że wszystko uchodzi bezkarnie, wstępując w ich ślady, jużby bez żadnego wstydu i obawy zgorszenia zawiązywałby co tydzień inny związek aby go zerwać za tydzień! Prawdziwa Sodoma!...

— Przesadzasz księże proboszczu! — wtrącił p. Seweryn.

— Nie, nie przesadzam panie kolatorze, bo znam moich parafian....

— No, i ja ich znam, a mam o nich nieco pochlebniejsze wyobrażenie. Jestem pewny że liczba nieślubnych dzieci — których i dziś mimo całej twej surowości tak olbrzymi rodzi się procent — nie wieleby się powiększyła. A ile to i dziś dzieci nieprawych które za ślubne uchodzą — bo matka umie wiarołomstwo ukryć przed mężem — i nawet zmuszona je ukrywać, bo jej męża porzucić nie wolno. Całą przyczyną tego opłakanego stanu jest niemożność rozwodu... Gdyby przeprowadzenie rozwodu czy unieważnienia małżeństwa nie podlegało tak wielkim trudnościom i nie pociągało za sobą takich kosztów — to cóż? Karol byłby oddawna miał ręce związane stułą przez ciebie Proboszczu i byłby ślubnym prawdziwym mężem Heleny jak dziś jest prawdziwym mężem nieślubnym...

— Nie jest dziś mężem panie kolatorze, ale uwodzicielem.

68.

— Szczególniejszy to uwodziciel, wierny przez lat czternaście! Uwodziliby się byli tak oboje do śmierci gdybyś ich nie był rozerwał księże Proboszczu!...

— Brnęliby byli dalej w grzechu...

— Mam jednak nadzieję że ich kiedyś pewnie sam połączysz przed ołtarzem.

— Jakto? ja? — zawołał proboszcz z wyrazem oburzenia.

— Na przykład w takim razie gdyby się okazało że ślub Karola z pierwszą żoną był nieważny.... A mówiła mi zapewne Karolowa że im przyrzekłem postarać się aby się to okazało....

Żywy rumieniec wystąpił na twarz ks. Tomasza.

— Wątpię — rzekł — aby się to okazało. Ale i w takim razie byłyby pewne trudności z powodu dotychczasowego ich grzesznego związku. Tylko pod pewnemi warunkami mógłby kościół pobłogosławić.... W każdym razie śmiem prosić pana Kalatora abyś nie podniecał w tych ludziach grzesznego uporu wobec kościoła i nie zatwardzał ich serc płonną nadzieją połączenia, — byłoby to ze szkodą ich duszy.

— Ten upór w wzajemnem przywiązaniu pomimo twego prześladowania proboszczu, to właśnie każe mi ich cenić; gdyby go nie mieli nie warci by byli współczucia. A nadzieję ich tłumić nie myślę, bo to obecnie jedyna ich pociecha, — byłbym człowiekiem bez serca gdybym im ją odbierał. Staraniem moim usilnem będzie aby ta nadzieja się spełniła.

— W takim razie widzę z boleścią iż pan postanowiłeś wydać wojnę kościołowi i w tej sprawie!

— Czy to nowa groźba klątwy? ekskomuniki?

I roześmiał się p. Seweryn dobrodusznym śmiechem jakby była mowa o najweselszym przedmiocie.

— Ja się wszystkich pogróżek nie boję. Darmo księże: to już nie średnie wieki!... Wojny kościołowi nie wydaję — nikomu nie wydaję wojny. — Kocham pokój — a nieprzyjacielem jestem wszelkiego przymusu i prześladowania. Cywilizacja wydała wam wojnę! Ile razy będziesz prześladowcą — tyle razy będziesz mnie miał przeciw sobie.

Proboszcz chciał coś odpowiedzieć. Przerwał mu p. Seweryn.

— Dajmy temu pokój księże! Ty mnie nie przerobisz, ani ja ciebie — niestety!... Jeśli ze śmiercią nie kończy się wszystko, to przekonasz się na tamtym świecie że dwa są tylko grzechy ciężkie: gasić światło rozumu i wyziębiać serce. Za to czeka piekło wiecznego żalu... jeśli jest Bóg — a choćby go nawet i nie było.

Dreszcz świętobliwej grozy przeszedł mrowiem księdza Tomana. Czerwienił się i bladł na przemian. — Pochwycił za kapelusz a zabierając się do wyjścia rzekł jeszcze:

— Bóg jest cierpliwym, panie kolatorze, ale choć długo oczekuje poprawy grzesznika...

— Pismo święte mówi przeciwnie że jest zapalczywym... — przerwał mu uśmiechając się p. Seweryn. — Cóż to, do poprawy chcesz mnie wzywać proboszczu?

— Jest to moim obowiązkiem...

— Popraw-no się sam księże — to twój najpierwszy obowiązek. Wobec twoich gwałtów i prześladowań — to i najcierpliwszy człowiek znienawidzieć musi religję która do nich wiedzie. Ty sam wytwarzasz heretyków i ateuszów... ty sam proboszczu! Nieprzyjaciołom kościoła nikt lepiej przysłużyć się nie może jak ty się im wysługujesz!...

Żywo dotknęły te wyrazy księdza Tomana. Niemożliwym był zarzut któryby głębiej ugodził. Twarz zapłonęła rumieńcem gniewu, krew we wszystkich tętnach gwałtownym uderzyła prądem. Z trudnością udało mu się zapanować nad burzą własnego serca. Powstrzymał się od odpowiedzi i pochwycił za klamkę bez pożegnania. W ostatniem przeciągłem spojrzeniu które zatrzymał na bladej twarzy kolatora — cała na wyrządzoną obelgę mieściła się odpowiedź. Wszystko co czuł w tej chwili wypowiedziały błyszczące jego oczy. — Spojrzenie to snać było wymowne — bo i p. Seweryn stracił zwykły swój spokój a uśmiech na jego twarzy w nerwową zmienił się kontorsję.

— Gniewaj się księże jak chcesz! — podniesionym zawołał głosem, — ale się popraw!.. bo jak nieprzestaniesz wyrabiać awantur średniowiecznych... to znajdę i na ciebie środek!... łatwo się chciałem z tobą widzieć!..

— Prześladowania i męczeństwa się nie lękam — to rzecz zwykła dla sług Chrystusowych! — odrzekł proboszcz z uroczystą powagą. — Od pełnienia obowiązku mego pan mnie nie odstraszy, ale obelg dłużej słuchać mi się nie godzi. Po raz ostatni jestem w tym domu...

— I owszem!

— Ale po raz ostatni jeszcze wzywam pana do opamiętania i pokuty!..

— Adieu! — i wskazał p. Seweryn ręką na drzwi. —

* * *

Dzięki staraniom starego niemca, Karolowa zwolna przychodziła do zdrowia. Pan Seweryn z podwojoną gorliwością czynił zabiegi celem wydostania potrzebnych dokumentów dla obmyślenia planu jakiby obrać należało aby dopiąć urzędowe unieważnienie małżeństwa Karola z ową porwaną przez dragona kobietą, która go w pierwszym roku poślubie opuściła.

Jeśli w pierwszej chwili w której przyniósł swą pomoc i opiekę nieszczęśliwej parze nieślubnych a wiernych małżonków, uczynił to z samej tylko dobroci serca, to obecnie po powtórnej przez nas rozmowie z proboszczem, w gorliwem usiłowaniu podniecał go gniew na proboszcza. Założył on sobie punkt honoru w doprowadzeniu do tego aby zmusić księdza Tomasza do uświęcenia związku który tenże był rozerwał mocą duchownej swej władzy. –

Jakież było jego zdziwienie, gdy w kilka dni później przyszedł do niego Karol – blady i drżący pod wpływem gwałtownego jakiegoś wzburzenia umysłu, z oczyma zapłakanemi a rozpacznym jakimś palającemi szałem.

— Co ci jest ? – zapytał zaniepokojony wyrazem jego twarzy p. Seweryn. – Czy żonie gorzej ?

— Ja już niemam żony ! niemam ! Rozerwał nas ~~[illegible]~~ na zawsze ten łotr....

— Ho, ho ! nie na zawsze mój poczciwy, nie na zawsze. Bądź spokojny – i cierpliwy. Rozpisałem listy a niczego nie pożałuję aby was połączyć. On wam sam ~~[illegible]~~ da ślub w tutejszym kościele.

— Już chyba tak nie będzie ! ~~Ona~~ już niezechce ....

— Jakto ? a to dla czego ?

— A cóż ! On do niej chodzi codzień i głowę jej zawraca karą boską na dzieciach.... a kobieta niechce się już ze mną widzieć.

— Jakto ? ~~ona~~ z tobą widzieć się nie chce ?... To dzieciństwo ! ... Ale poco ty na to zważasz ? nie pytaj jej, tylko pójdź do niej i koniec --

— ~~Nie~~ – ja już nie pójdę ... już nie śmiem. Odczasu jak ~~[illegible]~~ odbyła spowiedź – ~~[illegible]~~ ja codzień dwa razy tu przychodzę ~~do domu~~ ~~[illegible]~~ żeby ją zobaczyć, a ona kazała mi tylko powiedzieć przez dziewkę która przy niej siedzi żebym ~~do~~ izby nie wchodził, bo ~~[illegible]~~ tak już wie to wsobie że jak ze mną ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ będzie się widywać to umrze, — to ja nie śmiał tam iść... Ale dziś już mi było za długo. I pomyślałem sobie : póki tego będzie ? – i wszedłem. Dziewka mi drzwi zapierała ale jam jej odepchnął i wszedłem.... O Jezu miłosierny !.. ~~[illegible]~~ to biedactwo dziedziecko wyschłe, taka wychudła i pożółkła z takiej żywej i czerstwej kobiety !... a jak mnie obaczyła to zerwała się z swego łóżka na ziemię i do moich nóg przypadła i po nogach mnie zaczęła całować i ręce łamać i płakać na cały głos ......

I głos mu odmówił posłuszeństwa. Łkaniem zakończył spowiedź.

71. Starał się go uspokoić p. Seweryn. Pochwili Karol mówił dalej.

— Płakała i całowała mnie ponogach i łamała ręce abym już do niej nieprzychodził i nierozmawiał z nią bo nam wszystkie dzieci powymierają.... Tylko żebym poszedł do księdza do spowiedzi... A ja już niemógł wytrzymać patrzać natę jego robotę — tylko zacząłem go przeklinać: niech go Panbóg ciężko skarze! bodaj go choroba powaliła!... a ona tylko krzyknęła raz jeszcze i chwyciła się za serce i upadła...

— Zemdlała?

— Niemogliśmy się jej docucić aż p. doktor przyszedł. Wypytał mnie jak to się stało i także zakazał abym do niej niechodził, dopóki całkiem nie wyzdrowieje... —

Pan Seweryn gorączkowym krokiem chodził po pokoju.

— Łotr! łotr!... powtarzał co chwila. — No, no, uspokój się Karolu! — rzekł wreszcie. — Zmieni się to, zmieni wszystko na dobre. Jak księdza przestanie widywać to jej wnet ta warjacja wywietrzeje z głowy. Nakażę surowo aby księdza do niej już niepuszczano...

— On nie będzie zważał na zakaz...

— Jakto? czyż niejestem panem w moim domu?... Obaczymy!

— Jego nikt nie będzie śmiał zatrzymać. Jak zechce wejść to wejdzie...

Nie odpowiedział natę uwagę p. Seweryn, szerokim krokiem mierzył pokój wzdłuż i wszerz jak ptak rozbijający się o pozłacane kraty więzienia których przełamać nie w jego mocy. — Przypomniał sobie rozmowę, którą miał przed kilka dniami z najwierniejszym swym sługą, z Gregorem, tarł ręką czoło i uczuł się bezsilnym.

— Prawda.... prawda.... — powtarzał z cicha jakby sam do siebie. — Prawda!... Wobec księdza nikt u nas nie jest panem w domu własnym! — Od złodzieja się można uchronić, — dla księdza wszystkie drzwi otwarte!... Prawda... prawda!...

— — — — — —

Minął tydzień. Chora miała się już znacznie lepiej. Przez ten czas codzień prawie odwiedzał ją proboszcz, Karol nieśmiał wejść do jej pokoju bez jej zezwolenia. Posyłał do niej dzieci a sam do drzwi przykładał ucho, słuchał jak rozmawiała — i tyle było jego szczęścia. Gdy go kto jednak

a nie dała się podnieść z ziemi tylko mnie prosiła

*) Blada twarz Karola obladła się ponsem. —

— Strzeż się tej złej myśli którą ci gniew nasunął! — rzekł p. Seweryn. — Zniszczyłbyś już na zawsze własne twe szczęście i żony i dzieci twoich... Niczegobyś tem niedopiął. — Gdybyś zemsty dokonał przestałaby się zemsta cieszyć i miałbyś na całe twe życie piekło w twojem sumieniu..... Już ani dzieci ani żona ani twe własne życie niebyłoby ci miłe.... Wtedy dopiero byłbyś nieszczęśliwy — — i już niemógłbyś mieć nadziei, żadnej nadziei!..

Pochwycił Karol rękę swego dobrodzieja i gorący złożył na niej pocałunek. W oczach jego pełno było łez.

Dzikim jakimś blaskiem strzeliły oczy rzemieślnika, trupią bladością twarz się okryła. Przez zaciśnięte zęby szepnął ledwie zrozumiałym głosem:

— Oh... oh ja mu......!

A zaciśnięta pięść drżała mu jak w febrze. Podnosił już ją przy tych słowach wgórę i jakoby w pół drogi się wstrzymał, opuścił ramię i zamilkł.

Spostrzegł jednak i widział wszystko p. Seweryn. Przystąpił do niego i spojrzał mu w oczy.

— Coś ty rzekł? — zapytał spokojnie ale surowo.

— Nic! — I spuścił oczy ku ziemi:

— Nic? — Ja słyszałem wszystko i patrzę teraz na ciebie i czytam w twem sercu jak w książce... bo znam ludzkie serce — i ciebie znam.

*)

natknął niespodzianie na tem podsłuchiwaniu, snadź wstydził się słabości dla kobiety która go odpychała, odsunął się spiesznie od drzwi, wzruszał ramionami:

— Tfy! głupia kobieta... Skaranie boże tego księdza!..

Pomimo tego stanu rzeczy, pan Seweryn niewątpił że przywiązanie jej do dzieci i do męża przeważy kiedyś nad posłuszeństwem wobec spowiednika i nie tracił nadziei że mu się kiedyś uda podźwignąć węzłem małżeńskim rozerwane przez proboszcza stadło. Na listy jednak rozpisane w tej sprawie, bardzo skąpe tylko otrzymał dotąd odpowiedzi.

Dzieci obojga tych nieszczęśliwych ludzi mieszkały w chacie ojcowskiej, ale przychodziły codzień do matki z pozdrowieniem od Ojca. On im kazał czcić i kochać Matkę, ona uczyła je bać się Boga przedewszystkiem a Ojca całą duszą szanować i kochać. Nie odwzajemniała jednak tych pozdrowień i uścisków które jej dzieci przynosiły od Ojca.

— Co Matusia każe powiedzieć Tatkowi? — pytał ją pewnego dnia ~~Karolek~~ mały Karolek przy pożegnaniu.

— Nic... odrzekła ~~za~~ smutnie, i łza upadła na jasnowłosą główkę pieszczotka, jakby kropla deszczu na kądziółkę lnianą. Zamyśliła się i dodała po chwili: — Powiedz mu żeby poszedł do spowiedzi. — — —

Po trzech tygodniach Helena przyszła już do zdrowia i dziękując panu Sewerynowi za doznaną opiekę, prosiła jako o największe dobrodziejstwo o najlichszą choćby służbę we dworze aby mogła i nadal niedaleko być od swoich dziatek. Marylka która odwiedzając ją w czasie jej choroby szczerze ją polubiła, powierzyła jej na próbę tymczasowe zastępstwo klucznicy, która ~~[illegible]~~ to posada właśnie była opróżnioną. Helena zabrała się gorliwie do pracy.

Codzień pod różnemi pozorami kazał ją wołać do siebie p. Seweryn, rozmawiał z nią o dzieciach

73. i o męża i starał się wybić jej z głowy naukę proboszcza.

— Czemuż go nie chcesz widzieć? czemuż z nim nie chcesz pomówić? Przecież to ojciec twoich dzieci, to twój obowiązek rozmówić się z nim o waszych dzieciach! Przecież to twój mąż... a jeśli jeszcze nie ślubny mąż, to nim będzie — ja się o to postaram... Co, czy go już nie chcesz?

— Mnie grzech o tem myśleć! ja już niczego nie chcę, tylko szczęścia dzieci i zmiłowania boskiego...

— Jakże mogą być dzieci szczęśliwe jeśli wy nie połączycie się z sobą... Czy już go nie kochasz nie chcesz być jego żoną?

— Bez błogosławieństwa kościoła — nie chcę...

— Ale pobłogosławi, pobłogosławi was ten kościół — nie bój się, już ja się postaram o to... jeśli tylko ty jeszcze tego pragniesz ~~chcesz~~... Powiedz szczerze!

— Mnie grzech tego pragnąć! mnie grzech o tem myśleć i spodziewać się tego!... ja już niczego nie chcę...

Łagodny ton perswazji którym p. Seweryn zrazu zwalczał jej skrupuły, zmieniał się czasem w ostrzejsze wyrazy szyderstwa z niedorzecznych „proboszczowskich przesądów" a nawet w surowy i bolesny zarzut że się dała opętać księdzu „jak djabłu" i zaparła się Boga który w sercu ~~kazał~~ każdej matki zapisał przykazanie „świętsze nad wszystkie" święte kościoły: przywiązanie do dzieci własnych i do tego który jest ich ojcem. — Wyczerpywała się cierpliwość pana Seweryna wobec ~~[illegible]~~ niezłomnego oporu tej kobiety, którym w ślepej swej wierze nie argumentująca milczeniem ~~na~~ wszelkie odpowiadała argumenta. — Podrażniony do żywego mówiał ~~[illegible]~~ godzinę całą ~~[illegible]~~ rozprawiając, usiłował p. Seweryn wymódz na niej, aby jak się wyrażał „wyzwoliła się z księżej niewoli." Już w tem usiłowaniu ~~może~~ nie tyle mu szło o szczęście tych drogich ludzi jak o tryumf nad nienawistnym wpływem proboszcza. Namawiał, nakłaniał, przekonywał, w gniew wpadał i ostrzej karcił sposób jej postępowania — wszystko nadaremnie. Nie umiejąc należycie zrozumieć i odczuć pobudek które ją zatwardzały w uporze, nie domyślał się ~~on~~ wcale że to co on słabością trwożliwą wobec proboszczowskich pogróżek nazywał — ona w głębi duszy nazywała ~~[illegible]~~ zwycięstwem nad sobą samą odniesionem, ciężką okupionem ofiarą, poświęceniem najgorętszych serca skłonności. Walkę bolesną która w niej wrzała — on jej utrudniał, pragnął ją zaślepiać

74

w powziętem przy spowiedzi postanowieniu, burzę która ~~wszystka~~ szarpała jej myślami – podsycał podmuchem każdego słowa. Namowy jego działały na nią jak podszepty kusiciela. Zmuszona słuchać jego kazań gwałt zadawała sobie samej aby słuchając nie słyszeć, nie rozumieć. Torturą były te chwile dla niej i trzeba było zaiste heroizmu prawdziwej chrześcianki aby znieść ~~szyderstwa~~ naigrawanie, szyderstwo, cały zasób trzeźwej i jasnej dyalektyki uczonego męża, a co najcięższe życzliwą radę swego dobrodzieja i opiekuna – i nie ulec.

~~Nieraz po takiej konferencyi śmiał się p. Seweryn sam w sobie że dla takiej dobroczynności tyle sobie zadaje pracy~~ – Nieraz po takiej konferencyi biedna kobieta sama z sobą w sporze biegła do swej izdebki i rozpłakana padała na kolana przed małym krzyżykiem zawieszonym na ścianie, który jej dzieci z ~~chaty~~ mazowieckiej chaty przyniosły.

– Boże! – wołała – uchroń mnie od moich myśli!..

A myśli te powtarzały jej ~~szyderczym~~ spokojnym głosem p. Seweryna: Śmieszna jesteś – to dzieciństwo! Możesz z ~~Karolem~~ teraz nie mieszkać, nie uważaj go za męża, niech on nie będzie dla ciebie kochankiem – ale niech będzie ~~tem~~ czem jest i do czego ma prawo: ojcem twoich dzieci a twoim przyjacielem.... Dlaczegóż ani mówić z nim nie chcesz ani go nawet widzieć? To śmieszny kaprys proboszcza i nic więcej!... A ty mu ulegasz?

– Boże! Uchroń mnie od myśli moich!

I znowu po chwili gorącej modlitwy odzywało w swej duszy jakoby echo owych słów proboszcza: Nie mów z ~~nim~~ Karolem, nie widuj się z nim – zapomnij czem ci był – ~~póki~~ aby Miłosierny odwrócił karzącą prawicę od was i od dzieci waszych... Strasznym jest gniew Pański!... pamiętaj! strasznym jest gniew Pański!

A tymczasem p. Seweryn po każdej z nią rozmowie śmiał się z samego siebie iż dla takiej dobroczynności tyle sobie pracy zadaje. Przyznawał sam w duszy że mu nie tyle o ~~Karola~~ rzecz sama idzie ile o odniesienie moralnego nad proboszczem zwycięstwa. Przytem był to rodzaj ~~studium~~ eksperymentu psychologicznego dla p. Seweryna, coś nakształt moralnej wiwisekcji... Nie był w stanie zrozumieć ile ten eksperyment był dla biednej szewcowej boleśnym! – Nie umiał on uszanować pobudek które ją

75. podtrzymywały w oporze; wydawały mu się one dziwne, śmieszne, niedorzeczne, świadczyły w jego mniemaniu tylko o jej ciemnocie i o sile fanatyzmu. Niemniej jednak sympatyczna postać tej kobiety, ten poważny smutek który uszlachetniał rysy jej twarzy — jednały dla niej i jego życzliwość. Surowa moralność u kobiety (tej sfery społecznej a kobiety) żyjącej tak długo w nieślubnem małżeństwie, niezwykły takt w postępowaniu wobec państwa i służby, sumienna gorliwość w wypełnianiu nadzwyczajnych na nią przez Marylkę obowiązków służby — to wszystko mimowolnie budziło w nim dla niej szacunek. Szczególniejszą tu dewotka stała się wkrótce jego i jego córki ulubienicą. Od czasu gdy objęła pod kierunkiem młodziutkiej pani zarząd domowego gospodarstwa porządek był we wszystkiem wzorowy, wszystko szło jak w zegarku, wydatki o trzecią część się zmniejszyły a spiżarnia zdawała się mieć niewyczerpane zapasy.

Co niedziela i święto szła Helena na mszę do kościoła, nie napastowana przez parafian w skutek wyraźnego zakazu proboszcza, lecz w domu bożym klękała zawsze w najciemniejszym zakątku kruchty, pochylona ku ziemi i zatopiona w modlitwie przez całe nabożeństwo jak pokutnica. — Po mszy u wyjścia czekał na nią już Karol a ona spostrzegłszy go uchodziła przyśpieszonym krokiem jak od pokusy, wyrywając się dzieciom które z jego rozkazu zatrzymać ją usiłowały.

Karol przychodził często do p. Seweryna biadając na swoje wdowieństwo i prosząc o pomoc i radę. Ona zaledwie go ujrzała, zamykała się w swojej izdebce, albo szła do Marylki niby po rozkazy lub wreszcie wspólnie z podwładną jej czeladzią zabierała się do jakiejś roboty. Karol klął proboszcza i pytał o radę p. Seweryna.

— Jakąż ja ci mogę teraz dać radę? — Bądź cierpliwy i czekaj. Rozpisałem listy — mój adwokat robi poszukiwania — i mam nadzieję że się jakiś sposób znajdzie... bądź cierpliwy.

Karol milczał niezadowolony.

— Bez niej dzieci mi marnieją — rzekł po chwili — gospodarstwo marnieje, ja sam zmarnieję bez niej.

I po chwili dodał tonem jakoby wyrzutu:

— Gdyby Jaśnie pan jej nakazał aby ze mną mówiła — toby przecież musiała.

Uśmiechnął się p. Seweryn.

— Mój drogi, w stosunku między mężem i żoną ja nie mam nic do rozkazywania. Namawiać ją, nakłaniać, — to mogę, i tą drogą staram się przywrócić jej zdrowy rozum który jej ksiądz odebrał, ale karać... karać? Mogę jej kazać śmietankę zbierać, chleba napiec lub coś podobnego — ale nie to aby z tobą mówiła jeśli mówić nie chce. Ona jest moją drugą ale nie jest niewolnicą....

— Gdyby Jaśnie pan chciał...

— Dziecko jesteś Karolu!... Jeszcze jedną mogę zrobić rzecz — mogę ją tu zawołać ... ale kazać jej żeby z tobą mówiła, tego nie mogę.

I posłał p. Seweryn Grzegorza po klucznicę.

Do chwili przyszła. Spostrzegłszy Karola — chciała się cofnąć — ale p. Seweryn ~~zagrodził~~ zagrodził jej ~~wyjście~~ drogę odedrzwi i wyszedł. Została sam na sam z Karolem....

Chwyciła za klamkę u drzwi aby uciec przed ukochanym. On drzwi przytrzymał silną dłonią, oderwał jej rękę od klamki i od drzwi ją odsunął. Uśmiechnął się że mu tak łatwo było to zwycięstwo, zdawało mu się że siłą swych ramion i duszę jej trzyma teraz w swej mocy.

— Heleno! posłuchaj mnie ... — zaczął mimo zwycięstwa tonem prośby. —

Ona oczy przykryła obiema dłońmi i zamknęła powieki. — Gniew mu rumieńcem wystąpił na twarzy. Oderwał od oczu jej ręce — i zawołał gwałtownie:

— Teraz mnie musisz posłuchać.

Padła przed nim na kolana, objęła mu ~~nogi~~ nogi rychło i szlochające usta przycisnęła do stopy.

— Na miłość boską! Karolu miej litość nademną!... Ja cię nie mogę słuchać bez grzechu!... (Litość miej nademną — i choć ty mnie nie prześladuj! Codzień nasz pan mnie dręczy i spokoju nie daje — to choć ty)

~~Daj~~ Nie myśl ty już o mnie — bo ja już umarła dla ciebie a ty dla mnie, — zapomnij o mnie, tylko o dzieciach pamiętaj ... ~~[illegible]~~ i żałuj ~~za~~ nasz grzech, ~~tak~~ żałuj tak gorzko jak ja żałuję — żeby nas pan Bóg na dzieciach nie karał tak jak na Anusi....

— Cóżby pan Bóg miał karać niewiniątka za grzechy nasze ... co ci się w głowie przewróciło!

— Nie bluźnij — bo pan Bóg jest sprawiedliwy a

77. Anusię nam zabrał....

— Głupstwo!... to proboszcz ją zabrał i twoja choroba to także jego robota...

— To pan Bóg zesłał ją na mnie abym się opamiętała i nawróciła... ~~[illegible]~~ litościwy niech mu za to będzie cześć i chwała!... Nawróć się i ty Karolu — o to jedno jeszcze cię proszę... jeśli ci dzieci miłe! A więcej nie mam z tobą nic do mówienia i nie będę mówić już ani słowa... bo każde moje słowo do ciebie jest grzechem i każda moja myśl o tobie...

— Ha, tak ci proboszcz nagadał!.. Co on z tego ma że tak się na mnie uwziął!... Miej że rozum kobieto i nie słuchaj go. Przecież ja od ciebie nie żądam abyś wróciła do mnie kiedy to już nie może być teraz — ale przecież mówić ze mną możesz choć jak z obcym...

[margin: była ze mną jak z mężem a nawet nie chcę abyś]

— Nie mogę, nie... ani tak jak z obcym, — ja ciebie nie chcę widzieć i nie chcę cię znać....

— Nie chcesz mnie znać? nie chcesz mnie widzieć? — wołał Karol w najwyższem rozdrażnieniu. — Ha, dobrze! dobrze! to odtąd i dzieci już widzieć nie będziesz?..

I odszedł, zostawiając ją zachodzącą się od płaczu, upadającą pod ciężarem ~~[illegible]~~ boleści. —

— * — * — * — * — * — * —

Niewykonalną okazała się pogróżka Karola. Dzieci mimo jego zakazu biegały ~~[illegible]~~ codzień do dworu, do matki; mimo gniewu ojcowskiego i kary wymykały się z domu aby matczynej nie pozbawić się pieszczoty. Nie wspominały jej nawet o tem co je za ~~to~~ ~~po~~ powrocie do chaty czekało. Nie wspominały o ojcowskim zakazie aby im nie ~~[illegible]~~ kazała usłuchać i w tem ojca, jak zawsze to była czynić zwykła. —

Nie od nich tedy ale z ust jakiejś kumoszki dowiedziała się ~~[illegible]~~ nieszczęśliwa o tej nowej torturze którą mąż chciał ją zniewolić do ugięcia się jego woli. Poszła do proboszcza — do spowiedzi żalić się swego nieszczęścia. Dokądże pójść miała?

Ksiądz Tomasz uspokoił jej skrupuły. Oznajmił jej że od nieślubnego ojca ona większe do dzieci ma prawo i mogłaby żądać nawet aby wszystkie przy niej zostały. Rzekł jej że wobec ~~[illegible]~~ Karola zatwardziałości w grzechu obowiązkiem jest jej nawet starać się wpływem swoim przeciwdziałać ~~[illegible]~~ szkodliwym wpływom ojca na dzieci. Obiecał że ze swej strony weźmie je w opiekę i ~~starać~~ uczyni ~~[illegible]~~ co będzie mógł aby Karola zniewolić do łagodniejszego obchodzenia się z niemi.

Dowiedziawszy się z jej ust o owej scenie z jej mężem ~~który~~ oburzony był na p. Seweryna który na pokutującą

78. grzesznicę tak zdradliwe — jak się wyraził — zastawiał sidła. — Zdarzyło się iż tegoż dnia właśnie spotkał p. Seweryna wracającego z przechadzki. Ukłonił się — przybliżył i rzekł:

— Wielmożny Pan kolator raczy darować że na drodze publicznej udaję się do niego z prośbą do której jako kapłan czuję się obowiązanym... Nierad bym naprzykrzać mu się w domu gdzie ~~nie tyle już spotkało obelg~~ tyle razy znieważony już zostałem...

— Nikogo w domu moim nie znieważam kto się sam szanuje.... odrzekł p. Seweryn zatrzymując się, i zapytał: Czegoż ksiądz sobie życzy?

— Proszę, abyś pan kolator raczył ~~się~~ przebaczyć tej nieszczęśliwej grzesznicy która ~~weszła~~ na drogę poprawy i nie ~~[illegible]~~ nakłaniał się do nowego upadku...

— O kim to mowa?... zapewne o szewcowej?

— Tak jest, o klucznicy Wielmożnego pana kolatora... ...W ~~[illegible]~~ razie bowiem ~~[illegible]~~ ponownego pokuszenia jej do grzechu ze strony p. kolatora byłbym zmuszony kazać jej bezzwłocznie opuścić tutejszą parafię... a onaby nie mogła zabrać z sobą swoich dzieci... Ulituj się nad nią panie kolatorze!

— Co to wszystko znaczy?... Zwarjowałeś księże! Ja? pokuszać ją do grzechu?.. To ty się nad nią ulituj i pozwól jej choć rozmówić się o dzieciach ~~[illegible]~~ z mężem... Tak, z mężem! bo ~~[illegible]~~ zaręczam, postaram się o to abyś ty im dał ślub...

— Panie kolatorze, będę zmuszony kazać jej bezzwłocznie opuścić...

— Proszę! spróbuj księże! nie wrośleś mi jeszcze nad głowę.... Ona w mnie przyjęła służbę i nie ~~wolno~~ może jej samowolnie każdego czasu opuścić... ~~Jeżeli~~ Oprócz ~~[illegible]~~ twego widzimisię są nareszcie jeszcze prawa na świecie!.. ...Żegnam.

I odwróciwszy się poszedł p. Seweryn ku dworowi.

Zdziwił się bardzo gdy tegoż samego dnia zjawił się u niego Karol z podobnym do proboszczowskiego ~~[illegible]~~ pomysłem, acz z wręcz przeciwnych płynącym pobudek. Żądał on aby p. Seweryn oddalił Helenę ze służby.

— Jakto? ty? ty tego żądasz? Dlaczego?

I spojrzał mu p. Seweryn w oczy przenikliwie. Karol cerę miał ~~[illegible]~~ dziwnie bladą, ~~[illegible]~~ oczy opuchłe, źrenice jakby zamglone, krwią zaszłe, a ~~[illegible]~~ w ruchach i w tonie głosu niezwykła jakaś przebijała ~~się~~ rezolutność — coś przypominającego kaserne... Pijanym jednak nie był.

Karol ~~[illegible]~~ użalał się że ~~[illegible]~~ Helena zostając pod wpływem proboszcza, buntuje ~~[illegible]~~ dzieci przeciw ojcu i podżega do nieposłuszeństwa; ~~[illegible]~~ dzieci za nic sobie już mają jego zakaz aby nie chodziły ~~[illegible]~~ na plebanię ani do matki i nie opuszczały domu bez jego pozwolenia, wymykają się codzień z domu i zuchwaliły się ~~tak~~ dalece

79. że nawet i kara już nie skutkuje.

— Czegoż ty od niej wymagasz człeku! aby matką kochać przestała? karzesz ją zato że o niej niezapominają? Nie szalej! tybyś ją zato właśnie pochwalić powinien.

— Ona mi powiedziała że mnie już znać niechce – to niechże i dzieci moje jej nieznają, niechce mnie widzieć – to niech i dzieci niewidzi.

— Ale miejże litość nad nią! – Dzieci – to jej ostatnia pociecha, czyż i tą jej chcesz odebrać? Chyba ty nie czujesz jaka ona nieszczęśliwa!

— Ona nieszczęśliwa ale i ja nieszczęśliwy. Sama sobie winna że słucha tego księdza co się tak zawziął na moje szczęście... Ale co ja temu winien?... Wszystkoby już oddawna na lepsze się zmieniło – gdyby nie Jaśnie Pan!

— Gdyby nie ja! a to jak?

— Gdyby Jaśnie pan nie trzymał jej we dworze – toby do mnie wróciła, a choćby i poszła zaraz do innej wsi toby jej tam ksiądz głowy nie bałamucił i stęskniłaby się za dziećmi i wróciłaby do mnie....

— A proboszcz by ją kazał wójtowi ze wsi wypędzić...

— To i jabym sprzedał grunt (za co badź) i chatynę i poszedłbym z nią i z dziećmi! Ja i w miasteczku potrafię warsztat założyć. Czy mnie na to nie stać, czy co?

— Ale wiem że cię stać na to mój Karolu, nie wiem tylko czy by cię tam to samo nie spotkało co tutaj. Pocóż masz grunt sprzedawać zaborczo i wynosić się stąd, kiedy jeszcze jest nadzieja że wszystko zmieni się na dobre. Oto dziś właśnie otrzymałem list od adwokata że o ile wnosić może z przysłanych mu wiadomości, da się w tej sprawie pieniędzmi wszystko zrobić... A ja ci już powiedziałem że pieniędzy nie pożałuję – i nie pożałuję. O cóż ci zresztą idzie? O to, że żona do ciebie teraz nie chce wrócić. No, to jeszcze nie ma czego warjować! To dziecinstwo!... Bądź cierpliwy. Zmieni się to – zmieni.

— Ja nie mogę być cierpliwy. Niech ją Jaśnie pan oddali ze dworu – choćby dziś jeszcze. Póki ona tu jest to ja nie mogę być cierpliwy!...

— A to dlaczego? ~~Zwarjo~~ Oszalałeś chyba Karolu! – Pijany jesteś, czuć od ciebie wódkę! Wstydź się!

— Czego się mam wstydzić Jaśnie panie, kiedym zapłacił za to com wypił!

— Tak?... Przyjdź do mnie jak będziesz trzeźwy. – Bądź zdrów.

— Nie, ja nie pójdę stąd, dopóki mi Jaśnie pan nie przyrzeknie że ~~ta~~ moja żona dzisiaj wyjedzie ze dworu.

— Nie przyrzeknę, nie wyjedzie. Ani dziś ani jutro ani pojutrze.

— Chacha! - zaśmiał się Karol gorzkim śmiechem z ironią wściekłości — chachacha — ja wiem, ja wiem dlaczego. To nie darmo we wsi wszyscy mówią że ona wielkich łaskach u Jaśnie pana — ha, nie dziwno że woli pana jak szewca!..

— Co ty pleciesz! co tobie się śni człowiecze!

— Nie śni mi się nie — toć i ona sama mi mówiła - ot, tu, w tym pokoju na tem miejscu że pan dziedzic nie daje jej pokoju i codzień ją napastuje...

— Co? ja?... Ona ci to mówiła? - zawołał p. Seweryn w najwyższem zdziwieniu.

— Ona! ona! tylko ja wtedy nie zrozumiał co to znaczy. Ja myślał że Jaśnie pan codzień ją przekładuje aby się do mnie wróciła... Ale mi na wsi powiedzieli ludzie... i już teraz wiem na co ją Jaśnie pan tu trzyma we dworze... Już wiem na co ta cała opieka Jaśnie pana... i już tu więcej nie przyjdę... i dziękuję... Niech pan Bóg Jaśnie panu zapłaci!..

Skłonił się do nóg szydersko p. Sewerynowi i wyszedł.

Podumał p. Seweryn jakiś czas nieruchomo stojąc na miejscu. Pokiwał głową smutno i rzekł:

— Biedny człowiek!...

Nazajutrz, mimo gorących próśb Marylki której niezwykł był odmawiać, ~~[illegible]~~ Helena została odprawiona i z płaczem wynosiła się ze dworu. Dostała hojny zasiłek na drogę i jaknajlepsze świadectwo służby wraz z rekomendacyą do jednego z dalszych ~~sąsiednich~~ dworów gdzie właśnie potrzebowano klucznicy.

~~Pokłoniła się ze wsi wstąpiła na plebanię.~~ Przechodząc przez wieś okrążyła zdala onegdajszą ~~swą~~ chatę. Na każdej drożynie rozstajnej która ją mogła zaprowadzić do ukochanego domostwa serce ściskało się z bólu. - Wstąpiła na plebanię. Dobrosz ostatnich jej ~~udzielił~~ napomnień i wyraził życzenie aby kilka razy do roku przychodziła do niego do spowiedzi. Posłał po jej dzieci które niebawem nadbiegły aby pożegnać matkę — może raz ostatni.

— A gdzie wasz Ojciec? - zapytała.

— Tato poszedł do karczmy....

81, Przeraziły ją te wyrazy. Karol dawniej nigdy w karczmie nie bywał. Łzawemi oczyma powlokła po główkach swych sierotek, – spojrzała na twarze i włosy ich same i rączki ich i ubiór – i wyczytała wszystko co w domu się dzieje. Twarze u młodszych dzieci niemyte, rączki brudne, główki niezaczesane, zbrukana bielizna, sukienki w nieładzie: tu brak guziczka, tu rozdarcie, tu plama. Ona te koszulki, te bluzki, te spodniczki i kaftaniki sama własnemi szyła rękoma – każdy ścieg na nich niedawno był jej znajomy, przypominał jej jakąś myśl, jakieś słówko, jakąś chwilkę szczęścia... szczęścia co na wieki minęło niepowrotnie! Tak niewiele upłynęło dni smutku i pokuty od owych dni pokoju i szczęścia – a jakaż to zmiana w tych dzieciach! Jak one zmizerniały, zdziczały czegoś! A jak wszystko w ich obejściu i ubiorze okazuje brak opieki i dozoru, jakie zaniedbanie!... Jak panięta wyglądały gdy ona czuwała nad niemi – a dziś? mój Boże – w strzępy już stargana ta sukienka na Karolku którą ona w wilię swego wygnania szyć ukończyła. A to tak niedawno. Co to dalej będzie? co później? za parę miesięcy, za rok, za lat... ah, to okropne!

A najokropniejsze ze wszystkiego te wyrazy które z ust dziatek usłyszała: „Tato poszedł do karczmy!" Ona zrozumiała jasno całe ich znaczenie – i zadrżała jakby cięższym w tej chwili ugodzona ciosem od wszystkich poprzednich. Straszne jej serce szeptało przeczucie o przyszłości. Ale to może płonna obawa? Ona chciała mieć pewność...

– Czy tato często teraz chodzi do karczmy? – zapytała najstarszego, Józka.

Zaczerwienił Józek na twarzy, chciał coś odpowiedzieć i zająknął się w pół słowa. Ale Karolek z całą naiwnością dziecka zawołał:

– O, tato teraz ciągle siedzi w karczmie. A jak wróci to się chowamy żeby nas nie bił.

– Nieprawda! – przerwała mu Julcia stając w obronie ojca. – Tato dobry. Tato jak się upije to nie jest zły tylko smutny, tylko płacze i całuje nas i o mamie rozmawia.

– I całuje i bije – objaśnił Karolek.

Rozpłakała się w głos biedna kobieta i długo nie mogła się w żalu utulić. Błogosławiła jedno dziecko po drugiem i żegnała się z niemi po kolei, aby skończywszy na

82. najmłodszem znowu od najstarszego zaczynać. I długo to trwało – bardzo długo...

I kazała im słuchać proboszcza a ojca prosić aby niechodził do karczmy a do spowiedzi poszedł!...

A proboszczowi padła do nóg i prosiła o opiekę nad sierotami ... i nad nieszczęśliwym ich ojcem.

Pocieszał ją proboszcz że znalazłszy dobrą służbę może będzie mogła choć ~~[illegible]~~ jedno dziecko wziąć do siebie. A ona pomyślała, któreby wtedy wzięła – i niewiedziała które.

I zadumała się nad tem – i zadawała sobie to pytanie: które? – i nieumiała na to znaleść odpowiedzi. I serce jej tylko (rozbolało bardziej) od tej sfinksowej zagadki.

Przypomniał jej proboszcz że czas iść już wdrogę. Pożegnała dzieci raz jeszcze i kazała im wracać do chaty, – zarzuciła zawiniątko na plecy – i poszła. ~~[illegible]~~

Stanęła wkrótce ~~na~~ drodze – oglądnęła się raz jeszcze za niemi, ~~[illegible]~~ za dziećmi.... Już ich nie widać. Jeszcze z za płotu mignęła czerwona chustka Antosi... jeszcze słychać głos Karolka.... I już nic. —

. . . .

Tegoż samego dnia jeszcze dowiedział się Karol ~~[illegible]~~ od któregoś ze sług dworskich że ~~[illegible]~~ żona jego oddaloną została ze służby i nowy w jakimś dworze wokolicy otrzymać miała obowiązek. Gdzie? tego mu powiedzieć nieumiano. Helena bowiem obawiając się natarczywości męża, niechciała nikomu ze służby się zwierzyć dokąd się udaje. Nadaremnie wypytywał o to Karol. Domyślał się on że o miejscu jej pobytu wie zapewne p. Seweryna, do niego jednak zbliżyć się nieśmiał, obawiając się słusznego gniewu za tak niegodne podejrzenie którem obraził swego dobrodzieja. Wyrzucał sobie swoją niewdzięczność, żal mu było jego postępku, chciałby go był z całej duszy naprawić, ale wstyd jakiś i nieokreślona obawa wobec ~~[illegible]~~ ciężkich wyrzutów i surowych napomnień p. Seweryna które przewidywał, których słuszność uznawał, wstrzymywały go od uściśnienia kolan dobroczyńcy i przebłagania za ~~[illegible]~~ wyrządzoną obrazę.

83.

Odkładał z dnia na dzień – a tymczasem… pił.–

Czasem szedł już do dworu z silnem postanowieniem ~~przeproszenia~~ rzucenia się do nóg dziedzicowi – i od bramy się cofnął. Czuł on że mu p. Seweryna doznaną obrazę przebaczy – nie gniewu tyle się obawiał ile wyrzutów z powodu oddania się pijaństwu. On, on, który pod tym względem był wzorem dla całej wsi – on pijakiem! ~~Hej~~ wstyd! wstyd!… Czuł się w chwilach rozpacznej skruchy gorszym od złodzieja, od zbója: matki w domu niema, dzieci bez opieki – a on w karczmie przesiaduje! Jakiś to ze mnie łotr! powtarzał bijąc pięścią w czoło. Lepszych odemnie wieszają! hej wódki żydzie! wódki!… Niech [illegible] robaka zaleje!…

Pijaku! – wołały raz za nim baby wiejskie widząc powracającego zygzakiem do domu – Nie prawda! nie prawda! ja nie pijak!… niech dziś do mnie żona powróci to jeszcze wrócę do pracy i nie zajrzę do karczmy, ani pokosztuję tej trucizny… ale cóż ja winien że mnie serce boli. Wódka, wódka to jedyne lekarstwo dla mnie!…

– Gdyby choć była jeszcze we dworze! gdybym ją choć co niedziela mógł widzieć w kościele… ale nie, jam się sam domagał aby ją wypędzili ze dworu – ja sam! ja sam! Szukaj jej teraz po świecie szerokim… ani dzieci jej już nie zobaczą – ani ja!.. Hej do karczmy! może tam jaki wędrowiec przechodzący co o niej będzie wiedział…

Póki ona była we dworze – bał się wszystkich dzieci aby jej które nie powiedziało w jakim stanie ojciec wrócił do domu. Teraz obawa ta ustała. Nie było dnia w którymby się powstrzymał od wódki. Z dniem każdym wzrastał jego nałóg i wkorzeniał się bardziej.

Tak minęło kilka tygodni.–

Tajemnica obecnego pobytu żony niemogła się przed Karolem długo utrzymać. W samej rzeczy dowiedział się jej w karczmie. Zostala ona zdradzoną arendarzowi, czy to przez kogoś z przejeżdżających czy przez którego z dworskich parobków, a arendarz wiedząc ile na tej wiadomości zależy Karolowi który wszystkich przejezdnych o nią dopytywał, targ w targ sprzedał mu ją za jednoroczną jałówkę, umarzając przytem niewielki dług który Karol był w karczmie zaciągnął.–

Tegoż dnia jeszcze wybrał się Karol w drogę.

— — — — — — —

Panią domu w którym Helena znalazła przytułek i służbę za rekomendacyą Marylki, była Hrabina Augusta S., kobieta w podeszłym już wieku, wysokiego wzrostu i muskularnej budowy ciała, sztywna w postawie i ruchach, pogodnego lecz surowego przytem wyrazu twarzy, — postać przypominająca prababki nasze i matrony staropolskie, jak one w czarnej, na wpół zakonnej szacie malowane na współczesnych im obrazach. Wielkiej świętobliwości w życiu, wielkiej obyczajów surowości, pewnej szlachetnej duszy wobec siebie, gotowa zawsze do szczodrego dla proszących datku, do wszelkich zresztą miłosiernych uczynków, — a jednak chłód jakiś, jakieś zimno wiało z całej jej istoty, jakaś — że tak powiemy — niekobieca, bezlitośna trzeźwość umysłu i serca. Całe ciepło duszy zestrzelało się tam wyłącznie i jedynie może w uczuciu kontemplacyjnej, poniekąd nawet granic ascetyzmu sięgającej religijności. To zatem był chłód surowy i chłodne, bezlitosne pełnienie miłosiernych uczynków i ofiarnych praktyk religijnych.

Dwie młodych dziewcząt — podlotków wychowywało się przy niej — dwie wnuczki i trzecia, może dwudziestoletnia siostrzenica, zastępująca im miejsce nauczycielki.

Pani kresowego niegdyś majątku, który skutkiem długoletniego w gospodarstwie nieładu i zupełnej nieznajomości interesów właścicielki, zeszczuplał był do nader skromnych rozmiarów, mimo ograniczenia swoich wydatków do najniezbędniejszych potrzeb, nie umiała ona jednak zarządzić ani rolnem ani nawet domowem ściśle kobiecem gospodarstwem a jak w pierwszem dyktatorem był ekonom, tak w drugiem klucznica.

Niedowierzająca wobec ludzi, podejrzliwa czy to z wrodzonego usposobienia czy skutkiem nabytego w życiu doświadczenia, niemniej w wyborze oficyalistów i sług nader była niefortunną. Bardziej zważała na moralność ich zachowania się i na skrupulatność w pełnieniu religijnych praktyk niż na uzdolnienie i sumienność w wykonywaniu przyjętych obowiązków służbowych. Kontrolowała ich ściśle jak często chodzą do spowiedzi, czy regularnie bywają na mszy i na nieszporach, jak się modlą w kościele i poza

Kościołem, czy przed spożyciem darów bożych żegnając się krzyżem świętym i t. p. a po zatem nie zważała na nic. Cała w nabożnych pokładała ufność, niereligijantów oddalała bezwzględnie. Nieufna a łatwowierna. Dość było być jej nieznajomym aby zasłużyć na krzywdzące podejrzenia, dość raz opuścić nabożeństwo niedzielne aby te podejrzenia zmieniły się w zupełnie pewności; a na odwrót dość było udawać nabożnisia aby jej łaskę i ufność pozyskać. Hipokryzja i faryzeuszostwo szczególniejsze panowało też wszechwładnie ~~w~~ jej dworze, a pod wpływem komedji zacierała się serdeczna prawda.

Ekonom w porozumieniu z klucznicą kradł w najlepsze ale gorliwie odmawiał koronkę do Matki Najświętszej a jadąc w pole na deresu, przed każdą figurą zsiadał z konia, żegnał się ~~[illegible]~~ nabożnie, ~~[illegible]~~ odmawiał zdrowaśki i całował ziemię.

Umarła stara klucznica a na jej miejsce przyjęła hrabina gorąco zaleconą przez Marylkę Helenę. Przyjęła ją zrazu na próbę, ale próba ta w pierwszym już tygodniu wypadła najświetniej. Helena w ciężkiem utrapieniu swem łaknąca pociechy religijnej, w tym pierwszym tygodniu była dwa razy u spowiedzi — ~~[illegible]~~ a gorąca i nieudana jej religijność i skromne a pełne taktu postępowanie wobec oddanej jej dworowi czeladzi, zjednało jej od razu łaskę hrabiny. Ekonomowi ani przez myśl nie przeszło aby ta świętobliwość klucznicy mogła być czem innem jak udaniem. „To sprytna baba! to szczwany lis! — pomyślał, — Jezu miły, z tą to będzie dobrze kraść!" i w drugim już tygodniu postanowił nieobwijając w bawełnę wprost przystąpić do rzeczy i zaproponować Helenie przymierze zaczepno-odporne.

— Niedługo pannę znam, rzekł do niej, a widzę że panna ma wielki rozum. Jezu miły! jakeś to panna zaraz zwęszyła pismo nosem że tu u hrabiny kościoł to grunt. No, niema co mówić Jezu miły, będzie pannie jak w raju i będzie nam obojgu dobrze jeśli będziemy razem z sobą trzymać. Państwu swoje a nam swoje ma się wiedzieć, Jezu miły, bo z tej lichej pensyji toby człek nie wyżył...

Helena patrzyła na niego wielkiemi oczyma, niedowierzając sobie samej czy dobrze zrozumiała te preliminarja. Odrzekła więc tylko że chce sumiennie pełnić swoje obowiązki.

— Sumiennie! Jezu miły, sumiennie swoją drogą a praktycznie swoją — bo człek dla państwa służy ale dla siebie żyje — a człek przecie żyć musi. Jezu miły, gdyby nie to że człowiek żyć musi... ale tak... ba! bez tego nic...

I gest wymowny zastąpił najszczegółowsze komentarze ~~[illegible]~~ tego „tego."

Helena ~~przestraszonym w~~ spojrzała na niego z nieudanym przestrachem.

— Pan chyba żartuje panie Dryłkiewicz!

— Ou wa! żartuje! Tu nie ma żartu Jezu miły gdzie idzie o własną kieszeń. Człek ma i dla siebie samego obowiązki — tak stoi w katechizmie ... a katechizm to grunt. Co? czy nie?... Ho, ho, my się z panną rozumiemy dobrze. Niech no panna nie ~~[illegible]~~ gra komedyi i nie kpi sobie ze starego Dryltkiewicza co ma przecie rozum i zęby na tem zjadł!... Otóż tak, Jezu miły nietraćmy czasu na gadaniu a ja pannie powiem jak się tutaj zawsze robiło za nieboszki i jak będziemy robić .... Pani hrabina...

[I] zniżając ton głosu stary ekonom przysłonił szeroką dłonią siwe wąsy jak parawanem aby wyszeptane słowo tajemnicy nie zmyliło drogi i trafiło wprost do ucha ~~[illegible]~~ klucznicy.

— Pani hrabina ... nie rozumie się na tem nic a nic ... ani w ząb ... i ani jej się przyśni wiele na cielaki potrzeba .. Jezu miły!.. gdyby mi kto powiedział tobym sam niewierzył że to ~~[illegible]~~ tak gdzie może być jak tu ... a dalibóg tak już idzie z dziesięć lat ... ot popatrz panna na te rachunki ... wyciąga dwa razy tyle ...

I wyjąwszy z zanadrza książkę rachunkową podał ją Helenie. Chciał mówić coś dalej ale dalszy ~~[illegible]~~ ciąg tych wywodów przerwało wejście kredencerza który szanownego agronoma zawezwał do hrabiny.

— No, odrzekł odchodząc, jak wołają to trzeba zaraz iść, — to tutaj także grunt, pamiętaj panna! A tymczasem przejrzyj sobie panna te rachunki a potem pomówimy jaki będzie między nami interes ... Jezu miły! jak ja się cieszę że panna tu się dostała!

I odpiąłszy ze zgrozy Heleną podarował wraz z ekonomską galanteryą, ~~[illegible]~~ ukłonił się i wyszedł. —

Tegoż jeszcze dnia wieczorem znalazły się te rachunki w ręku hrabiny wraz ze stosownemi wyjaśnieniami. Nazajutrz p. Dryltkiewicz otrzymał formalną dymissyę. Nie pomogły prośby i zaklęcia i cała komedya skruchy i żalu, bicie się w piersi ~~[illegible]~~ potężną pięścią, łamanie rąk i przyrzekanie poprawy. Nic nie pomogło.

Nie pomogły również dziewce Baśce w kilka dni później podobne heroiczne środki. Helena dostrzegła ~~[illegible]~~ nieprzyzwoitych jej żartów z parobkami i wedle rozkazu hrabiny, bezzwłocznie zdała jej o tem raport. Baśka straciła służbę.

W tydzień nieszpetna po Baśce podzieliła los jej Maryna, druga dziewka z pracharni za niemoralny ~~[illegible]~~ związek z pisarzem ~~[illegible]~~ prowentowym, o ~~który~~ co przez trzecią dziewkę przed klucznicą obwinioną została. Maryna została odprawioną a pisarz zaledwie na prośby swej żony otrzymał ~~[illegible]~~ amnestię.

Z dniem objęcia rządów przez Helenę, każdy dzień

87. nastał we dworze hrabiny. Helena stała się ulubienicą swej pani....

....Wiosna była. Prześliczny Maj, pełen zieloności i kwiatów i woni i śpiewu ptaszat. Rozłożyste na dziedzińcu przed dworem kasztany wystrzeliły licznemi bukietami ku niebu. Pod niemi w cieniu na ławeczce siedziała hrabina z książką na kolanach a przy niej trzy jej wychowanki. Helena stała przed hrabiną słuchając poleceń.

Wtem ukazała się w bramie postać obcego mężczyzny. Chwilkę zatrzymał się w miejscu jakby się rozglądał za kimś. Lecz zaledwie dostrzegł w cieniu kasztanów grupę tych kobiet rzucił się ku nim jak szalony – z rozłożonemi rękoma, z okrzykiem radości... Był to Karol.

– Halciu! Halciu! – i objął ją wpół i przyciągnął ku sobie. Twarz mu promieniała radością a łzy miał w oczach.

Ona chciała usunąć się od tych uścisków – chciała uciekać. Nogi ugięły się pod nią – niemogła. Zdrętwiała.

Z zadziwieniem spojrzała hrabina na tę scenę – Helena blada i drżąca stała jak winowajczyni: niezdolna słowa wymówić, niezdolna wyrwać się z objęcia tego człowieka.

– Co to jest Heleno? kto jest ten człowiek?

– Ja pani... jam jej mąż...

– Mąż? – zapytała hrabina surowo. – Czyś ty zamężna Heleno?..

Niebyło na pytanie odpowiedzi.

– Czemużeś kłamała przedemną? – jeszcze ostrzejszym tonem pytała hrabina.

Milczenie. Stali oboje oniemiali, jakby niesłyszeli pytań, niewidzieli świata. On pożerał ją wzrokiem i błąkał się oczyma po świeżych zmarszczkach jej twarzy – wyrytych przebytem cierpieniem, zmarszczkach – których on jeszcze nieznał, – i czytał z nich dzieje jej boleści. Ona nieśmiała czy niechciała spojrzeć na niego. Blada była, drżała na całem ciele jak listek osiki, oczy miała spuszczone ku ziemi.

– Heleno, zapytała raz jeszcze groźniej hrabina, – pytam ci się, czy to twój mąż?

Ocknęła się nagle jak ze snu, drgnęła jakby z innego dusza jej wróciła świata. Wyrwała się z ramion Karola i żywym spłonęła rumieńcem.

– Ja niemam męża pani hrabino... jam nie kłamała!

– Co? – wrzasnął jak wściekły i zaciśniętą pięść podniósł nad jej głową – co? ty niemasz męża! czy

może i dzieci już niema?... Ona odemnie uciekła pani hrabino, uciekła odemnie i dzieci opuściła!... ona musi ze mną iść. Niech mi ją pani hrabina odda!

— Jeśli to wasza żona — to niech idzie, ja jej wstrzymywać nie myślę.

— Ja nie jestem jego żoną! — zawołała Helena i rzuciła się wbok przerażona groźną postawą męża, jego wzrokiem, jego krzykiem i pięścią. Nigdy go niewidziała takim.

Poskoczył za nią, pochwycił oburącz i wstrzymał silnie / Tak jakby ją nieświadomą słów własnych chciał uprzytomnić.

— Tyś nie moja żona!? — zaryczał rozpacznym jękiem; dzikim głosem. Spotkało się jej spojrzenie z jego błędnemi oczyma. Straszny był...

— Nie! — odjękła z głębi piersi.

I wtejże chwili gradem uderzeń spadły na nią jego pięści....... Krzyknęła z rozdzierającym krzykiem — i upadła.......

Rzućmy zasłonę na ten obraz bolesny...

Wystarczy dla wiadomości czytelnika że nazajutrz prowadzono od wsi do wsi gościńcem przymusową odstawką człowieka z zapadłemi oczyma, o błędnym wzroku, który chwiejąc się na nogach co chwilę przysiadał na drodze niemogąc się iść dalej, i twarz ukrywał w dłoniach i gorzkim wybuchał płaczem. A przed każdą karczmą przystawał prosząc żałośnie aby mu wolno było wstąpić na kieliszek wódki. Częstował nią swego strażnika i po chwili szli dalej a strażnik pijany aż do najbliższej stacji pijanego prowadził więźnia.

Świętobliwa hrabina dowiedziawszy się od Heleny o prawdziwym jej stosunku do owego napastnika, niemogła na swoim dworze pozostawić dłużej kobietę która przewrotnością swoją tak gorszący dawała przykład i tak gorszącej wobec jej wychowanek stała się przyczyną sceny.

W dwa dni później, tąż samą drogą którą poprowadzono Karola poszła nieszczęśliwa kobieta z węzełkiem na plecach innej szukać służby.

— — — — — — —

Karola powracającego do domu po kilkudniowej nieobecności szczególniejsza czekała niespodzianka. Przechodząc przez próg swej chaty zdziwił się niemało spostrzegłszy tam pannę Marylę i doktora. Obracając się ku niemu ze zwykłą dobrocią wyjaśniła mu tę

89. zagadnę Marylka.

— Niech się Karol nie obawia — dzieci były chore, ale już im lepiej, niema niebezpieczeństwa.

W samej rzeczy panująca wówczas we wsi między drobną dziatwą szkarlatyna nawiedziła była Karolową chatę. ~~Wiarą~~ Jedna z poczciwych sąsiadek szewca doniósła o tem do dworu — a opieka i pomoc lekarska nie zawiodły. Dzieciom było już lepiej.

Mógłby kto sądzić że ~~po~~ doznanych gwałtownych wzruszeniach, zdziczały od namiętności i nie całkiem trzeźwy Karol obojętnie przyjął tę wiadomość, że już żadnego na skrzywdzony umysł wrażenia wywrzeć nie była zdolna. Stało się przeciwnie. Widok niebezpiecznie chorej dziatwy, ich purpurowych od ~~sz~~ zjadliwej wysypki twarzy, wstrząsnął nim do głębi; — stępiałe pod wpływem nietrzeźwienia i rozpaczy ojcowskie do dzieci przywiązanie w tej jednej chwili dawnem serca odezwało się biciem. Rzecby niekiedy można iż przyszedł, pewnością tego nowego niebezpieczeństwa otrzeźwiał...

Pochwycił gorączkowo ręce Marylki i całował i doktora ręce chciał całować — i patrzał na dzieci i milczał. Strasznie mu się zrobiło na myśl żeby ich mógłbył już nie zastać przy życiu.

Przez czas ich choroby nie odstępował od ich pościeli — nie pił.

A gdy z kim mówił o nich, nienazywał ich nigdy inaczej, tylko: „moje sierotki".

Niedługo jednak trwała ta poprawa. Gdy dzieci wydobrzały na zdrowiu, ~~wracało~~ wracały chwile zniechęcenia do pracy i pragnienie łatwiejszej wody zapomnienia z Moszkowej beczułki wnętrza straconej skorupy. Po dniach kilku spędzonych na pijatyce wracał wprawdzie Karol znowu do warsztatu i przez czas skruchy postanawiał sobie wówczas że nigdy już do karczmy nie zajrzy, ale wkrótce przyszła chwila słabości ducha czy rozpaczy i podnosiły się z każdym razem coraz wyżej tem głębiej.

Żal mu był serdecznie gwałtownego z żoną postępku, pragnął się przebłagać i w tym celu chciał się powtórnie udać do ~~dworu~~ krabiny w którym z nią się tak uregodnie obszedł, lecz ~~dowiedział się~~ doszła go wiadomość że osobę ową ~~już~~ opuściła po owiadomej z nim scenie, a mimo usilnych starań dowiedzieć się niemógł dokąd się udała. —

90

Czuł on również obowiązek podziękowania panu Sewerynowi za opiekę ~~...~~ i pomoc udzieloną jego dzieciom w czasie ich choroby, ~~ale trudno mu było zebrać się na odwagę pójść do dworu.~~ i przeproszenia go za wyrządzoną obrazę, ale trudno mu było zebrać się na odwagę i pójść do dworu. – O ~~...~~ obietnicy pana Seweryna wystarania się o rozwód z jego pierwszą żoną ~~...~~ nie myślał on wcale. Stracił już był wszelką w tej mierze nadzieję. Przeciw księżom to i pan sobie rady nie – to było jego zdanie.

Pewnego dnia – a było to już przy końcu ~~lata~~ – spotkał go pan Seweryn wracając z pola z którego zwożono do stodół resztę owsa. – Ukłonił mu się Karol spuszczając oczy ku ziemi i byłby przeszedł mimo gdyby go pan Seweryn nie był zatrzymał.

– Dobrą mam wiadomość dla ciebie Karolu! – rzekł mu z dobrotliwym uśmiechem.

Karol spojrzał obojętnie jakby nic dobrego spotkać go już nie mogło na świecie.

– Miałem list od adwokata w twojej sprawie.

Karol odpowiedział milczeniem. Wyraz jego twarzy nie zmienił się wcale.

– Czy siostra twojej pierwszej żony nazywała się Malwina?

– Malwina.

– Malwina Kanicka?

– Tak.

– Poszła za mąż za stolarza Jakuba Sutrzebę?

– Tak słyszałem, ~~...~~ i może być że poszła za niego, bo wiem że się dawniej zalecał. Ale to ~~już~~ chyba dopiero ~~...~~ wtedy kiedy mnie już nie było na Szlarku.

– Otóż ten Sutrzeba utrzymuje że otrzymał od swojej nieboszczki żony że miała pewną wiadomość o ~~...~~ ~~...~~ śmierci swojej siostry Ludwiki...

– Ludwika umarła? – zapytał dość obojętnie Karol, snadź nie rozumiejąc doniosłości tego wypadku dla ~~...~~ siebie.

– Zdaje się nawet pewną że umarła już dawniej, trudno jednakże wystarać się o urzędowe potwierdzenie tej wiadomości...

– A na cóż to, proszę Jaśnie Pana! Niech z Bogiem odpoczywa jeśli umarła, niech jej tam Bóg przebaczy.

– Jakto? – zapytał p. Seweryn. – Czyż nie rozumiesz że jeśli umarła, to w takim razie nic już twemu połączeniu z Helusią nie stoi na przeszkodzie, i proboszcz będzie wam musiał ślub dać? –

~~...~~

Rozjaśniło się wejrzenie Karola.

– O panie mój! – i upadł do nóg panu Sewerynowi całując kolana jego i poły jego sukni.

– No, wstań Karolu, wstań! wstydź się tak klęczyć przed człowiekiem takim jak ty.

Ale Karol objął jego stopy i ~~...~~ pochylony głową aż ku ziemi, całował jego nogi i szlochał. Nadaremnie usiłował wyrwać mu się p. Seweryn.

– Wstydź się Karolu – wstydź się! – mówił rozrzewnionym głosem p. Seweryn, starając się go uspokoić i przyprowadzić do opamiętania.

— O mój dobrodzieju! ja się tego niewstydzę… jabym rzedł do ~~stóp~~ niej na klęczkach jak do cudownego obrazu! Jażeś tylko wstydzę żem ~~się~~ Jaśnie Pana obraził i nie przeprosił i żem taki niewdzięczny ~~[illegible]~~.

— No, no, mój Karolu — niemówmy już o tem. Ja wiem że kto nieszczęśliwy to często sam niewie co robi i co mówi…

— O tak! jak sam niewiem co ja robię… bo ja bardzo nieszczęśliwy! — podchwycił Karol podnosząc się z ziemi.

— Ja to pojmuję i nie dziwię się temu, ~~[illegible]~~ — dodał p. Seweryn łagodnie, — ale to najgorsze że jak mówiono… Ty się napijasz!…

~~K~~Karol spuścił oczy.

— No, to prawda, zdarzyło się parę razy… bo człek nieszczęśliwy chciałby czemś zalać robaka…

— Nie zalejesz go wódką, nie! On od niej tylko rośnie bardziej, i coraz gorzej dokucza.

— Oj prawda! święta prawda!

— Czujesz tę prawdę? głęboko czujesz? powiedz!

— Oj, czuję, czuję…

— Nie będziesz już pił?

— O już nigdy nie wstąpię do karczmy! — zaklął się Karol ze łzami w oczach.

— Pamiętaj o tem przyrzeczeniu, — od tego zależy twój los i twoich dzieci! — rzekł ~~[illegible]~~ uroczyście a serdecznym ojcowskim tonem p. Seweryn.

A po chwili zapytał:

— Gdzież teraz twoja żona?

Karol opowiedział mu że oddalona ze służby przez hrabinę Augustę, niewiadomo dokąd się udała, i że jej mimo ciągłego starania odszukać dotąd niemógł.

— No, no popytaj-no w okolicy po dworach a obiecaj żydkom ~~[illegible]~~ faktornego to ci ją znajdą. A tymczasem miej nadzieję że memu adwokatowi uda się wydostać urzędowe poświadczenie ~~z~~ śmierci twej pierwszej żony.

— — — — — — — — — —

Minęło lato, minęła i jesień na daremnych poszukiwaniach. Z dniem każdym wzrastała niecierpliwość Karola, zapalny umysł pod wpływem rozgorączkowania i namiętności podsuwała inne nasuwał mu przypuszczenia i domysły. Bujna wyobraźnia spleciona z jego prawdziwem zmartwieniem rozkołysała ~~i~~ w nim tęsknotę za żoną aż do pewnego rodzaju szaleństwa. Zrywał się czasem ~~ze snu, bo mu się zdawało że słyszy ją pukającą do drzwi i wołającą o pomoc, wybiegał wtedy na podwórze a nieznalazłszy nikogo wracał do chaty z załamanemi z rozpaczy rękoma, budził dzieci i kazał im się modlić za matkę, to [illegible]~~ od roboty nieposiadając się z radości, bo mu przyszło na myśl nazwisko jakiejś okolicznej wioski w której jeszcze nie dowiadywał się o Helenę. Zbierał się wtedy co prędzej i uściskawszy dzieci wybiegał z tą pewnością że im matkę

przyprowadzi. Nazajutrz a czasem dopiero w dni kilka powracał zwątpiały, zrozpaczony, a co najsmutniejsza, to zwykle pijany. I znowu powracały owe nieszczęsne wycieczki do karczmy a wskutek całodzienne tam przesiadywanie. Po kilku dniach zaś następowała apatia i zupełne nawet opuszczenie a czasem skrucha i żarliwy powrót do pracy. I znowu wbłędnem kole wkoło jednej i jedynej nadziei krążyły myśli po głowie dopóki nowem nie wybuchły szaleństwem.

Nadeszła zima. Pan Seweryn obłożnie chory spoczywał na łożu śmiertelnem a Karol wybrał się właśnie w daleką drogę celem odszukania żony.

Wróciwszy z bezowocnej tej wędrówki, nie zastał już swego dobrodzieja przy życiu. Spał on już od miesiąca w grobie snem wiecznym.

Panią we dworze była siostra nieboszczyka, panna Gertruda, lecz i o niej mówiono we wsi że pójdzie za swoim bratem. Zachorowała w krótki czas po śmierci brata, ciągle jeszcze była niebezpiecznie chorą, — a gromnicę już po trzykroć zapalano w jej pokoju.

Proboszcz po dniach całych przesiadywał we dworze.

— — — —

Rzadko u nas zdarza się na wsi aby po śmierci znaczniejszej jakiej osoby, n.p. dziedzica lub proboszcza nie widywano przez nas jakiś ducha nieboszczyka, błąkającego się po nocach. Lud nasz nie celuje żywością wyobraźni, współczesny na jawie i marzący, chociaż wrażliwego usposobienia; wrażenie każde gwałtownie wstrząsa jego umysłem i tonie gdzieś rychło w głębinach ducha jak kamień rzucony w zarosłe rzęsą leniwe fale jeziora. Tonie — ale tam na dnie spoczywa, przechowane wiernie. Pod wpływem każdego niezwykłego wypadku, na dźwięk nawet gromkiego głosu ocuci się nasz wieśniak jakby ze snu obudzony, ożywia się i zrywa do działania z nerwową jakąś energią, a za chwilę, zapomina o wszystkiem i w pozorną zapada martwotę — w bezprzytomność wobec tego co go otacza — w sen jakiś - ale nie w sen bez marzeń. Wrażenia doznane na jawie przyoblekają się w fantastyczne kształty w jego snach, splatają się z sobą w dziwaczną siatkę myśli i uczuć, a w tej sieci spętana dusza roi po przebudzeniu, niezdolna wyzwolić się z mar sennych w dzień jasny. Co wyśnił - wto wierzy: sen dla niego pół-prawdą, pół-snem rzeczywistości. Wszedł tak silny

zadrżeczynie się) i (nieraz) zwikła w jego umyśle senne przywidzenie z ~~doznaną~~ jawną prawdą że odtąd obie nierozdzielne dla niego utworzą jedność w pamięci. O snach zwykł opowiadać on komu z świętobliwą grozą i przejęciem większem nieraz niż gdyby to rzeczywiste były zdarzenia, — pamięta o nich lepiej niż o doli za jawie przebytej. Myśli o nich i marzy aż w końcu (do pewnego stopnia) zapomni co snem było a co prawdą. Żyje snami.

Czyż dziwna że lud ten w swej wyobraźni długo widuje (po śmierci) ~~[illegible]~~ tych nieboszczyków których postać utkwiła ~~mu~~ za życia w pamięci?

Czyż dziwna że i w wiosce pana Seweryna widywano jego ducha błąkającego się między chatami, to w koło dworu po ogrodzie, to wreszcie pod kapliczką na cmentarzu?

Nic w tem dziwnego. Nie dziwiono by się też temu wcale, opowiadano by o tem czas jakiś we wsi — i zapominano by w końcu, tak jak się zapomina o wszystkiem. Czem dłuższy upływałby czas od śmierci p. Seweryna, tem nadziej pojawiałby się i duch jego, aż w końcu przestałby zupełnie nawiedzać miejsca w których przebywał za życia. Tak się dzieje u nas, tak samo dzieje się i pośród dziczy afrykańskiej która ~~[illegible]~~ nie wierząc w nieśmiertelność duszy, wierzy jednak że duchy ~~ich~~ mieszkańców żyją jeszcze czas jakiś po śmierci: wnet się jednak ponoszą tym, który ~~ich~~ dzieli ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ wszędzie przed ich oczyma...

Inny jednak obrót wzięły rzeczy tym razem, ~~[illegible]~~ gość z tamtego świata zjawiał się coraz częściej. We dworze i na wsi, wkrótce nawet z sąsiedztwie o tem tylko mówiono. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Ludzie tak atletycznej postaci jakim był proboszcz, ks. Roman, nie są zwykle skłonni do miewania wizyj. Zachwyty fanatyzmu nawet i ascetyczne porywanie nie narażają przez czas długi tego zdrowia ciała i umysłu jakim ich obdarzyła matka przyroda. Pewien wrodzony, niekiedy z rubasznym realizmem graniczący pogląd na rzeczy tego świata niedowala wyobraźni wziąć góry ~~[illegible]~~ nad innemi zdolnościami umysłu. ~~Jakkolwiek~~ Odwrotnie niż u ludzi wszystkich — wyobraźnia u nich jest ostatnią duszy władzą która ulegnie chorobliwemu kierunkowi wskutek ich przyczyny prąd wieku, wpływ otoczenia lub inny jaki czynnik przepotężny. Oczyma ciała ~~[illegible]~~ patrzą na świat cielesny trzeźwo i jasno, — halucynacje w wewnętrznym tylko oczu świecie i przed duszy snują się oczyma.

Tak i ksiądz Roman aż do znanego nam wypadku ~~[illegible]~~ po śmierci ~~p.~~ Seweryna, nigdy

93

na stronie odwrotnej

./.

niedoświadczył owych ekstatycznych złudzeń wzroku lub słuchu, którym podlegają w dzisiejszym świecie o rozbujałych nerwach i rozgorączkowanej wyobraźni ludzie najtrzeźwiejszych nawet przekonań, choćby materjaliści niewierzący w pośmiertny żywot, zaprzeczający ~~[illegible]~~ odrębności duchowego istnienia.

Nieraz, od czasu gdy objął pieczę nad duszami swych parafian, zdarzyło się po śmierci którego z gospodarzy że duch nieboszczyka jawił się przechodzącym pod cmentarza, w noc księżycową wzdychał pod oknem ~~[illegible]~~ swej chaty, niewidzialną ręką ~~[illegible]~~ pukał we wrota albo nawet na boisku około północy młócił zboże jak za życia. Opowiadano o tem księdzu, lecz on mimo gorącej wiary z uśmiechem słuchał tych doniesień — z niedowierzaniem prawie je przyjmował, mszę odprawiał za pokutującą duszę, pokropił wodą święconą chatę w której zanadto rozhulały się strachy — i na tem koniec.

Od owej fatalnej nocy w której jemu samemu zjawił się duch p. Seweryna — zmieniło się wszystko. Wrażenie było zbyt silne i niezatarte wycisnęło piętno na ~~[illegible]~~ wszystkich jego myślach i uczuciach.

W nocy czasem we śnie zmora tłoczyła mu piersi, — z krzykiem się budził, przetwierał oczy i ~~[illegible]~~ oglądał się z trwogą po pokoju... Tam, tam — ~~[illegible]~~ za oknem zdawało ~~mu~~ się widzieć białą postać... „W Imię Ojca i Syna...” Nie — to przywidzenie. To księżyc świeci. A więc firankami pozasłaniał szyby. Teraz tak ciemno... tak duszno... Boże wielki! Tam — w najciemniejszym rogu izby... widnieje coś... Znikło... I znowu jaśnieje... jak słup biały, jak mgła... To może on!...

Wtedy żegnał się ksiądz Roman i zapalał świecę. Zrywał się z łóżka i przed Ukrzyżowanym padał na kolana. ~~[illegible]~~ Bił się w piersi i zalewał łzami, gorzko opłakując ciężką winę swoją, że tak mało uczynił dla nawrócenia grzesznika którego dusza prześladuje go teraz po śmierci! Rozpamiętywał i płakał. Długą, gorącą modlitwą koił boleść swą, dopóki ~~[illegible]~~ w boskim zdroju religijnego zachwytu ~~[illegible]~~ nienasyconej ~~[illegible]~~ nie doznał pociechy. Dziwna ~~[illegible]~~ odwaga wstępowała wtedy w zatrwożone serce, ta odwaga która nietylko ~~[illegible]~~ cielesnego nie boi się wroga i ziemskich tego świata niebezpieczeństw ale i zaświatowych na ten nadór gości, nadprzyrodzonych zjawisk i swych ~~[illegible]~~ upiornych postaci które wyobraźnia wytwarza a którym wierzący ~~[illegible]~~ umysł nadaje rzeczywistości znaczenie. Takiej odwagi, ~~[illegible]~~ która wierząc i widząc rzecz straszną — bo nadprzyrodzoną, ~~[illegible]~~ — nie trwoży się, nie lęka, — takiego męstwa tylko zdolny tak głęboko religijny umysł jakim był ks. Roman, ale zdolny tylko w chwilach tego najwyższego nastroju ducha jaki dać może modlitwa.

Wśród potwornych postaci własnej wyobraźni a wierząc silnie w ich rzeczywistość, ksiądz Tomasz upojony natchnieniem modlitwy, w chwili takiej przechodził by bez drżenia jakby pomiędzy własnymi parafianami. Wszak wierzył święcie że niewidzialnych duchów tysiące go może nieraz otacza a Stróż-anioł nie opuszcza go nigdy i wszechobecny z nim wszędzie, czemużby miał się lękać gdy mieszkańca zagrobowych krain w widomej ujrzy postaci? Bóg z nim!

Ale chwile nadludzkiej takiej odwagi są nadto rzadkie, nie zdoła człowiek utrzymać się zawsze na tej wysokości nastroju. Tymczasem wtedy szuka pociech. Od przywidzeń które go prześladują dniem i nocą stara się myśl oderwać, czem innem zaprzątnąć ducha. Wierząc w rzeczywistość zjawiska nie przestaje przeto wierzyć i w możliwość przywidzeń. Od nich chce się uchronić.

Udaje mu się to w części, dopóki tych przywidzeń on sam jeden jest ofiarą. Ale gdy i inni podlegać im zaczną, gdy zewsząd dochodzą go słuchy potwierdzające prawdę tego zewnętrzną co podmiotową tylko dla niego było prawdą, wtedy nacisk jest za silny i ustaje możność oporu. Tak się stało i z księdzem Tomaszem.

Przerażenie zbyt widocznie wystąpiło na jego twarzy gdy mu raz pierwszy doniosła jedna z kobiet wiejskich o błąkaniu się po drodze ducha śp. Seweryna. Nie uszło to uwagi obecnych i silne na nich wywarło wrażenie. Odtąd co raz częściej jawił się parafianom nieboszczyk dziedzic. Mało kto go nie widział choć zdaleka, mało do którego nie zapukał chaty; w noc ciemną słyszano dźwięk czasem łomot u płota, to znowu skrzypienie śniegu pod jego krokami; wśród zadymki głos jego leciał z wiatrem gdzieś zdaleka to od dworu to od cmentarza – ledwie dosłyszalny, wyraźnie odróżnić niepodobna, ale to jego był głos, narzekanie jakieś a czasem płacz żałośny jakby dziecko kwiliło – ale to był głos nieboszczyka...

Czego on może chcieć? Zadawano sobie w chatach to pytanie a zadawał je sobie i ksiądz Tomasz. Wiedział on dobrze że dla grzeszników takiego życia i takiej śmierci jak pan Seweryn niema ratunku z czeluści piekielnych. Czuł się winnym wobec niego jako pasterz wobec owieczki której od zguby nie zdołał uchronić i rozpamiętywał wszystkie z nim przebyte chwile. Zagłębiony w modlitwie rozmyślał co może jeszcze uczynić dla zmarania swej winy. I modlił się o natchnienie boże. I raz wśród gorącej modlitwy w noc późną przyszła mu na myśl córka nieboszczyka. Dziewczę w której zaszczepił ojciec jad niedowiarstwa, wyrwawszy żywą wiary krynicę.... coś mu szepnęło: ją ratuj!

I w tej samej chwili zdało mu się jakby ktoś dotknął zlekka jego ramienia — i nie śmiał ks. Tomasz oglądnąć się za siebie. Oblicze pochylił ku ziemi i ukorzył się przed Panem.

Gwałtowne stukanie do ~~bramy~~ drzwi plebanji przerwało jego modlitwę.

Był to posłaniec ze dworu który go wzywał do umierającej panny Gertrudy.

Wówczas to słuchając ostatniego jej z Bogiem ~~[illegible]~~ ~~aby wymogła na Marylce przyrzeczenie~~ obrachunku opowiedział jej o zjawieniu mu się ducha jej brata i nakłonił ją aby wymogła na Marylce w uroczystej chwili pożegnania, przyrzeczenie, że podda się jego kierunkowi ~~[illegible]~~ i przez cały rok będzie się sama badać czy Pan nie powołał ją na oblubienicę swoją...

Wymógłszy to przyrzeczenie na Marylce, zamknęła panna Gertruda oczy i usnęła... ale nie snem wiecznym. — — — —

Minęło kilka tygodni — a pannę Gertrudę zastajemy w salonie siedzącą w porcelanowym krześle w towarzystwie ~~[illegible]~~ Marylki. Blada i zmizerniała ale żywo zajęta rozmową i dziełem nawrócenia siostrzenicy.

Od czasu gdy wyszła z niebezpieczeństwa wszelkie jej myśli ~~tym~~ jedynym celem zdawały się być zajęte. Z rana odmawiała ~~[illegible]~~ różaniec, w czem Marylka ~~[illegible]~~ aby chorej nie sprzeciwiać się ciotce, przez dobroć serca brała udział (przezwyciężając wstręt wrodzony czy wszczepiony przez ojca do tego rodzaju nabożeństwa.) Ustami odmawiała dziewczę litanje, myśl ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ bujała daleko po świecie. Po odprawieniu tych modlitw, zaledwie wydała p. Gertruda dzienne służbie rozporządzenia, do czego od jej przybycia Marylce niewolno było się mięszać, już zasiadała w fotelu każąc sobie czytać Żywoty Świętych lub inną jaką nabożną książkę.

W przestankach starała się rozgrzać ~~Marylki~~ serce wiarą i miłością Boga szczepiąc w niem niewiarę w ludzi i nienawiść do świata.

Mówiła jej o powołaniu człowieka: powołaniem ~~tym~~, wysłużyć sobie żywot wieczny, dążyć ku niebu zrzekając się wszystkiego co ziemskie. Niema szczęścia tu na ziemi, — biada kobiecie która za szczęściem ugania, spodziewając się je osięgnąć na tym padole płaczu. — ~~Tylko~~ Szczęście ~~[illegible]~~ znaleźć tu można tylko w poświęceniu się Bogu zupełnem, tylko wśród cichych murów klasztornych, zdala od światowych szałów i namiętności, zdala od zdrady i fałszu i kłamanej przyjaźni i kłamanej miłości...

— Ciociu! — przerwała Marylka — czemużby wszyscy ludzie mieli być fałszywi i zdradzać i kłamać?

— O wszyscy moje dziecko... wszyscy...

97 — Więc niema prawdziwej miłości? prawdziwej przyjaźni? 130

— Niema... To złudzenie.

— Jest ciociu! jest! — odrzekło dziewczę z rumieńcem na twarzy. — Ja czuję że jest! Kiedyżm ja zdolna tych uczuć, czemużby i inni kochać nie umieli?... Ja, gdy kogo kocham... to kocham tak szczerze, serdecznie... i prawdę mówię, i niema zdrady we mnie... a przecież ja (i nie lepsza) nie inna jak drudzy ludzie?

— Tyś jeszcze niewinne dziecko... ty nie znasz świata...

I zamyśliły się obie. Jakie różne były ich myśli! — dwa światy tak niepodobne do siebie jak wiosna do jesieni, dwa nieba — błękit włoski i podbiegunowe zmroki.

Podniosła Marysia główkę pochyloną nad jakąś robótką, którą trzymała w rękach i przetworzyła usta jakby chciała coś przemówić. Zmroziły jej słowa w ustach zimne oblicze ciotki. Spuściła oczy a lekki rumieniec przemknął jej po twarzy. Myśl jakaś przebiegła falą lekkich zmarszczków po gładziutkiem czole. I jakby zbrojąc się w odwagę zwróciła się znowu ku ciotce i rzekła z przymileniem:

— Wie ciocia co mówił mój Ojciec...

— Nie wiem dziecko — odparła smutnie — i [illegible] wiedzieć... a radabym żebyś i ty zapomniała wszystko cokolwiek z ust jego słyszałaś...

Bolesne rozdrażnienie odzwierciedliło się na twarzy dziewczęcia. Zapanowała jednak nad sobą i rzekła spokojnie:

— Mówił, że ludzie którzy wiele nieszczęść przebyli i wiele przecierpieli, zdradzeni przez przyjaciół, złamani życiem — napojeni goryczą, przestają wkońcu wierzyć w szczęście i w miłość ludzką, i znienawidzą świat i ludzi, ale...

— O nie Marysiu, — przerwała ciotka — człowiek religijny ludzi nie znienawidzi bo pamięta o tem że Zbawiciel kazał kochać bliźniego jak siebie samego, ale zraniony cierpieniem przestanie wierzyć w szczęście na święcie. Tylko ten kto był zawiedziony boleśnie, pozna iż ludzie nie są godni zaufania, przestanie się ludzić i uganiać za błędnemi ognikami!... Cierpienia Bóg nam zsyła w swem nieograniczonem miłosierdziu, aby nas oderwać od marności i serca nasze ku sobie obrócić... Kto nie cierpiał ten nie zna świata... Cierpienie jest szkołą życia i otwiera nam oczy....

— Przebacz mi ciociu, to co powiem, ale Ojciec mówił że kto wiele przecierpiał i znękany życiem przestał wierzyć w szczęście na ziemi i w miłość ludzką — to sądzi że (zwątpiwszy o ludzkości i o szczęściu) pozbył się tylko marnych złudzeń, że poznał prawdę bez osłony, że mądrość zdobył, — ale on się właśnie bardziej od nas łudzi — bo on na sercu chory....

Nie przerywała ciotka dziewczęciu, — znać po jej twarzy że słowa te dziwne jakieś na niej wywarły wrażenie. Czy uczuła całą ich prawdę? A jakby przypominając sobie dodała żywo Marysia:

— Tak, tak mówił Ojczulek: „źle ten widzi kto na świat patrzy przez łzy." —

Ocknęła się panna Gertruda z doznanego wrażenia i odparła surowo:

— Mylisz się i w tem twój ojciec jak we wszystkiem. Mówi Ewangelia: Błogosławieni którzy są smutni, błogosławieni cierpiący... A twój Ojciec mówił że kto smutny to chory! chory!... Kto zełzawione oczy ku niebu podniesie — to chory! Kto oczy odwróci od świata i serce ku Bogu nawróci — to u ciebie chory! chory na umyśle!...

— Nie, nie tak moja ciociu, ale...

— Czy u ciebie miłość Boga nazywa się chorobą? O Boże! jakiemiż on zasadami psuł twoje niewinne serduszko!...

— Ależ ciociu — podrażniona do żywego tym zarzutem przerwała Marylka: na cóż zda się taka mniszka miłość Boga która każe myślą wszystko zatonąć i nie dozwala nam kochać ludzi?

— Będziesz kochać pana Boga twego nadewszystko, a bliźniego twego jak....

— Jak siebie samego — dokończyła Marylka. Ale jakże kochać bliźnich a nie żyć między niemi? Jeśli wiara bez uczynków martwa jak mówi Pismo święte, to miłość bliźniego tem bardziej! Ojciec mówił że jak w promieniu słonecznym światło i ciepło wspólne zespolone istotę tak światło umysłu i ciepło serca jedność tworzą słoneczną, a to słońce nazywa się Religią albo Mądrością albo Szczęściem — jak kto chce.... Oh, jak ja kochałam Ojczulka gdy tak mówił! jak ja go kocham!... A ciocia mówi że on mi serce psuł zgubnemi zasadami!

— Niestety! niestety! — westchnęła panna Gertruda z niewdanym żalem. I zakryła twarz rękoma. Drżały te wychudłe białe ręce, czy od wzruszenia czy z osłabienia sił po przebytej śmiertelnej chorobie. Po chwili skupienia umysłu, jakby nagle jakaś myśl jej błysnęła, zawołała żywo odrywając ręce od oczu i wpatrując się surowo w Marylę:

— I ty sądzisz że kochasz ojca? ty go nie kochasz wcale!

Ze zdziwieniem spojrzała na nią Marylka.

— Nie kochasz go! bo gdybyś go kochała, nie wahałabyś się ani chwili okupić jego żywot wieczny ofiarą twoich ziemskich pragnień i marzeń....

— Ciociu — rzekła z akcentem głębokiego przekonania Marylka — ja obowiązek dobrej córki wobec mego ojczulka inaczej pojmuję — tak jako to wyraziła piękna [illegible]

— To co napisała Żmichowska! Czy Żmichowska więcej u ciebie znaczy niż kościół!

— Ależ w tem co napisała Żmichowska niema nic przeciwnego kościołowi. Niech ciocia posłucha: Wczoraj właśnie wypisałam sobie ten ustęp z „Powieści przy kominkowym ogniu”:

— O moje dziecko! — twoje życie nie powinno być dalszym ciągiem życia twego brata, ale przeciwnie ekspiacją i naprawą tego co on podkopał, zniweczył, odwracaniem skutków jego błędów, aby ci którzy dziś znoszą zgorszenia, zbudowali się twoim przykładem.

Nic nie odpowiedziała biedna Marylka, dotknięta najboleśniej w osobie tego którego ~~najbardziej~~ tak ukochała całą siłą dziecięcego przywiązania. Przebrała się miara jej cierpliwości, chciała żal, gorycz serca w jednym wyrzucić słowie, — spojrzała na ciotkę, ale ujrzawszy jej wybladłe rysy noszące na sobie ślady świeżo przebytej choroby, obaczywszy jej drżące z osłabienia ręce — zamilkła.

A panna Gertruda mówiła dalej:

— Jeżeli jak mówisz, kochasz ~~[illegible]~~ ojca — to jedną masz tylko drogę aby miłość dziecięcą okazać: poświęcić życie aby mu wymodlić ulgę w cierpieniach! Miłosierdzie Boże jest bez granic — a boskiej Oblubienicy za wstawieniem Przenajświętszej Matki ~~[illegible]~~ nie nie odmówi oblubienicy swojej. Pokutą własną możesz go wybawić od potępienia — a to jest obowiązkiem twoim, jeśli jesteś dobrą córką...

— Moja ciociu, — rzekła Marylka siląc się na spokojny i łagodny ton ~~głosu~~ ⊕ — ciocia ma ojca za wielkiego grzesznika a ja go mam za świętego — ~~[illegible]~~ i działabym całe życie spełniać jego wolę i tylko jego wolę... — dodała po chwili: ~~[illegible]~~ — on by niczem bardziej się nie zmartwił jak tem gdybym do klasztoru wstąpiła...

— Jakto? — ~~[illegible]~~ zapytała ciotka z przerażeniem, czyż już stanowczo dzisiaj oświadczasz że do klasztoru nie wstąpisz? A twoje uroczyste przyrzeczenie dane mi na łożu śmiertelnem, w obliczu gromnicy i sakramentu!

— Co przyrzekłam ciociu — to dotrzymam: przez cały rok będę się badać czy nie mam powołania na zakonnicę, ale wiem już dzisiaj co powiem za rok, ~~[illegible]~~ i choćbym za dziesięć lat przychodziła, nie ciociu, ja nie będę zakonnicą!...

— O Boże, Boże, jakież ty masz zatwardziałe serce! jak ty mnie dręczysz twoim uporem niedobre dziecko! Mnie i księdza Tomasza.

— Ciociu moja, przecież ja robię wszystko co każesz: odprawiam z tobą koronki, słucham codzień dwie godziny katechizacji księdza Tomasza...

— Tak! ale tak z nim dysputujesz jakby on niebył twoim pasterzem a ty jego owieczką... Jeszcze nie uznał cię nawet za przygotowaną do spowiedzi...

— O gdyby ciocia wiedziała, gdyby ciocia mogła zrozumieć ile mnie te konferencje z nim kosztują łez i zdrowia! Słyszeć to wszystko co ten człowiek powiedział wówczas na pogrzebie o moim ojcu... i słuchać tego codziennie!..

— Ten człowiek! ten człowiek! Marylo — jak śmiesz wyrażać się tak o księdzu!

— Ja go nienawidzę ciociu! jak pomyślę co on o moim świętym ojcu...

— Świętym! świętym! Szalona dziewczyno!... Duch jego pokutujący błąka się wkoło domu, wzdając ukojenia spokoju jakby prosił o ratunek, jęczy po nocach z strasznego ognia czyśćcowego, wzdycha ciężko w srogiem utrapieniu... sama słyszałam dziś w nocy zgasiwszy świecę... wszyscy go widzą i słyszą... wszyscy ci to mówią... a ty go nazywasz świętym!... Ach tak, ty go niewidzisz i nie słyszysz, bo na to potrzeba łaski bożej, potrzeba wiary, a ty jej niemasz biedna Marylo!... Jak ją mieć możesz! kiedy nienawidzisz księdza! księdza! Boże święty! i to jeszcze takiego księdza! księdza Tomasza!..

i smutnie pokiwała głową. Ach, co za męka! Kiedyż, kiedyż — pomyślała, skończy się ten rok fatalny! Kiedyż zaczerpnę znów siły w słonecznem spojrzeniu ukochanego!

I czerpała siłę w wspomnieniu tych oczu... Ileż — pomyślała — ileż mi przez ten rok jeszcze wycierpieć, ile jeszcze przetrwać wypadnie... Ileż dziś jeszcze! Gdybyż to już był wieczór! Usłyszała czyjeś kroki w drugim pokoju i łzy cisnęły się do jej oczu.

Maryla zamilkła. Ścisnęło się serce jej na myśl że po tej drażniącej rozmowie z ciotką, oczekiwała ją straszna jeszcze codzienna męcząca konferencja z proboszczem. Przedobiednie dwie godziny na to były przeznaczone. I do obiadu siadała codzień Marylka z zapłakanemi oczyma, rozdrażniona, znękana — jakby zdjęta z tortury.

Ksiądz Tomasz często po odbytej nauce zostawał na obiedzie na usilną prośbę panny Gertrudy. I na jego wyrazistej twarzy widne były również ślady udręczenia. Z żadną może w życiu swem uczennicą lub penitentką tyle nie zadawał sobie pracy i tak ciężkiego nie miał do spełnienia obowiązku. A nigdy jeszcze trud jego mniejszym nie był uwieńczony skutkiem.

Marylka w towarzystwie ojca i skutkiem tej atmosfery moralnej jaką ją otoczył, odwykła była od ślepego ulegania wobec głoszonych sentencyj choćby najwyższą opromienionych powagą. Rzecz każdą starała się zrozumieć dokładnie i zbadać zanim ją przyjęła za prawdę. Najzręczniejszy nawet sofista i frazeolog niełatwoby zdołał obałamucić czczą

101

czczą deklamacją lub błahem argumentowaniem. Pewien zmysł krytyczny, rozwinięty przez Ojca a wszczepiony u tak młodej dziewczyny, chronił ją od wszelkich zasadek czy to w formie zimnego rozumowania czy też gorącej frazy stawianych. Umiała myśleć. Każde nowe twierdzenie które bądź to nie licowało z dowiedzioną prawdą (z uznaną powszechnie zasadą lub aksjomatem naukowym, bądź też gwałciło szlachetne jej serca instynkta, – przyjmowała jak podejrzanego gościa któremu nie godzi się zaufać dopóki się go bliżej nie pozna. – Czemu? dlaczego? zkąd to można wiedzieć? jak się o tem przekonać? te i tym podobne pytania ciągle jej stały na myśli, tak przy czytaniu naukowego dzieła jak w ciągu poważniejszej każdej rozmowy.

Jakiż przy tym jej kierunku umysłowym mógł być rezultat owych konferencyj z proboszczem! Wiarą ludzkiego rozumu i dowodów ziemskiej logiki, nieziemskie dziata nieznej światy które tylko wiarą ogarnąć można, tak, wiarą tylko a pamiętając o owej dla wierzącego serca najwyższej zasadzie: Crede ut intelligas – wierz abyś zrozumiał. Wtedy bowiem jedynie, wobec prawd religijnych które rozum uznać się wzdryga, zdoła duma w zachwycie powtórzyć bez uśmiechu wyrazy Stego Augustyna Credo quia absurdum!

Rzeczą jest doświadczoną iż osoby posiadające skłonność do zastanawiania się nad wszystkiem i rozważania wszystkiego – jednym słowem że osoby myślące, prędzej lub później tracą zwykle tę stawioną wiarę prostaczków. A tę rzadko inna, wyrozumowana, zastąpi. Bezmyślnie w dzieciństwie wyuczone katechizmowe prawdy z latami zacierają się zwolna w pamięci, ogrzane ciepłem wiary mgliste tylko dogmatu zostają wdzięczny kontury i całem sercem czcimy tę zasłoną tajemniczości zakrytą świętość lat naszych dziecięcych, tak jak na matki czciliśmy ją łonie. Lecz z wiekiem dojrzalszym, czy to skutkiem wrodzonej skłonności do rozmyślań nad rzeczami religii czy też szczególną jaką kiedyś potrzebą okoliczności, gdy w szczegółach tej na niewidziane uwielbionej świętości rozpatrzeć się nam przyjdzie i gdy rozważać zaczniemy każdy z osobna katechizmu artykuł – ileż to razy dziwimy się sobie sami żeśmy tak długo i z taką żarliwością obstawali przy Arce wiary nie wiedzieli co ta Arka w sobie zawiera... Dowiadując się w czem wierzyli czy też raczej powinni byli wierzyć – tracimy wiarę. / z małym wyjątkiem

Tak zwani prostaczkowie wierzą zaś często w gusła i czary a nie znają ani, połowy katechizmowych dogmatów. Czy tylko oni? Nie. Z pomiędzy ludzi wykształconych i wpisanych w skład tego lub owego wyznania, większość ogromna również nie wie w co wierzyć powinna lub o to wcale nie pyta, mniejszość zaś albo wierzy w co innego, albo w niektóre tylko dogmata

⌐ jedynie, wobec prawd religijnych które rozum uznać się wzdryga.

⊕ przyjdzie szukać wierzących? Między nieoświeconym ludem wiejskim? Prawda, lud nasz przywiązany do wiary. W wielu okolicach fanatyczny. Ale i tu wiara ta pomimo fanatyzmu – nie bez ale.

Tak samo traciła wiarę Marylka w ciągu owych codziennych konferencyj z księdzem Tomaszem.

Nie należała ona pod tym względem do wyjątkowych niewiast. Coraz ich więcej.

Jeśli kobiety wiarę tracą – acz zwykle bez własnej świadomości o tem – gdzież ⊕

z odrzuceniem innych mniej przypadających do indywidualnego usposobienia, albo wreszcie wcale w nic nie wierzy. Wyjątki tylko nader nieliczne posiadają świadomość dokładną dogmatów swej religji i rzeczywistą, niekłamaną w nie wiarę. Gdyby wykazy statystyczne poklasyfikować mogły ludzi wedle rzeczywistych ich religijnych przekonań, pokazałoby się niewątpliwie że w niejednem wyznaniu, któremu tak licznych statystyka urzędowa przypisuje adherentów, na tysiąc, co mówię? na stotysięcy zaledwie jeden jest prawdziwy wyznawca. — Świątynie jednak stoją (na niezachwianych podwalinach tradycji), obrzędy wedle wiekowych norm kultu odprawiają się bez przerwy a przyzwyczajenie, obyczaj i nieokreślona dogmatami potrzeba religijnych aspiracji sprowadzają do tych świątyń tłumy pobożnych. Tradycja i wychowanie wiążą te aspiracje w duchu jednostek z pewnemi formami zewnętrznemi które stanowią najsilniejszą spójnię każdego związku wyznania. † Jak nie zmienia dziś już nikt swoich zmieniwszy zasady polityczne — tak też i mało kto w XIX wieku zmienia wyznaniową społeczność zmieniwszy religijne przekonania. I na cóżby to czynił? Wszak on wie że olbrzymia większość jego zmieniających współwyznawców także przekonaniami i wiarą daleko od dogmatów wyznania swego odbiegła. Łączy ich luźny węzeł wspólnego kłamstwa, którego jedni przez indyferentyzm drudzy przez wyrachowanie zrywać nie skorzy. Takie są, przedstawione bez osłon stosunki konfesyjne nietylko w naszym kraju ale w całej niemal Europie w czasie obecnym. Wszyscy czują że to stan przejściowy. Ale jakie będzie rozwiązanie tej zagadki dziejów: któż powie! — Czy różnowiercy wedle trafu urodzenia policzeni do każdej jawnej społeczności wyznaniowej na inne kiedyś podzielą się grupy i będzie jakikolwiek przekonań z różnych występujące kościołów w łono nowych jakichś zaczną się skupiać sztandarów religijnych przekonań? Deiści, panteiści, unitarjanie katolicy, buddhiści, żydzi i t.d.? Czy też może popierany kiedyś tą nową asocjacją cywilizacyjnej humanitarnych uczuć i tylko wyzwoli się z swej hipokryzji wyznaniowej w zachowaniu pozorów przynależności do zgromadzenia wiernych do którego duchem nie należy? Któż odgadnie!

Nie naszą rzeczą odgadywać przyszłość w tej żywotnej sprawie cywilizacyjnej. [ani urzekać sobie stanowisko sędziego w spornych kwestjach. Naszą rzeczą tylko wiernie obrazować teraźniejszość, obecną chwilę i ludzi. Nie sądzimy aby ubliżyć mógł zarzut z niewątpliwie spotkać się nam wypadnie, żeśmy przypisanemi uwagami o stanie obecnym kwestji wyznaniowych przekroczyli zadanie powieściopisarza.] Gdyby nam nie szło przedewszystkiem o psychologiczną prawdę kreślonych przez nas charakterów — obeszlibyśmy się może bez takiej analizy dzisiejszych prądów, bez tak starannego podmalowania tła na którem kreślimy działające w powieści naszej postacie. My jednak nie pojmujemy inaczej powieści tylko jako studium psychologiczne

† Ci nawet którzy tych aspiracyj sami się wyzbyli uznają najczęściej ich pożyteczność dla drugich a wysoko cenią potrzebę utrzymania owej zewnętrznej spójni. Pewna wreszcie powszechna konwencjonalna hipokryzja, na pozór sprzeczna a w gruncie zgodna z panującym indyferentyzmem dopełnia reszty w ostrętnym obrazie dzisiejszych religijnych społeczeństw, w których każdy prawie uczestnik mieniłby się być czem innem niż jest wedle rzeczywistych przekonań swoich.

etyczne lub społeczne. Zdala unikamy konwencjonalnych naszego powieściopisarstwa typów i postaci. Czegożby one nas jeszcze pouczyć zdolne? Dowieść na nich osnuta, choćby artystycznym wymogom w najwyższym stopniu czyniła zadość — moralną swą treścią będzie w najlepszym razie wymownem powtórzeniem dawno znanych i uznanych prawd a nieraz samej zniża się często do bajki opowiadanej starym dzieciom cierpiącym na bezsenność lub do próżniaczej brukowej plotki... To ślizganie się wielu naszych znakomitych nawet autorów po powierzchni życia, to systematyczne omijanie palących kwestyj które nurtują dziś w głębi serc, najżywotniejszych zagadnień które się ważą na szali ludzkich sumień — to także albo indyferentyzm wobec najpotężniejszych czynników etycznych społecznego przeobrażenia, albo z góry obmyślana a zgruntu fałszywa metoda lecznicza polegająca na tem aby wmówić w ludzi że przybrane pozory rzeczywistą są prawdą — a to w tym celu aby istotnie prawdą się stały, aby hipokryzja i udanie w żarliwość prawdziwą się zmieniły.

— Ale nacóż rozjątrzać — twierdzą inni — kiełkujące w duszach naszego stulecia zarody niedowiarstwa, nacóż podżegać głośnem wywoływaniem dyskusyj budzące się pod wpływem czasowego prądu wątpliwości, nacóż zawikłać i tak zaniepokojone umysły ujawnianiem tego co się w tajemnicy serc odbywa, alarmować zatrwożonych, rozdmuchiwać palne iskry które w mózgach ludzkich gorą, podniecać ferment który piersi rozsadza... nacóż to wszystko!

Na to, — odpowiadamy, że prąd czasu nie da się zatłoczyć milczeniem aby zmienił kierunek, że rozmyślne ignorowanie faktu nie znosi jego istnienia, że szczelnem nakryciem fermentującej dzieży nikt nie powstrzyma fermentu, że rysów powstałych w pękających murach budowy nie zatrzemy zakazem mówienia o pęknięciu aż nazbyt wszystkim widocznem, że w ukryciu szerzący się pożar niebezpieczniejszy od buchających na zewnątrz płomieni, że to wszystko co w tajnikach serc się dzieje choćby najgłębszem pokryte milczeniem, na zewnątrz wcześniej się wciela, czynami się objawia.

Na to, iż zdaniem naszem nic zgubniejszego dla moralności publicznej od tej powszechnej maskarady wyznaniowej, że pora już zerwać obyczajową, a tradycyjonalną naszą obłudę, że wobec płonnych czy uzasadnionych alarmów — jeden tylko zbawczy środek: ujawnienie prawdy.

Skutkiem zgubnych systemów wychowawczych, dogmata katechizmowe i zasady moralne w większej części ludzi tak ściśłym z sobą połączone węzłem iż jednolitą niejako tworzą całość. Ztąd rzecz że u ludzi gdy wiara zachwiana — to i moralność upada. W tem główne niebezpieczeństwo i tu godzi się w dzwon alarmowy uderzyć. W dzisiejszych czasach powszechnego niedowiarstwa czyja moralność na wierze oparta — nie stoi zaiste na niewzruszonej opoce. Biada kto na niej budować pragnie. Silniejszą zaiste podstawą wrodzone moralne inklinacje — kierunek umysłu

i te wszystkie cechy indywidualne które obejmujemy jednym wyrazem: charakter. –

Charakterem w ścislejszem znaczeniu wyrazu nazywamy stałość charakteru. Rzadkim on jest u mężczyzn dzisiejszych – ale daleko rzadszym u kobiet. Wyrobić się on tylko stosownem wychowaniem przy ogólnem zdrowiu fizycznem i umysłowem, a najsilniejszą jego podstawą głębsze wykształcenie i poważny kierunek umysłu oparty na zdobytych własną pracą przekonaniach a nie na narzuconych z góry prawdach – choćby najświętszych.

Taki charakter wyrobił w Marylce jej ojciec. On jej dał ciepło serdeczne i trzeźwość umysłu – wiary dać jej niemógł bo sam nieposiadał tego skarbu.

Bolała nad tem ciotka Gertruda a bardziej jeszcze bolał ksiądz Tomasz.

(Rzecz dziwna! Mimo oporu jaki mu stawiała młoda dziewczyna, mimo jawnej niechęci której ciągle od niej odbierał dowody, z każdą lekcją przywiązywał się do niej bardziej i goręcej pragnął uratować tę zbłąkaną owieczkę i z otchłani niedowiarstwa sprowadzić ją na drogę Pańską.

Pragnąc spełnić dane ciotce przyrzeczenie, Marylka całą siłą duszy tłumiła w sobie wybuchy niepokonanego wstrętu i nienawiści do księdza Tomasza i zasiadała do codziennej nauki z lodowatem ale pełnem uszanowania ugrzecznieniem. Biło jej jednak serce tak w piersi jakby więźniowi zmuszonemu zasiąść do jednego stołu z dozorcą a śmiertelnym swym wrogiem. „Wobec nieprzyjaznych ci ludzi wypogadzaj czoło i patrz im spokojnie w oczy – to najlepsza broń" – mawiał nieraz jej ojciec. – Starała się więc zastosować do tej rady, lecz krew młoda wrzała w sercu, uderzała falą wzburzoną do głowy. Nieraz nawet szyderczo a pełne gryzącej ironji z ust wymknęło się pytanie, nieraz taką nienawiścią zabłysnęło spojrzenie, że ksiądz Tomasz niemógł nieczuć jakie dla niego żywi usposobienie uczennica.

Rzecz dziwna, on, tak drażliwy w swojej kapłańskiej godności, nie zrażał się tem wszystkiem, nie obrażał się wcale i nietylko z chrześcijańską znosił cierpliwością gniewne miotanie się swej owieczki, ale nie czuł się prawie dotkniętym niecierpliwością jej tonu z jakim odpowiadała na jego pytania, ilekroć mowa była o zgubnych zasadach wszczepionych jej przez ojca. – Owszem, choć zdrażniony jej oporem, on sobie to na dobre tłumaczył: „skoro dla ojca swego, tego poganina tyle dziecięcej żywi miłości – jakże ona gorąco ukocha Najdobrotliwszego Ojca naszego w niebiesiech gdy mi się uda serce jej ku Niemu obrócić! jakże ona ukocha Tego który za nas wydał się na męki i na śmierć!"

105.

Tak myślał ksiądz Tomasz i oczy jego jaśniały niewysłowioną dobrocią, ilekroć spotkały się z nienawistnym wzrokiem dziewczęcia. W tej walce spojrzeń – on zwyciężał. Atletyczna jego postać, któraby rzeźbiarzowi mogła służyć za model do posągu Śgo Krzysztofa, męskie rysy jego twarzy, w której ani życie ascety ani świeżo przebyte cierpienia nie zatarły cechy niezwykłej siły, wreszcie niewzruszona pogoda na wyniosłem czole i wyraz oczu, w których naprzemiany płonął tajemniczy jakiś blask religijnej ekstazy, to znowu z bezdennej głębi zamyślenia wypływał nagle jak z za mgły porannej łagodny promień ojcowskiej pieczołowitości, boleściwy wreszcie ale pełen słodyczy uśmiech błąkający się czasem na ustach: wszystkie te rysy składały się w dziwnie harmonijną całość – stokroć silniej działającą na wyobraźnię i serce od wszelkich argumentów i rozumowań. A jeśli dla uzupełnienia tego obrazu wspomnimy o dźwięcznej wibracji jego głosu, pełnej przekonywającej mocy – pojmiemy że niełatwo było oprzeć się wrażeniu jakie na obojętnych nawet wywrzeć musiała postać tego chrystusowego kapłana, z niej tchnęła potęga prawdy i pełnia siły duchowej, taka wreszcie pewność siebie i ów spokój szlachetny, to poczucie moralnej wyższości wyrabia.

Biedne dziewczę! szamotało się jak pisklę w ręku człowieka pod wpływem tego uroku... a poczucie tego wpływu magnetycznego jaki na nią wzrok nienawistnego kapłana wywierał, w chwilach samotnych rozpamiętywań wzmagało tylko nienawiść w jej piersi. Gdyby nie wyrobiona w niej przez ojca samodzielność myśli, niełatwo poddająca się na ślepo cudzemu kierunkowi, gdyby wreszcie nie dziecięce do tego ojca przywiązanie, rychło byłaby uległa Marylka księdzu Tomaszowi i byłby ją poprowadził dokądby chciał.

Łaknął całą siłą duszy tego zwycięstwa ksiądz Tomasz i gorąco o nie się modlił. Srodze utrapiony w chwilach, w których większego doznał niepowodzenia, w modlitwie znowu nabierał otuchy, pewności wreszcie, – rozkosznej pewności, bo wysłowioną rozkoszą napawała go myśl o tej chwili, w której nakoniec ulegnie mu przekorna, w której rozczarowana wreszcie, natchnie się własną wiarą – nadzieją – miłością i w mistycznem dusz zespoleniu uniesie ją na skrzydłach własnego ducha ku niebu, czystą, świętą, rozanieloną nieziemskim zachwytem...

Marzył o niej w ciągu dnia, śnił po nocach najczystszych uczuć snem. – Niegdyś w latach młodzieńczych, przed odebraniem święceń kapłańskich długie spędzał na modlitwie godziny w kaplicy wychowawczego seminarjum, przed pięknym obrazem przedstawiającym Stą Jadwigę w apoteozie (stojącą wśród chmur i cherubinowych główek, z oczyma wzniesionemi ku niebu) w stroju zakonnym z modelem fundowanego przez się klasztoru w ręku. Wyśnił mu się teraz ten dawno niewidziany obraz – a wyśnił mu się wiernie ze wszystkiemi szczegółami, – tylko rysy twarzy wniebowziętej świętej zmienione żywo przypominały piękną twarzyczkę Marylki. I przebudziwszy się ze snu, długo myślał o tym obrazie i o tym śnie i za dnia rano ksiądz Tomasz poczytał go za natchnienie i wpatrywał się weń ducha oczyma dzień cały i modlił się.

106.

103.

Czemużby sen ten nie miał stać się prawdą! (Sny od Boga pochodzą.) W duszach grzeszników i poganek dostrzegali nieraz wybrani pańscy zaczyn przyszłej świętości, ziarno gorczyczne które kiełkując w niebosiężne kiedyś urośnie miało drzewo: jej przywiązanie do ojca na ziemi – to zaczyn miłości Ojca w niebiesiech, jej zamiłowanie w umiejętności to początek uwielbienia mądrości bożej; rozrośnie się to ziarno w jej duszy skoro tylko pozna jakiej próżności jest wszelka mądrość tego świata... Czemużby (– myślał proboszcz –) miasto owego kościoła ś-tego Tomasza, na którego wybudowanie on grosz składa do grosza, stanąć nie miał rozległy budynek klasztorny, w którymby ona kiedyś była przełożoną? Znakomitą jej dziedzictwo starczy na uposażenie takiego zakonu i wybudowanie klasztoru i świątyni. Z jakąż rozkoszą prowadziłby on ją wtedy świętemi ścieżkami do doskonałej miłości bożej! Byle utonęć się chciała i oddać jego przewodnictwu z dziecięcą ufnością, z jakąż troskliwością czuwałby on wtedy nad każdym jej krokiem, nad myślą każdą i każdem serca uderzeniem! W tem świętem nieustannem ducha obcowaniu, ona jego myślałaby myślami, jego czułaby uczuciem, jego modlitwą wznosiłaby się ku niebu. Ty Ogrodzie niewysłowiona!

Byle jedna chwila szczęśliwa, byle jeden promyk łaski bożej, jedno ocknięcie się uśpionej wiary, jedno jej spojrzenie na przewodnika życzliwe – a czuł że dusza jej odda mu się cała, bezpowrotnie, na zawsze, z bezgranicznem zaufaniem drżąca z trwogi i wstydu jak gołębica i bezgraniczną w Bogu miłością.

O chwilo upragniona, przybądź, przybądź, za łaską Bożą i wstawiennictwem Matki Najświętszej!

Stokroć na dzień wzdychał ksiądz Tomasz tem westchnieniem i dziwne rzeczy, jemu samemu niepojęte, bo nigdy w ciągu życia niedoznane, jeszcze owładało go uczucie dla tego dziewczęcia, pełne słodyczy i cierpienia zarazem, niebiańsko-rozkoszne i anielskiego pełne smutku. Czem więcej stawiała mu oporu – tem droższą była mu ta dusza, tem goręcej pragnął oswobodzić z sideł tego świata i podniesioną ukochaną oswiecić Spętaną miłością bożą i złożyć na ołtarzu Pańskim. Na jej widok, na dźwięk jej głosu, na myśl o niej tajemnicze przejmowało go drżenie... Jej obraz płoszył straszliwą marę pana Seweryna, o niej myślał w wieczornej modlitwie – spokojniej zasypiał – i o niej śnił.

I Marylka po stokroć na dzień przypominała zmaranwidzianą postać proboszcza. Wieczór układając się do snu gdy przymknęła powieki wcieszonymi złotopotanemi główkę w puchowe poduszki – wtedy na dobranoc przywoływała w pamięci ukochane rysy p. Adama. Widziała go tak żywo! – jego oczy okolone długiemi rzęsami, miłośnie w nią wpatrzone, te brwi wyraziste, to czoło myślące... a te usta... ah, te usta urodne wąsikiem... coraz bliżej!... tak blisko... tchnienie ich czuje na twarzy... ah... muszka... muszka... I tak lekko zmarzenia przechodziła w śnienie... tak błogo... tak rozkosznie...

a on spowiednikiem?

107.

Lecz wtedy mącą się we śnie obrazy. Drgnęła – jakby przerażona... Cóż to? czyżby i jej jawił się we śnie duch ojca?... Nie – jej się przyśniła twarz proboszcza... Spotkała się z jego wzrokiem... ah, te siwe błyszczące oczy, magnetyzujące ją spojrzeniem... dziwnym zapalonemi ogniem... ta twarz blada, koścista – wargi zaciśnięte z tym bolesnym uśmiechem szepcą jej o Bogu... tak blisko... tchnienie twarz czuje tylko ust... aaah!...

...I z okrzykiem oburzenia i przestrachu zrywała się Marylka z posłania.

Ah, cóż to za sen szkaradny!.. Jakże cieszyła się że to sen tylko!

Ale ten sen podniecał gorejącą w duszy nienawiść. Rosła – rosła, krzewiły się czarne jej pędy w dziewczęcem sercu i nie dawały usnąć. Te wyraziste siwe oczy kapłana patrzały ciągle na nią – ciągle – i pozbyć ich się nie mogła z pamięci. Co za męczarnia! Czuła że on jej zwycięża tym łagodnym wzrokiem, przenikającym do głębi serca.

Udanie nikczemne i fałsz! faryzeuszostwo! – powtarzała w myśli. Gdyby go można rozjątrzyć czem, rozgniewać, wyprowadzić z tej równowagi umysłu! okazałby się wtedy w prawdziwem świetle... ah, toćby to był tryumf prawdziwy! Pomściłabym się... i ojcabym pomściła!

I tysiące wątpliwości religijnych, niesformułowanych dotąd i niezadanych pytań, które jej w ciągu nauki proboszcza same się nasuwały, teraz starała się przypomnieć i użyć wobec, wypytania zdradliwe i sarkastyczne odpowiedzi. W subtelnościach dogmatycznych błąkała się jak w lesie – tracąc coraz bardziej wiarę i coraz bardziej przechodząc do świadomości tej utraty.

A narażała przy naszej religji, mimo

całej znajomości teologji, nieprzywykły do takich dyskusyj, wobec wyszukanych pytań dziewczyny zawikłał się czasem w odpowiedziach proboszcz – a wróciwszy na plebanię wydobywał z szafy okryte pyłem traktaty teologiczne i do późna je wertował przygotowując się na jutrzejszą konferencję.

Tak upływał dzień za dniem.

I aby zwalczyć przekorny umysł dziewczyny, ksiądz Tomasz coraz nowe i coraz skuteczniejsze wspólnie z panną Gertrudą obmyślał środki.

Szło o to aby oderwać jej umysł od wszelkich spraw tego świata.

Wzbroniono jej zatem najpierw zupełnie zajmowanie się gospodarstwem domowem i prowadzenie ksiąg rachunkowych.

Odebrano jej opiekę nad sierotkami którym pan Seweryn dał był przytułek przy dworze. Niewolno jej było już uczyć tych dziewczątek. Chodziły one na naukę katechizmu do proboszcza a czytać je uczył wikary organista, automatyczna postać poruszana ręką plebana. Rachela chodziła wraz z niemi, przygotowywał ją proboszcz do przyjęcia chrztu.

Spostrzegłszy że Marylka częściej zasiada do fortepianu, wyraziła jej ciotka zgorszenie swe, że po śmierci ojca

ma ochotę zajmować się muzyką.

— Gram tę bethovenowską sonatę, którą mój Ojciec tak lubił, - odpowiedziała. Tak mi dobrze myśleć o nim przy tej sonacie!

— Jeśli sądzisz że ta żałobna suknia zgadza się z fortepianem — to powinnaś przynajmniej pamiętać że sama przyzwoitość nakazuje abyś na jakiś czas wyrzekła się tej rozrywki. Świadczy nawet zgorszą się...

— Ależ ciociu! przecież oni wiedzą że i na mszy żałobnej muzyka....

— Jeśli nie przez pamięć ojca - przerwała panna Gertruda - to mogłabyś zaprzestać tych ekzercytacji przez wzgląd na moje nerwy stargane przebytą chorobą...

— O ciociu! nie wiedziałam że cię muzyka razi. Czemuś mi tego wprzód nie powiedziała! Każę fortepian przenieść do mego pokoju, z tamtąd nie będzie słychać....

— Nie chcę abyś grywała - przerwała stanowczym głosem ciotka. - Kto się przygotowuje do zakonnego życia powinien zapomnieć o fortepianie....

— Moja ciociu, ja przecież nie powiedziałam że do klasztoru wstąpię. Jam tylko przyrzekła że się badać będę....

— Tem niemniej, badaniem takiem, podczas którego każdy myśl tęsknej pokusi ciągle o miłość stwórcy podnieść... sama głosem wołając głos powołania. Ewentualnie już wieczorem abyś grała — i to Ci powinno wystarczać....

To mówiąc zamknęła drżącą ręką na klucz klawiaturę westchnąwszy ciężko odeszła chwiejnym krokiem.

Długo siedziała przed zamkniętym fortepianem Marylka zadumana, smutna. Łzy jej się cisnęły do oczu - lecz nie dozwoliła spłynąć po licach. Otarła je chustką spiesznie aby ich niedostrzeżono. Było jej tak jakby (powiernikiem serca ją rozłączono z najwierniejszym) - ale dotkliwiej niż ta strata bolało się to poczucie własnej bezsilności wobec narzuconego przymusu, wobec niewoli której nigdy wprzód większej nie zaznała. -

Biedna Marylka! nie przeczuwała że cięższe jeszcze ciężary na nią się przywalą. -

W kilka dni później, odbyła ciotka wraz z proboszczem przegląd jej panieńskiej biblioteczki, złożonej z wyborowych autorów literatury pięknej polskiej, francuskiej, angielskiej i niemieckiej a zawierającej prócz tego wiele cennych dzieł historycznych i popularnych przyrodniczych. - Do krótkiej z księdzem narady zabrała ciotka klucz od szafki w której się mieściły te skarby a na stoliku zostawiono jej do czytania Tomasza a Kempis i kilka podobnych dzieł treści religijnej. - Stało się to mimo oporu Marylki która tym razem do gorącej posunęła się protestacji.

Ciotka zirytowana do głębi serca tem zuchwalstwem

wyrzucała jej niewdzięczność i z niekłamanym żalem nazwała swój obowiązek opiekunki „ciężkim krzyżem Pańskim”.
— Ale dzieje się wola Boża! — oddała wznosząc oczy ku niebu i wzdychając ciężko, — może Bóg raczy mi to policzyć za grzechy moje.
— Zdaje mi się ciociu że mnie prędzej policzy, — odparła Marylka opryskliwie.
— Tobie moje dziecko?... oby tak było! Niczego bardziej nie pragnę... Wątpię jednakże aby Ci Bóg to za zasługę policzył że z takim uporem bronisz tych książek które serce twoje odwracają od Niego.
— Przecież tam niema Woltera ani Straussa...
— Pst Marylo! tyś nawet nazwisk tych znać niepowinna... Są tam inni nie lepsi od nich. A cała ta twoja biblioteczka — to szafka z truciznami, bo czytanie tych książek zaśmiecą Twój umysł marnościami tego świata. W obecnym chorobliwym stanie twej duszy, lektura ta szkodliwie tylko podziałać na ciebie mogła...
— Moja ciociu, myśli moich nie czerpię z książek ale z głębi własnego ducha. Dzieckiem już nie jestem abym jak echo powtarzała co wyczytam lub usłyszę... a która książka pokrzepia mnie na duchu i umacnia w dobrem — to sama najlepiej wiem. Odebrać mi książki — to jest moralna tortura...

Uśmiechnęła się smutnie panna Gertruda. Surowy zwykle wyraz jej twarzy wobec tych cierpkich wyrzutów umilił się anielską łagodnością męczennicy.
— Niewdzięczne moje kochanie jak mnie ranisz boleśnie każdem twem słowem! mnie, która tylko dobra twego pragnę!.. Dąsasz się jak dziecko któremu brzytwę z rąk odebrano...

— — — — — — — — —

<u>Moralną torturą</u> nazwała Maryla dokonaną przez opiekunkę konfiskatę jej biblioteczki. Nie czuła jednak w pierwszej chwili całej srogości tej tortury. Dla osób nawykłych do umysłowego pokarmu, jest on tak niezbędny dla ducha jak dla ciała pokarm cielesny, jak dla płuc powietrze. Jeśli nam duszno w zamkniętej szczelnie celi więziennej do której świeży wietrzyk nigdy nie tchnie falą nieużytego oddechem powietrza, to stokroć duszniej sercu jej w tej grobowej atmosferze moralnej, która coraz bardziej rozwielmożniała się w osamotnionym dworku, wypierając wszystko cokolwiek zdrowiem dla niej było i życiem.

Dobra książka — to balsam cudowny, to balsam ukojenia w każdem cierpieniu: powiernikiem w smutkach naszych myśli nam nie daje; niepokoi zmąconemi wstrętnemi wrażeniami myśli, zawichrzone uczucia i w ten bezład w fali świat je wprawił, tchnie nową harmonię i wzburzonych do głębi rozstrojonych i znękanych odrywa od małostek naszego żywota,

odrywa od rzeczywistości – abyśmy do niej uspokojeni, pokrzepieni i silni powrócić mogli. Dobra książka – to muzyka czarodziejska co rozhukanemu burzą oceanowi nakazuje ciszę, tysiącem gwiazd najciemniejszej każe rozjaśnić się nocy, uśmiech szczęścia na najsmutniejszej wywołać twarzy. Dobra książka – to przyjaciel serdeczny... nie ten, który bezdusznie się z nami roztkliwia i we łzach rozpływa, ale ten który o własnem zapomnieć nam każe cierpieniu – ku szlachetniejszym polotom unosząc podając nam skrzydła. Nie ten, który za każdym razem inną stosowną do okoliczności wymyśla nam pociechę, i inne za każdym razem wedle potrzeby filozoficzne na świat i na życie poglądy – ale ten, któremu odrzec niemożemy: „mówisz tak teraz nie abyś tak myślał, ale tylko żeby mnie pocieszyć" – bo onby nam na to odpowiedział: „zawsze tak mówiłem – i nigdy inaczej." – [illegible]

Skarg wynurzyć swoich niemożna przed tym przyjacielem? wygadać się i wypłakać? – Nie pragnęła tego Marylka. Ona wstydziła się słabości własnej której tak ciężko przychodzi walczyć z wstrętnemi uczuciami, oskarżała się o brak spokoju wobec tych całodziennych małostkowych przykrości, za własną sobie poczytywała winę że tak je dotkliwie odczuwa niemogąc lekceważyć w duchu i wznieść się po nad nie szlachetnej myśli porywem. – Ona po całodziennej szarpaninie w tych nieustannych staraniach pragnęła co wieczór tylko dwóch jednej godziny samotności, godziny spokoju, godziny rozmowy z kimś rozumnym i szlachetnym któby do niej o czemkolwiek bądź mówił tak jak mawiał ojciec, tak jak mawiało szczupłe kółko osób bywające w ich domu, ktoś coby jej ducha cierpiący przeniósł czarodziejskiem słowa w świat inny a serce ogrzać się dał słonecznej myśli [illegible]. Takim czarodziejem – dobra książka.

Gdy jej książki zabrano – tęskniła za niemi jakby za żywemi istotami, tęskniła jak za ojcem, jak za p. Adamem. [illegible]

Biedna Marylka! – Co wieczór gdy ucałowawszy rękę swej nauczycielki na dobranoc, wróciła do swego pokoju, – smutna stawała przed oszklonemi drzwiami zamkniętej biblioteki, wpatrując się w wyciśnięte (złotemi literami) na grzbiecie książek tytuły. Zadumana stała tak wieczór długo – wpatrzona w okładki jakiegoś dobrze znanego dzieła – odczytując je niejako powtórnie – z pamięci.

Ale trudno to przywodzić wspomnieniem czytane niegdyś wyrazy, wskrzesić ciąg myśli który raz tylko przemknął się przez głowę.

III.

Wobec stroszących się do duszy cierpień rzeczywistości – wspomnienie jest bezsilne. Książka rozłożona przed nami zażegnaćby mogła wzburzone uczucia, wyraz wcielony w te litery na które patrzymy, myśl w tym wyrazie utajona – przy głośnem czytaniu głuszy własne nasze myśli, inny kierunek wszystkim ich prądom. Ale wspomnienie rzeczy czytanej w żywe nie streszczone wyrazy – blednie wobec żywej teraźniejszości, wobec błahych nawet dolegliwości chwili.

Gdyby kto kuglarską ~~czarnoksięską~~ jaką sztuką zdołał być wydobyć Marylce której z dzieł tych z poza szklanej szyby – czułaby się w tej chwili ~~[illegible]~~ szczęśliwą, (tak szczęśliwa) jak gdyby jej kto świat jaki darował. Ależ prawda! wszak każda książka dobra – to cały świat! Cały świat – tak jak (odrębnym) światem całym jest duch ~~[illegible]~~ (każdego prawdziwego poety, każdego znakomitego) autora. – Świat – to stokroć wart więcej od owych niezmierzonych światów w przestrzeni i od owych systemów słonecznych – pustych i martwych – w których każda z gwiazdek ~~[illegible]~~ miliardy miliardów razy większą od naszego globu...

Tam na górnej półce szafki zwartym szeregiem stanęły dzieła poetów naszych.... Spojrzała Maryla i rozjaśniły się blaskiem radości jej oczy. Ona tyle ich utworów umie na pamięć! Siadła na kozetce i jak niegdyś czytywała z książki swemu Ojcu i Adamowi – głośno zaczęła czytać... z pamięci....

Szumi się, śnij się wielkie narody, ...
Śnij na kwiatach, śnij mój złoty,
Ideale wiary, cnoty,
I miłości, i swobody....

- - - - - - - - - - - - - - - - - -

Chwilkę jeszcze przeciągła pieśń Bohdana o Rusałkach, srebrnym głosem tej prawdziwej rusałki powtórzona, czarodziejską ~~[illegible]~~ płynęła harmonją, lecz wnet zwisła jej główka na piersi a usta zamilkły.... Z bohdanowej dumki dumka się inna wysnuła w jej duszy, pełna wspomnień uroczych i tęsknej pełna nadziei. – Nadzieje

tak daleko... wspomnienia ~~[illegible]~~ smutek codzienny, przeszłości ~~[illegible]~~ obrazy, przyszłości ~~[illegible]~~ majaki bledną wobec tej troski która odmień każdym boleśniej dotknęła znękanej duszy. Ach, jak jej samotnie... jak pusto... jak strasznie!

Wicher zimowy płatkami śniegu dzwonił w szyby jej okna, – szum cichy na dworze to wzmagał się chwilami to znowu przycichał. Dziwnie skrzypią przed oknem drzew konary ~~[illegible]~~ uginające się pod naporem wichru. Świsty w szczelinie przymkniętych drzwiczkach kominka jakby syk dławionej jakiejś ~~[illegible]~~ istoty. Szmery jakieś niezwykłe i zeleżały na kurytarzu i na strychu nad głową i łomot wgadziął [illegible] lis... jakby szept przytłumiony i głuche stękanie, jak astmatyczne konających westchnienia...

Mrowie przebiegło po zdrażnionych nerwach drżenia..

Oczy jej pokoju parte przerażeniem to przylgnęły do

futryn, to znowu złączone z nicią olejnym pokostem nagle odstane, szeleszcząc jak niedbale usta przedziwną [illegible] przyciszone nagle przerwie, [illegible] w pół słowa, w pół tchnienia... jak usta, którym domówić nie dano najśmielszej zgłoski wyrazu... wicher szybę okna, to dolną, i ... w nią śniegiem ... Tak dziwnie!..

Tak dziwnie!... jak wiersz biblijny uderzeniami [illegible] parnolicia, rozmawiający mruczeniem z towarzyszem niedoli.

Trzy stuknięcia — i przerwa. Dwa teraz... i cisza. Znów dwa głuchsze... i jedno ciche... I cztery... I silne pojedyncze stukanie jakby domagające się otworzenia... Uderzenie po uderzeniu, jedno po drugiem, jedno po drugiem, jakoś tajne jak wahadłowy ruch zegara... ale coraz słabsze i słabsze jakby [illegible] niedosięgłej Duszy ostatnie wysiłki.... I cisza. Tylko [illegible] znowu żałośliwe jęki po kominach — i dobywa się dodrzwi- i przebiegające na wzdłuż kurytarza skrzypienie [illegible] tafli posadzki i szelest jakby kto kurytarzem przebiegał i w przebiegu o podłogę dłonią się oparł i po mosiężnej klamce musnął pode swej sukni...

Dreszcz jakiś wstrząsnął dziewczęciem.

— Czemu ja się boję? — zapytała sama siebie. Skąd ta bojaźń?... To nerwy może. Nic więcej... Wnak ja uwierzę w te straszydła przesądne?.. To niedorzeczność!.. To co oku widzialne lub zmysł słuchu odczuwa — to już nie duchem ale światła ciałem [illegible] zjawiskiem... Czemuż więc ta trwoga? Wstyd mi samej siebie... Nerwy rozdrażnione... Wyobraźnia... [illegible], rozbujała wyobraźnia...

I zakryła dłońmi swe oczy

— Och - ja się własnej boję wyobraźni!... chorobliwych przywidzeń!... nerwów moich!... ale jak żal mi boli samej siebie!... jak mi strasno!...

Drzwi się otworzyły. Maryla drgnęła i pierś jej od przeraźliwego podniosła się krzyku. We drzwiach stanęła biała postać....

Była to Rózia.

— — — — — —

— Przyszłam rozebrać panienkę, — rzekła wchodząc dziewczyna i przypatrując się uważnie swojej pani.

— Niepotrzeba Róziu; ja sama później się rozbiorę. Idź spać.

— Pani teraz tak późno zasypia!... rzekła Rózia tonem łagodnego wyrzutu.

— Jak wiesz o tem?

— Świecę Pani zgasiła wczoraj tak późno.

— Skądże wiesz?

Zarumieniła się zlekka Rózia jakby zakłopotana odpowiedzią. [illegible] — Starsza pani mówiła... odrzekła po chwili.

118.

— Ciekawam, skąd ciocia wiedzieć o tem może?

— Ja nie wiem. Ale mówiła starsza pani że nie może na to pozwolić żeby pani tak późno spać chodziła...

— Tak ciocia mówiła? — zapytała Marylka z gorzkim uśmiechem.

— Pani daruje — rzekła przymilając się do swej pani dziewczyna — ale pani starsza ma słuszność... Bo to niedobrze że pani tak długo w noc przesiaduje i myśli i myśli — i nic nie robi; ani modli się ani nie czyta tylko tak myśli... myśli Bóg wie o czem...

— Skądże ty o tem wiedzieć możesz co ja w nocy robię? — Może się modlę — może czytam...

— Eh, nie. Ja wiem że pani tylko siedzi tu na tej sofce w rogu i myśli...

— Ah... więc tak!... — szepnęła Marylka jakby sama do siebie i marszcząc boleśnie czoło, zapytała z wyrzutem:

— Ty mnie szpiegujesz?

— Broń Boże, moja droga pani! gdzieżbym ja śmiała!.. ale przed kilkoma dniami starsza pani mnie zapytała czy pani już się rozebrała. A jakem powiedziała że pani teraz codzień prawie sama się rozbiera, kazała mi starsza pani pilnować kiedy pani świecę zgasi... Z korytarza wieczorem, tom zaglądnęła przez dziurkę od klucza i widziałam jak pani siedziała tu, na tej sofce co teraz... a było już po trzeciej... tu pani siedziała i myślała pani coś tak smutnie, tak smutnie że mi się aż serce krajało!.. Jakbym była wierna — alem nie śmiała..... A wczoraj to znowu.....

— Moja Róziu — przerwała jej Marylka stanowczym tonem: zakazuję ci odtąd podglądać.....

— Niech się pani na mnie nie gniewa — (prosiła dziewczyna rozżalona niezwykłym akcentem w głosie swej pani. — Cóż ja winna? Starsza pani kazała...

— Tak?.. a więc widzę że będę musiała na noc się zamykać i nawet dziurkę od klucza zasłonić...

— Niech pani tego nie robi! — i pocałowała ją w rękę, a przymilając się rzewnym wielce dodała głosem: — Niech pani idzie spać!... Proszę pani!

I znowu dwukrotnie gorąco ucałowała rękę.

Roześmiała się Marylka na tę oryginalną prośbę:

— Moja droga, cóż tobie na tem zależy kiedy ja spać się kładę?.... Tyle mego szczęścia teraz, ile tych nocnych godzin które przedumam sama jedna w moim pokoju, myśląc o moim ojcu i... ty wiesz o kim jeszcze...

— Och wiem, wiem! — zawołała Rózia (smutnie potakując głową,) — jakbym nie wiedziała!.. Ale to niezdrowo różne myśli tak sobie dopuszczać do głowy...

— Moja Róziu... pleciesz nie do rzeczy. Tej jedynej przyjemności jaka mi została nie wyrzeknę się... Wszakże mi chociaż myśleć będzie wolno...? kiedy mi

czentę już nie mi wolno... Tego mi nikt nie potrafi zabronić...

— ~~[illegible]~~ Starsza pani powiedziała że nie pozwoli na to aby pani sobie tak głowę psuła...

Roześmiała się (głośno) Marylka gorzkim jakimś nerwowym śmiechem.

— ~~Czy~~ Cóż zrobi? czy mi może i (bezbożną) świecę zabierze?

~~[illegible]~~

— Każe łóżko pani przenieść do swojego pokoju...

Zerwała się Marylka gwałtownie z siedzenia. Wybladła jej twarzyczka drgnęła wyrazem oburzenia.

— Jakto? — czy mówiła?

Rózia zrobiła głową znak potwierdzający. Maryla przeszła się niecierpliwym krokiem po pokoju. Wiatr miotał w okno płatkami śniegu i dźwiękami jakiemiś głosami...

— I to z kim naradza się tak ciotka jak mnie jeszcze odrzeczy?...

— Moja droga pani! — perswadowała jej Rózia: cóż to pani szkodzi? (przenieść się do starszej pani)... Tam pani prędzej będzie musiała zasnąć, to pani na zdrowie wyjdzie... Na co to pani takie ~~[illegible]~~ czuwanie!... ~~[illegible]~~ Jakbym ja za nic w świecie sama nie chciała tak spać.... jakbym się bała!... ja się boję teraz przez ten ciemny korytarz ~~[illegible]~~ przejść... ~~A~~ A jeszcze dziś taki wicher na dworze!.. To tak strasznie...

Dreszcz jakiś przebiegł po nerwach Marylce.

— Dzieciaczku moja Róziu, — odrzekła po chwili. — Cóż potem strasznego że wiatr wyje?...

— Ah, gdyby to tylko wiatr... ale... et! już mówić nie będę.... Niech panienka idzie spać! Taka panienka teraz mizerna na twarzy, taka blada, że aż przykro patrzeć! Ksiądz proboszcz mówił że to z tego czuwania... ~~Tak~~ ~~[illegible]~~ siedzieć i dumać i dumać po nocy... to nawet grzeszne myśli człowieka nachodzą....

— A!... przerwała Maryla. — A więc to z księdzem proboszczem naradzała się ciocia? to on jej tę myśl poddał? poczciwy!...

I chodząc po pokoju zatrzymała się (mimowolnie) przed ~~[illegible]~~ portretem ojca stojącym na biurku. Przez myśl jej przelatywały wspomnienia — nasuwały się wyrazy ~~ojca~~ ~~[illegible]~~ ojca wyrzeczone o proboszczu, ~~[illegible]~~ które jej się wówczas ~~za~~ zbyt surowym wydawały sądem... Zbyt łagodnym wydały jej się teraz.

Rózia widząc że radami swemi nic nie wskóra, zabierała się odejść. Zatrzymała ją Marylka.

— Róziu... i spojrzała jej w oczy badawczo jakby chciała przejrzeć przez te dwa niebieskie okienka aż do głębi jej serca. — Powiedz mi Róziu, czy ~~[illegible]~~ ja [illegible] na ziemi?

115. Czyś zawsze taka poczciwa jak wprzódy? Kochasz mnie zawsze moja Róziu?

— Moja pani droga! — zawołała Rózia z rozrzewnieniem — gdzieżbym ja panią nie kochała! to jużbym chyba najgorszą być musiała! jabym za panią w ogień skoczyła...

— Nie zdradzisz mnie?

— Ja? — Prędzejbym umarła!

— Otóż mam prośbę do Ciebie... napiszę dziś list... wiesz do kogo...

I lekkim rumieńcem dopowiedziała resztę...

Rózia spuściła oczy a twarz jéj oblał [illegible] pasem szkarłatnym.

Nie uważała tego Maryla.

— Postaraj się — odezwała się — aby go kto zaniósł jutro na pocztę... Ale pamiętaj! pamiętaj, żeby tu w domu nikt o tem nie wiedział, szczególnie ciotka...

Rózia stała przed nią, czerwona jak burak, ze spuszczonym w ziemię wzrokiem.

— Cóż Róziu? — i pocałowała ją w czoło. — Komu dasz ten list?

Rózia milczała. Z zdziwieniem spojrzała Marylka na jéj zakłopotaną twarzyczkę.

— Pan Siwona i tak pewnie niedługo przyjedzie — rzekła w końcu jąkając się Rózia... to możeby list nie doszedł...

— Oh, gdzieżtam! przyjedzie pewnie dopiero na wiosnę...

— Lepiéj niech pani nie pisze...

— Czemu?

Rózia pocałowała ją w rękę miasto odpowiedzi.

— Bo... bo to...

Maryla niczego nie pojmowała jeszcze.

— Bo to... do kawalera pisać... to może...

Roześmiała się Marylka wesoło.

— Zabawna jesteś Róziu z twoimi skrupułami. Przecież niema w tem nic zdrożnego. Przecież mi sama listów jego przynosiłaś... pamiętasz? w tydzień po śmierci ojca... i może odpowiedź mu zaniosłaś?... A wreszcie wiesz że p. Adam ma na twoje ręce pisywać do mnie...

Zebrała się Rózia na odwagę:

— To prawda... ale ja teraz... boję się...

— Nie bój się. Ciotka się nie dowie. Masz przecie krewnych we wsi, to przez którego z nich...

— Nie, proszę pani, ja nie mogę...

— Ale dlaczego?

W oczach Rózi zakręciło się coś nakształt łez.

— Niech mnie się pani nie pyta, jabym sama chciała, ale ja ~~tego~~ niemogę...

Smutkiem powlokła się twarz Marylki. Nie potrzeba jéj już było więcej aby się wszystkiego domyślić. Patrzyła na ulubienicę swoją czas jakiś i ~~Rosa~~ rzekła oschłym tonem:

— Rozumiem... ~~[illegible]~~... Idź spać Róziu, zostaw mnie samą.

Rzęsiste łzy puściły się z oczu Rózi. Pochwyciła panią swoją za rękę i okryła ją pocałunkami.

— Wszak się pani na mnie nie gniewa!

115. myśl nagła przemknęła Marylce przez głowę.

— Róziu! tyś moje otrzymała list od pana Adama i oddałaś go ciotce?...

— Nie, nie... zaprzeczała się Rózia z wątpliwą jakąś szczerością.—

— Ja wiem żeś tak zrobiła! widzę to z twojej twarzy!

Rózia płakała...

— Ale nie...

— Przysięgnij mi żeś nieotrzymała listu!

— Boże kochany!.. (zanosiła się Rózia od płaczu)... cóż ja winna! Antoni przed tygodniem przyniósł listy z poczty, pani starsza zobaczyła że jest list do mnie tak ładnie pisany na kopercie i spytała mnie od kogo. Ja niewiedziałam co powiedzieć i zlękłam się, a Pani list otworzyła a tam był list do panienki. Strasznie się pani gniewała! Kazała mnie zaraz wypędzić... Boże jak ja się nacierpiała! ledwiom ją uprosiła jakem jej do nóg padła... Panienka mnie pytała czemu ja taka zapłakana, ale ja niemogłam nic mówić bo mi pani zakazała... powiedziała że mnie zaraz odprawi jak się panienka dowie...

Marylce nogi odmówiły posłuszeństwa, usiadła, przyciskając obiema dłońmi pulsa w skroniach bijące gwałtownie.—

— Cóż zrobić,— zapytała po chwili, jak mogła najspokojniej: — cóż zrobić, jak drugi list nadejdzie?...

— Boże drogi! niech mnie pani nie pyta!... cóż ja temu winna!... Żeby pani wiedziała co ja wycierpiała! Następnie jak ksiądz proboszcz przyjechał, zawołała mnie pani starsza... Musiałam przysiąc na pana Jezusa i na zbawienie duszy mojej że jak list nadejdzie — to go zaraz oddam pani starszej...

Ciche (tłumione siłą woli) łkanie wydobyło się z piersi Marylki. Ostatnią traciła nadzieję pociechy: nadzieję listu od ukochanego.— Zamknięto jej drogę pisania do niego, donoszenia o swoich cierpieniach i udręczeniu codziennem, o ciężkiej próbie którą przebyć zmuszona, o swojej tęsknocie i miłości... O tem wszystkiem donieść mu niemoże — a od niego nieotrzyma ani słówka pokrzepiającego w tej męce, ani wieści nawet... Zkąd tu siły zaczerpnąć do dalszej walki, do wytrwania!... Wołała jej dusza na myśl o tem wszystkiem co jej przeznaczone przetrwać przyjdzie... Czuła się bardzo nieszczęśliwą w tej chwili... Wzbierała jej pierś od płaczu — a płakać niemogła. Łkała tym najboleśniejszym płaczem — płaczem bez łez.

Na widok tego cierpienia swej pani, Rózi aż jak groch łzy toczyły się po twarzy. Uklękła przy niej, całowała jej ręce i kolana i wołała:

— Pani, pani moja! panno Marylo!... Boże, Boże, jaka pani nieszczęśliwa!...

— — — — — — —

117.

Nazajutrz po tej scenie nie wstała Marylka o zwykłej godzinie, i ciotce która po nią przysłała Rózię, kazała odpowiedzieć iż czuje się cierpiącą i tego dnia z łóżka nie wstanie. Czuła się ona w samej rzeczy w wysokim stopniu znękana przebytemi przykrościami a takim jednodniowym odpoczynkiem wolnym od codziennych przymusowych ćwiczeń nabożnych i katechizacji nienawistnego proboszcza, pragnęła ukoić nieco serce, uspokoić rozstrojone nerwy i umysł rozdrażniony uciszyć a rozgorączkowane myśli doprowadzić do równowagi. Czuła, jak szkodliwie wpływa na jej zdrowie fizyczne i duchowe ta moralna tortura stałej pełnej religijnego namaszczenia missjonarskiej zadawana jej obłudy; czuła że wyczerpują się już jej siły, że w braku pożytecznego zajęcia, a nawet rozrywki wszelkiej, i w braku wszelkiego umysłowego pokarmu i rozsądnej z ludźmi rozmowy, — chorobliwy nastrój umysłu z dniem każdym się wzmaga, nerwy do nadzwyczajnej jej wprzód dochodzą drażliwości a nad władzami duszy wyobraźnia bierze górę, zaciemniając jasność i trzeźwość sądu, ekscentryczne nasuwając myśli, w najsprzeczniejszych rozkiełznując je kierunkach. Czuła to wszystko — a nowe te dla niej objawy moralnego rozstroju niepokoiły ją i straszyły jak mara obłąkania umysłu.

— Jeszcze czas jakiś oddychać mi tylko tą klasztorną atmosferą (mówiła sama do siebie), bez książek, bez zatrudnienia, bez rozmowy z rozsądnemi ludźmi, bez nadziei nawet listu od Niego... a zrobią ze mną co zechcą... missjonarkę lub warjatkę... Całe dnie spędzać na teologicznych dyssertacjach, próżniaczem odmawianiu koronek i czytaniu żywotów świętych ... a zacznę widywać duchy i strachy, wpadać w zachwyty jak druga Święta Teresa i jak ona dla umartwienia ze spluwaczek pijać... Nie, nie, coś trzeba postanowić, tak dłużej być nie może, to nad moje siły, to gorsze od samobójstwa...

.... Co robić? co robić? ....

Dwie jej pozostawały drogi: albo pozornie poddać się wszelkim choćby najdziwaczniejszym wymaganiom, wszelkiego zaprzestać oporu, udać zwyciężoną i przekonaną o swych błędach pokutnicę — i w ten sposób uchronić się od dalszego nawracania i (kiedyś?) swej niewoli... albo też przeciwnie uzbroić się odwagą, wypowiedzieć walkę, wręcz odmówić posłuszeństwa i z podniesioną przyłbicą stawić czoło wszystkiemu co stąd wyniknąćby mogło...

— Co robić? co robić!..

Pierwszy z tych planów oparty na kłamstwie i hipokryzji przeciwnym był charakterowi Marylki, — wydał jej się wstrętnym i tylko go odrzuciła. Drugi wymagał stanowczości i nieugiętości przekonanej siły dziewczęcia przywykłego do uległości, łagodnego z usposobienia, niezdolnego przełamać obowiązków uszanowania dla swej opiekunki. Któż wie jak srogie w takim razie czekałyby ją jeszcze prześladowanie?

czekała, jeśli drugiego chwyci się planu

Pokora – czy przekora? Dwie drogi – którąż obrać!.....

Wejście ciotki przerwało jej rozpamiętywanie.

Panna Gertruda wypytała ją (staraniem) ze zwykłą niezadowoloną ciekawością o zdrowie, zauważyła jej niezwykłą bladość i dodała:

– Jeśli chcesz, poślę po tego nowego doktora który osiadł w miasteczku, – katolik.

– Dziękuję cioci, nie czuję się tak chorą aby lekarza przywołać trzeba, to minie. Ale gdyby ciocia posyłała, to wolałabym (naszego) starego niemca, który przez tyle lat był domowym lekarzem mego ojca i zna mnie od dziecka...

– O nie Marylko, skoro jest katolik, nie będę przecież po protestanta posyłać!...

– Moja ciociu droga, ja mam do niego zaufanie...

– Ale ja nie mam – odpowiedziała szorstko.

– Przecież on (mi) duszy leczyć nie będzie – zauważyła Marylka (z uśmiechem), – a ciało nie jest ani katolickie ani protestanckie...

– Niedorzeczne żarty! – odparła ciotka bez namysłu. – Dobry katolik jest katolikiem duszą i ciałem...

Marylka nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Czego się śmiejesz? – zapytała ciotka surowo. Niedowiarstwem tak zatwardziłaś serce że najprostszej rzeczy nie rozumiesz...

Marylka zamilkła usiłując powściągnąć w sobie nieprzepartą żądzę wybuchnięcia śmiechem. Zauważyła to panna Gertruda i niehamowała dłużej gniewu:

– Wiem, wiem... wasz niemiec protestant to znakomitość lekarska! Piękna mi znakomitość! To chyba dlatego że protestant!... Nie poznał się na chorobie twego ojca... albo raczej udał może że się nie poznaje aby go wyprawić do piekła bez spowiedzi...

– Ciociu!... zawołała Marylka oburzona (ze łzami w oczach) – ciociu! do żywego i się z pościeli ... wszakże ciocia chce dzisiaj mnie drażnić...

– A! przecież cię dotknęło słowo prawdy... bo już wiem jak się dokołatać do tego serca przez tę zaskorupiałą skorupę niedowiarstwa i egoizmu!

– Ciociu, jestem chora! Niechże ciocia ma choć trochę litości nade mną i (przynajmniej przez) dzisiaj mi da spokój!

– Niebardzo ja wierzę w tę chorobę. Śmiejesz się!... żartujesz... drwisz ze wszystkiego co święte... To bolesne!... Mój Boże, czyż nie już dzisiaj miałam przykrości!... Ciężko mnie dzisiaj Bóg nawiedzać raczy w nieodgadnionych wyrokach swoich!...

Spojrzała na nią Marylka, jakby zapytując jakie to przykrości dziś ciotkę spotkały.

119.

— Ty wiecznie jeszcze o niczem! — przypomniała sobie ciotka — ah, jakie nieszczęście!...

— Co za nieszczęście? — zapytała Marylka zaniepokojona.

— Zgłosił się dziś jakiś żyd mówiąc że jest ojcem Rachelki!

— Chwała Bogu! — mimowolnie zawołała Maryla a oczy jej zabłysnęły radością.

Panna Gertruda spojrzała na nią z zdziwieniem. Nie umiała sobie wytłumaczyć tej radości. Po chwili dopiero namyśliła, zdawało się jej że zrozumiała jej powód.

— Mylisz się! — rzekła srodze zasępiona — Ona jeszcze nie przyjęła na łono kościoła! A mówiłam, mówiłam księdzu Tomaszowi żeby przyśpieszył — bo coś mnie ciągle jakiś głos wewnętrzny przestrzegał że gotowi ją odrwać odszukać rodzice... nie, on zwlekał i zwlekał, mówiąc że jeszcze nie jest godnie przygotowana (do przyjęcia Chrztu św.)... A teraz może będzie już zapóźno!... Boże, Boże, co za nieszczęście!

— I cóż, — zapytała Marylka z promieniejącemi oczyma drżącym od wzruszenia głosem — czy bardzo się ucieszył ten żyd znalazłszy córkę?

— Jak szatan! — odpowiedziała ciotka.

— Chyba jak ojciec, ciociu!... Przecież mu tego nikt już na świecie zarzucić wziąść nie może że się ucieszył odszukawszy zagubione swe dziecko!

— Zagubione?.. On się właśnie tem cieszy że je teraz zagubi!

— Ależ ciociu! któżby to ojciec pragnął zguby swego dziecka!

— Jakto? czy ty myślisz że on nie cieszy o tem że je Bogu wydziera z rąk i piekłu na pastwę oddaje?.. Gdybyś ty była widziała co on robił jak się dowiedział że w przyszłą niedzielę miał być jej chrzest! Mało nie oszalał z wściekłości!

— Nie dziwię się temu wcale; przecież nie może sobie życzyć aby ją oderwano od religji którą on uważa za prawdziwą.

— On... uważa za prawdziwą? (— podchwyciła panna Gertruda —).... Cóż ty masz za przewrotne wyobrażenia o rzeczy! Jak możesz mniemać że żyd albo heretyk uważa swą religję za prawdziwą! Udaje! udaje przez złość! przez zatwardziałość serca! przez upór i przez wrodzony zła wolę. Wiedzą oni dobrze wszyscy że tylko nasza święta rzymsko-katolicka wiara jest prawdziwą...

Maryla zamilkła. Jeśli słusznie ktoś powiedział że są prawdy tak oczywiste iż dowodzenie ich ubliża godności naszego rozumu, to i odwrotnie słuszne rzeczy można iż są twierdzenia które zbijać daremną byłoby pracą, bo świadczą o zupełnym braku tej rzeczy w obec rozumu i prawdy, bez której nikt nie jest zdolnym słuchając zrozumieć a patrząc obaczyć.

Panna Gertruda westchnąwszy przewracać poczęła kartki jakiejś książki nabożnej którą z sobą była przyniosła.

— A cóż Rachela? — zapytała po chwili Marylka. — Czy poznała ojca? jakże go przywitała? Czy się bardzo ucieszyła?

— Jak jej powiedział że jest jej ojcem, rzuciła mu się na szyję... Ale potem zaczęła płakać że ją stąd weźmie... Kto tam wie zresztą czy to jej ojciec? Może te dokumenta któremi się wykazuje, podrobione.... O, nie oddam mu ja jej tak łatwo jak mu się zdaje. — Powiedział że ją odbierze z pomocą władzy... Kto wie, może się uda przekupić.... Ludzie są chciwi....† A wyobraź sobie jaki to zbój! Trzymał ją w ramionach i nie chciał puścić. Jak wściekły się rzucał gdym mu powiedziała że jej nie oddam. — Ale potem widział że tem nic nie poradzi i udał się w prośby i zaraz niby to płakać... nawet płakał na prawdę... ze złości oczywiście.... Biedne dziecko, dobre ma serce. Jak zobaczyła że ojciec płacze — to jej zdawało że to prawdziwe łzy i sama w płacz. Zburczałam ją dobrze za to i kazałam wyjść z pokoju... Mówiłam z nią potem długo; jeszcze nie wszystko stracone... ale to wielkie jeszcze dziecko...

Niezwykły gość zawitał na twarzy panny Gertrudy — uśmiech. I dodała:

— Jak się z niej dziewczęta w garderobie wyśmiały że będzie odprawiać baruchy i cebulę jeść — to poskutkowało. Ochłodła zaraz w tem przywiązaniu do swego nieznanego ojca...

Podniosła panna Gertruda znowu książkę leżącą na jej kolanach i otworzywszy ją w naznaczonem miejscu rzekła:

— No, Marylko, dzisiaj ja będę twoją lektorką kiedy czujesz się słabą. Odmówimy naraz wszystkie różańce.

— Nie, nie mogę ciociu. Głowa mnie boli.

— Będziesz tylko słuchać i w myśli powtarzać słowa modlitwy, — to cię nie zmęczy.

— Nie mogę ciociu, nie potem w stanie zwracać na to uwagę coby ciocia czytała..

— Nie potrzebujesz natężać uwagi i sens każdy rozbierać. Zwróć tylko serce do Boga i powtarzaj za mną po cichu słowa modlitwy.

— Nie, nie mogę ciociu i nie będę dzisiaj.. W żaden sposób nie będę.

Ciotka nalegała.

Przebrała się tym razem miara cierpliwości. Marylka nie mogła już dłużej zapanować nad rozdrażnieniem swych nerwów. Nic nie odpowiedziała, przymknęła oczy jakby zabierając się do snu.

Ciotka zaczęła czytać koronkę.

— Ależ ciociu! — zawołała zdrożona Marylka — nie mogę już tego słuchać!... W uszach mi szumi jak w młynie... Unaląść prędzej ale niezmiernie się w talii paciorkowym korkociągiem bramińskim

† Zmówiłam koronkę na tę intencję. Zmów i ty... może Bóg da za wstawieniem się Matki swojej!...

121. bo to mi wstrętne aż do głębi serca, to sprzeczne całej mojej istocie… Niech ciocia wierzy, to na nic się nie przyda… to mnie nie przerobi… to mnie tylko oburza…

Dziwny to raz usłyszała panna Gertruda z ust Maryli tak bezwzględnie i z taką szczerością wypowiedziany wyraz jej uczuć. Szeroko rozwartemi spojrzała na nią oczyma.

– Co ?!…. co ?… co ?…

I słów jej zabrakło. Przeżegnała się wielkim krzyżem.

Długo tajoną goryczą wylawszy w słowach, coś nakształt ulgi uczuła Maryla, nie hamując się też dłużej mówiła dalej z rozpłomienioną twarzą:

– Chyba że ciocia chce abym się modliła o to żeby się cioci i proboszczowi wiendało stłumić w sercu najświętszego uczucia jakie Bóg wlał w serce dzieci: przywiązanie do rodziców.

– Co? co ty mówisz! opamiętaj się!…

– Mówię co myślę i co czuję… bo już dłużej taić nie zdołam. To nad siły moje! Przyrzekłam Cioci że będę słuchać tych nauk proboszcza… I słucham – codziennie przez dwie godziny, choć mnie to wiele bardzo wiele kosztuje przezwyciężenia, bo żadnego dla proboszcza uznania, i żal otwarty z powodu ojca – i wstręt niepokonany… A czynię to wszystko dlatego że przyrzekłam i że chciałabym być posłuszną i uległą – gdy mój ojciec cioci powierzył nade mną opiekę… Przez pamięć dla ojca mego to czynię!… Odmawiam z ciocią koronki, czytam żywoty świętych, modlę się z ciocią i klęczę aż mnie kolana bolą… Ale więcej już czynić niemogę i wszelka uległość musi mieć swoje granice… Chciałam milczeć – ale niemogę! Odebrała mi ciocia książki, fortepian, zarząd gospodarstwa, opiekę nad sierotami, nie mi niezwolno – nic – nic! – tylko pacierze klepać i słuchać kazań i gderania i najboleśniejszych narzekań i obelg na mego ojca!.. Znosiłam to wszystko bez skargi – ale czuję że już dłużej tej męczarni i takiego życia nie zniosę.. – Z domu mi chyba uciec i oddać się pod opiekę komu z przyjaciół ojca w sąsiedztwie…

Ciocia załamała ręce i chwyciła się potem oburącz za głowę. Rumieniec gniewu w śmiertelną zmienił się bladość przerażenia.

– Boże! Boże! Matko najświętsza! – szeptała z cicha, a blade jej wargi dygotały jak w febrze, trzęsły się ręce, drżały pod nią kolana. Osuła się bez siły opuszczając. Objęła dłońmi twarz sobie zakryła pochylając się ku ziemi i kołysząc się w krześle to w tył to naprzód jak rozbitek na brzegu morza albo więzień wobec dogorywającego domostwa.

Maryla zrzuciwszy ciężar z serca, uspokoiła się nieco

– Hipokrytką nie jestem i udawać nie umiem tego, czego nie mam w sercu. Kocham ciocię jako siostrę mego ojca – i chciałam być jej posłuszną… Będę uległą i posłuszną we wszystkiem… ale moralnej takiej tortury jaką proboszcz obradził aby mnie

złamać na duchu i ujarzmić – Tego nie zniosę. – Przyrzekłam cioci na jej łożu śmiertelnym ... bo musiałam wtedy ulec – przyrzekłam że przez rok nie pójdę zamąż i będę się badać czy niemam powołania do klasztoru ... choć wiem dobrze że niemam i nigdy mieć nie będę ... Przyrzekłszy dotrzymuję święcie i dotrzymam – ale pod warunkiem że mi powrócona zostanie wolność jaką miałam wprzódy ... Ja nie mogłam przypuszczać że się poddam takiej torturze moralnej ... któraby mnie do obłąkania doprowadzić mogła ... Jeśli ciocia chce abym się nadal czuła związana przyrzeczeniem moim i słuchała nauk proboszcza, odmawiała pacierze i badała swoje powołanie zakonne – to niech ciocia usunie te rygory klasztorne ... bo inaczej niemogłabym być dłużej uległą taką jaką byłam dotąd...

Przestraszyła się prawie Marylka odwagi własnej – Czuła jednak iż raz już wstąpiwszy na tę drogę, bądź co bądź wytrwać na niej wypada.

Ciocia wstała wśród tych jej oświadczeń i patrzyła jej prosto w oczy ponurym wzrokiem, z wyrazem głębokiej boleści na twarzy.

– Ja sobie z tobą rady nie dam – rzekła wreszcie chłodno, – ja ciebie odwiozę do klasztoru.

I zabierała się do wyjścia.

Zadrżała Marylka – i w pierwszej chwili niemiała słowa w odpowiedzi na tę pogróżkę. Rychło jednak opamiętała się z doznanego wrażenia czując iż już tylko w odważnem stawieniu czoła jedyny dla niej ratunek.

– Chyba gwałtem! odparła z płomieniejącemi oczyma i rumieńcem oburzenia na twarzy. – Dobrowolnie do klasztoru nie wejdę.

– Obaczymy. Znajdę się na to sposoby.

– Jakie? co ciocia ze mną myśli zrobić!

– To moja rzecz.

– Niech ciocia nie próbuje – zawołała z rozpacznem wzruszeniem – bo i ja chwycę się ostatecznych środków! Ja wiem że do klasztoru nikt przystępu niema, i że tamby zemną zrobili coby chcieli. Ja wiem że jakby raz furta za mną zamknęła tobym już z tamtąd nie wyszła ... ja się tam zawieźć nie dam!

Uśmiechnęła się ciotka szydersko i wyszła z pokoju.

Marylce bezwładnie opadła głowa na poduszki.

— — — — — — — — — —

Trzask bicza, głos dzwonków — a przed ganek dworu zajechały strojne sanie. Wizyta z sąsiedztwa. W saniach siedział w niedźwiedziej szubie potężnej tuszy i wzrostu ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ wąsaty jakiś szlachcic. Futrzaną czapkę zasunął prawie na oczy i prócz sinych wąsów i końca nosa (sinych wąs., od mrozu obieliałych) — twarzy niebyło widać wcale.

Gdy się sanie zatrzymały przed gankiem, wybiegł kredensowy, Antek, i podał mu ramię.

— Są panie? — zapytał szlachcic wyciągając z futrzanego worka nogi ~~[illegible]~~ obute w olbrzymie bertace. I wysiadł z pomocą Antka, a podpierając się przytem ~~grubą~~ laską o obwiązanej gałce.

Czytelnicy mający dobrą pamięć mogliby go już poznać po tej niezgrabnej lasce, która w dzień pogrzebu pana Seweryna, upadając na podłogę, tak przeraziła pannę Gertrudę.

Był to p. Marcin, wuj Adama Łaskowicz.

— No cóż Antku? są panie?

— Są.

— Mojaż mościa .. ~~Argeżcie Gregor~~ zdrowe?

— Zdrowe. Panienka dzisiaj troche chora na głowę ale nie bardzo.
— Leży?
— Leży.
— Oo!

I wszedłszy p. Marcin do przedpokoju nachylił się do niego o głowę Antka wyciągając szyję naprzód. Jest tez ornacał: rozepnij klamkę i zdejm niedźwiedzie. Antek jeszcze patrzał się na niego nierozumiejąc o co chodzi.

— No … klamra!… powiedział mu p. Marcin. I zapytał: A gdzież ~~[illegible]~~ Gregor?, mój stary znajomy?

— Gregora pani starsza odprawiła.

— Mojaż mościa!… a za co? Taki stary sługa! — No! drugi za rękaw … ciągnijże…

— Starsza pani ~~[illegible]~~ wyznaczyła mu pensję i ordynarję — i mieszkanie do śmierci na drugim folwarku.

— Czy już ~~[illegible]~~ się tak postarzał że niemógł służyć… bertace!… za piętę! tak!… czy już niechciał służyć? … drugi!.. czekaj, niech się oprę … gadajże!

— O! onby był dalej służył… pono się tak przykrzy bez roboty … powiada że niechce darmo chleba jeść. Powiada że niechce i pensji byleby mógł być przy panience.

— Mojaż mościa!… mruknął gniewnie p. Marcin. ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ Hm, hm … to tu tak u was?… tak!… Idźże mnie zaanonsuj ~~waszej~~ tej pani starszej …

Ściągnął p. Marcin krzaczyste brwi na czole, cmoknął ustami na znak niezadowolenia — jakby go kto djable kwaśnym poczęstował zielenlakiem, wyjął z kieszeni czerwoną kraciastą chustkę i obtarł ~~ob~~ marzłe szronem zawiesiste wąsy. Poprawił potem gestą siwą czuprynę i opierając się na lasce wszedł do salonu.

— Mojaż mościa Dobrodziejko! — i ~~[illegible]~~ z staroświeckiem uszanowaniem ~~[illegible]~~ ucałował podaną mu od niechcenia rękę panny Gertrudy.

Panna Gertruda nie zbyt się zdawała uradowana tą
wizytą i nie zbyt okazała się uprzejmą dla gościa. Widać
nawet było z całego jej zachowania iż usposobienia swego
bynajmniej ukrywać się nie sili. Twarz jej jakby (ciosanej obłupe
z drewna figury – nie umiliła się nawet tym
konwencjonalnym uśmiechem, którego każdy gość ma u nas prawo
oczekiwać od gospodyni domu. – Owszem, patrzała na
p. Marcina takiemi oczyma, jakby go chciała zapytać: po co przyjechał.
Oprócz panny Gertrudy był w salonie ksiądz Tomasz,
którego p. Marcin dość obojętnem ukłonieniem
gdy powitał, pomimo, nie tracąc fantazji z powodu
chłodnego przyjęcia, przysunął fotel do kanapy na której usiadła panna Gertruda.
– Moja mościa Dobrodziko! – siadając na fotelu
(nieustraszony przyjaciel)
zaczął p. Marcin, – niech pani nie dziwi, że tu przybywam...
Otrzymaliśmy wszyscy jej listy w których raczyłaś
pani zaszczycić nas łaskawem uwiadomieniem
że z powodu ciężkiej żałoby i smutku jaki ten dom nawiedził,
pragniesz oddać się (na czas pewny wyłącznie) pobożnym rozpamiętywaniom z siostrzenicą twoją a córką ś.p. nieodżałowanego pana Seweryna...
i że sąsiedztwo obecnie z tego powodu odwiedzać nie będzie, a
nas upraszasz abyśmy za złe nie mieli szczerości
wyznania iż na teraz samotność jest najpożądańszym i
gorąco upragnionem dla was dobrem, które samo jedno tylko
zdoła ukoić boleśne...

Pewno musiał być on na takie przyjęcie przygotowany.
Otrzymał bowiem tak jak inni sąsiedzi list od panny Gertrudy,
w którym taż usprawiedliwiając się że sąsiedztwo obecnie
odwiedzać z siostrzenicą nie może, zawiadomiła
wszystkich iż pragnie wraz z Marylką na czas dłuższy oddać się wyłącznie
(z powodu smutku jaki dom ten nawiedził)
pobożnym rozpamiętywaniom i uprasza sąsiadów aby jej za złe
nie mieli „szczerości wyznania" iż na teraz samotność jest
dla Marylki i dla niej „najpożądańszem i gorąco upragnionem
dobrem" które samo jedno tylko zdoła ukoić ciężką boleść
co im zostało...

– Moja Mościa... niech pani to dziwi że tu przybywam
pomimo wyraźnej w jej liście zapowiedzi iż gości mieć sobie
w domu nie życzy... Najprzód nie uważam się
za gościa ale za przyjaciela domu, który
rozpamiętywaniom o nieboszczyku Sewerynie nie tylko
nie przeszkodzi ale serdeczny w nich wziąść może udział
mając do tego niezaprzeczone prawo po tyloletniej
ze zmarłym zażyłości... Secundo: wypełniam tylko
wolę nieboszczyka który mi nie raz i nie dziesięć razy
mówił: a jak umrę, to nie opuść też mojej jedynaczki i
bądź jej przyjacielem jak byłeś moim... Tertio: przyjeżdżam
w interesie wiadomego pani zapewne kontrowersu z panem Augustem
którego udział mi się nakłonić do zrobienia propozycji zu-
pełnie wcale korzystnej dla panny Marylki... Quarto...

125. Tu dalsze wytłumaczenie powodów przybycia przerwała panu Marcinowi niespodzianka – która bardziej jeszcze niż jego zadziwiła pannę Gertrudę.

Niespodzianką tą było wejście do salonu Marylki.

Maryla po gwałtownej scenie przebytej z ciotką, przez który czas bezwładnie leżała na pościeli. Niezwykłe wstrząśnienie wyczerpało cały zasób jej sił i energji. Serce jej biło jak młotem, szalonym pędem przypływała krew w żyłach, falą po fali uderzała do mózgu. Ani myśli zebrać w rozgorączkowanej głowie, ani w chaosie sprzecznych uczuć poddać się dyktatowi jakiegoś postanowienia. – Zamęt w duszy, w oczach się ćmi, szum w uszach, ręce mdleją, serce kurczowo się ściska, oddechu brak.

Usłyszała zajeżdżające przed dwór sanki, głos dzwonków, trzask bicza. Otworzyła wrota do pokoju Rózia.

Rozigrana wyobraźnia nasunęła Marylce myśl, że to Adam przyjechał. Zdawało jej się że wyczytała to z zakłopotanej twarzy swej pokojówki.

– Kto przyjechał? – zapytała podnosząc się na łóżku i patrząc jej badawczo w oczy.

– Pan Marcin.

W pierwszej chwili obojętnie przyjęła tę wiadomość. Nagle myśl jakaś ratunku błysnęła jej w głowie: przycisnęła rękę do czoła jakby chciała ulatującą zatrzymać. Tak! to jedyne co jej pozostaje... inaczej zawiozą ją – zamkną w własnej celi... i zmuszą... oh, zmuszą do poddania się ich woli!... nikogo z życzliwych tam już nie obaczy... będzie musiała uledz... zgubiona!

† jakimkolwiek bądź środkiem ....

Wyskoczyła z łóżka, obróciła kluczem we drzwiach i wyjęła go z zamku.

Zdziwiona spojrzała na nią służąca.

– Co panienka robi?

– Niechcę abyś stąd wyszła dopóki się nie ubiorę.

– Pani wstaje?

Zamiast odpowiedzi kazała sobie podać ranny szlafroczek. Za chwilę była ubraną.

Widzieliśmy ją wchodzącą, wbiegającą raczej do salonu. – Włosy w nieładzie, twarz rozpłomieniona gorączkowo, w oczach wyraz przerażenia jak u skazańców którym dopiero co wyrok śmierci odczytano.

Nie o wiele mniejsze przerażenie odzwierciedliło się na twarzy ciotki gdy ją ujrzała wbiegającą.

– Co się stało? – co to jest?.. zawołała zrywając się z siedzenia.

— Ratuj mnie pan! — zawołała rozpacznie, wyciągając obie ręce do pana Marcina. — Ratuj mnie! byłeś przyjacielem mego ojca!...

— Mościa!... wykrzyknął w głos p. Marcin jakby miał wypowiedzieć szarżę kawalerji, i podnosząc się żywo z fotelu, pochwycił podane sobie ręce. Ręce te drżały jak były zimne, w febrze.

— Marylo! nie warjuj! opamiętaj się co robisz! krzyknęła porywczo panna Gertruda, domyślając się już zamiaru siostrzenicy.

Proboszcz siedzący opodal zbliżył się z zadziwionym wyrazem twarzy, nierozumiejąc widocznie o co idzie i niewiedząc co mu czynić wypada.

Pan Marcin wlepił siwe swe oczy w przerażoną twarzyczkę dziewczęcia. Czując w swej dłoni drżenie tych drobnych rączek, dziwnie czuł się wzruszonym

— Co ci dziecię? panno Marylo! Marylciu! Dziecko!

— Ciocia mnie chce oddać do klasztoru wbrew mej woli.... ~~[illegible]~~ ratuj mnie pan!... chce mnie w klasztorze zamknąć... ja tam zginę!.. mnie tam zmuszą zostać zakonnicą ... ja nie chcę ... ratuj mnie pan! jeśli ci droga pamięć mego ojca!....

— Co ja słyszę!... tak?... Mościa!.... — i wyzywającym wzrokiem zmierzył pan Marcin ~~pannę Gertrudę~~ ciotunię.

Panna Gertruda zapanowała już nad wzburzonemi nerwami.

— Kto cię chce zmusić? - zapytała lodowatym tonem, głos jej jednak był złamany. Łatwo było odgadnąć ile ją ten spokój pozorny kosztuje. Spojrzała ostro w oczy Maryli i dodała: Sama powiedziałaś chwalebne postanowienie że ~~[illegible]~~ badać będziesz własne serce czy nie masz powołania do zakonu. Nikt cię zmuszać nie myśli.... A żeś nieposłuszna i przekorna, niewdzięczne dziecko! - zapowiedziałam ci dziś rano że cię odwiozę na czas jakiś do klasztoru, niemogąc sobie dać ~~[illegible]~~ rady z tobą... Oto wszystko!... Wstydź się tak ~~[illegible]~~ każdego kłamstwa! - ten twój postępek najlepiej każdemu świadczy jakie mamy z tobą utrapienie, ja i ~~ksiądz~~ proboszcz!...

— Któż pannę Marylę zmusza? - wtrącił czerwieniejąc na twarzy ksiądz Tomasz.

— Kto?... ~~[illegible]~~ odpowiedziała z wybuchem Maryla. - Ja pod ciągłym jestem tu przymusem — jak

w niewoli!... nie mi niewolno... wszystko mi odebrano....

— Co? co ci odebrano? szalona dziewczyno! — (uniosła się ciotka) Czy to, iem ci wzbroniła w tej żałobnej sukni bębnić po całych dniach na fortepianie?... bo to długi nawet grzech!... ~~Może~~ Może to ~~że~~ ci niepozwalam czytać bezecnych książek?.. że ci niedaję latać do spiżarni i do kuchni i z dziewkami rozmawiać?... że ci niedaję ~~zaczynać~~ odgrywać roli profesora i niedorzecznemi naukami zawracać główki tych sierotek które znalazły u nas przytułek?... Mów że, niewdzięczne dziecko, co ci ~~kto~~ tu się złego dzieje? kto cię prześladuje?

Marylę opuszczały już siły, nieumiała znaleźć odpowiedzi na tak wymowne argumenta, nogi pod nią drżały, ściskało się serce gwałtownym bólem, usunęła się na krzesło i głośnym wybuchnęła płaczem.

— Ja jestem bardzo nieszczęśliwa!...

— Nieszczęśliwaś, boś niedobra! bo serca niemasz i sumienia! bo w tobie wiarę ojciec wysuszył...

— Moja mościa... moja mościa... — przerywał co chwila p. Marcin, niewiedząc sam co o tem wszystkiem myśleć i jaką mu rolę obrać wypada. Najgorsze miał wyobrażenie o pannie Gertrudzie, ~~gorsze~~ wielkie jeszcze uprzedzenie do proboszcza, ale nieumiał sobie zdać sprawy w czem właściwie polega to prześladowanie na które się Maryla użalała.—

— Nawróć pani serce swe do Boga — wtrącił proboszcz z słodyczą — a niebędziesz się czuć nieszczęśliwą...

Maryla wpłaczu uspokoić się niemogła. Pan Marcin patrzał na nią z serdecznem współczuciem ale nic a nic nierozumiał o co jej idzie. Chyba obawa klasztoru?... a może ~~to~~ o Adama idzie, [illegible] tylko dziewczę ~~[illegible]~~ wspomnieć o nim nie śmie?..

— Moja mościa... o cóż właściwie idzie pannie Marylce?... — zapytał się wreszcie. — Do klasztoru nie pójdziesz nie, niebój się... nikt cię nie ma prawa zmusić!...

~~Marylka~~ nabrała znowu odwagi.

— Jak mnie tam raz zamkną, odrzekła łkając — zamkną mnie od wszystkiego... nikomu nie będę mogła się użalić z za kraty... zamkną mnie —

— Nie, nie, niebój się pani! ciotunia pani tego nie zrobi... i nie może zrobić... tego niedopuścimy...

— Jak mnie tam ~~[illegible]~~ odwiozą... jak się furta klasztorna za mną zamknie, to już nigdy się nie otworzy...

128. Ciotka miała temu zapobiedz, uprzedził ją p. Marcin.

— Pocóżby się miała zamykać!.. Eh, Mościa! widzisz moja Mościa Dobrodziejko... jak się dziecko boi tej furty... przecież pani nie na prawdę straszyłaś ją klasztorem?...

~~[illegible]~~!

— Klasztorem? i straszyć?... (z afektowanem zdziwieniem powtórzyła panna Gertruda) Chyba bezbożni mogą się bać klasztoru...

— No, ~~[illegible]~~ mościa — rzekł z uśmiechem p. Marcin — ale skoro się panna Maryla boi klasztoru, to jej pani tam nie odeślesz?

— Ojciec jej oddał mi nad nią opiekę i zrobię co uznam za potrzebne dla dobra Maryli... — z naciskiem odparła panna Gertruda, z góry patrząc na pana Marcina... I dodała: Nikomu zresztą nie przyznaję prawa opiekowania się moją siostrzenicą lub wglądania w moje czynności — tylko Bogu i memu spowiednikowi...

— Hm! moja mościa panno Dobrodziejko — rzekł p. Marcin z uwagą, biorąc ~~się~~ w tych słowach osobiście dotkniętym, — przecież także ~~[illegible]~~ i prawo opiekuje się sierotami i oprócz opiekunów jest i sądy opiekuńcze... który nie da krzywdzić dziecka gdyby kto chciał naprzykład.

I obracając się do Marylki zapytał:

— No, ależ krzywda się tej (panience) Marylce nie dzieje żadna?

— Idź Marylo do swego pokoju. Nakazuję ci!

— ~~Ostaw~~ Pozwól — no pani Mościa... ~~[illegible]~~ niech ~~[illegible]~~ panna Maryla pow[illegible] co ma na sercu...

— Dość już mówiła — i zawiele... Krzywda jej się żadna nie dzieje, — to tylko sobie ma za krzywdę iż jej samowolę ukracam i nie dogadzam wszelkim kapryśnym zachciankom którym ~~[illegible]~~ przez słabość brat mój ulegał...

— Jakież ja mam zachcianki? — Odebrano mi moje sierotki któremi się opiekowałam, odebrano mi zarząd domu, zamknięto mi fortepian, odebrano mi wszystkie książki moje ~~[illegible]~~ z wyjątkiem nabożnych... a przecież „bezecnych" jak się ciocia wyraziła nie mogło być wcale między niemi skoro ~~mi~~ je dał ojciec do czytania... to moje zachcianki!

— Dosyć tego! — przerwała jej ciotka z gniewem — ~~[illegible]~~ wróć do twego pokoju Marylo! ja każę!

Stary szlachcic trzymał Marylę za rękę... niemogłaby była odejść gdyby była chciała...

— Czy kiedy mój ojciec skarżył się na mnie? czy w pensjonacie skarżono się na moje kaprysy, na moje nieposłuszeństwo? Czy ciotce nie ulegam we wszystkiem?

— A więc cóż… to najlepszy będzie dowód twego posłuszeństwa. Chciej pan raz już przerwać te indagacje!

— Kazała mi ciocia przysiąc sobie — a była wtenczas śmiertelnie chora — że przez rok cały rozmyślać będę nadtem czy zmienam powołania do zakonu, musiałam przysięc. (:Tu łzy się puściły z jej oczu:) Odmawiam teraz codzień z ciocią przez kilka godzin różaniec… czytam jej Żywoty Świętych, Tomasza à Kempis, Gaume i p. Osada… słucham codzień przez dwie godziny nauki księdza proboszcza…

— Ot, i cóż w tem za nieszczęście? — przerwała z ironicznym uśmiechem panna Gertruda.

— … i słuchać muszę nieustannych obelg na mego ojca… dodała Marysia. To dla mnie prawdziwa męczarnia… Takie życie bez wywczasów, bez wytchnienia — to nad siły moje. Nie mam się nawet przed kim wyżalić… pomówić z kim rozsądnie… i grozi mi ciotka klasztorem!… (to moja śmierć! … oh, gdyby mój ojciec był wiedział!… Ratuj mnie pan. Resztę słów utonęła we łzach.

— Moja Mania… — z wzruszeniem wybąknął p. Marcin. (— Moja Mania!… powtórzył dobitnie, innym wcale tonem zwracając się ku pannie Gertrudzie.

Panna Gertruda traciła już resztę zimnej krwi. Kilka razy już chciała wybuchnąć gniewem — i zamierały jej w ustach wyrazy. Czuła iż folgując sobie sprawę pogorszyłaby jeszcze mocną. Ta męska stanowczość z sędziwą starczą powagą w postaci pana Marcina — imponowała jej i mimowolnie trzymała ją na wodzy.

Pan Marcin nie spuszczał zwróconych na nią żywych wyrazistych oczu. Rumieniec gniewu czy oburzenia wystąpił starcowi na twarz, podchodził co raz wyżej aż na poorane zmarszczkami czoło, aż pod tę gęstą czystą czuprynę.

Panna Gertruda zamieniła spojrzenie z proboszczem, jakby od niego oczekiwała pomocy.

Zauważył to p. Marcin.

— Moja Mania… rozumiem ja to wszystko dobrze!… wiem ja czyja to robota!… (: Tu spojrzał na proboszcza:) Takie krótkie i krótkie dzień w dzień, godzina w godzinę dobremi rozpieszczeniami i słówkami — wiem co to znaczy!… to gorsza tortura od wymyślnej stawów… Młodej dziewczynie zamknąć usta, zasłonić oczy, zawiązać serce… i odebrać wszystko co jej miłem było, nie dać nigdy się zatrzymać ani rozerwać, niczem czasu zapędzić,

tylko siedź z założonemi rękoma .. i próżnuj .. i módl się i módl i klep pacierze po całych dniach i ucz się katechizmu... to dla niej najcięższa męczarnia, wyrafinowana .... To moja Mońcia .... to księże proboszczu aby to wymyślić to trzeba już czem być potrzeba na to ... moja Mońcia ... chyba ... chyba jezuitą!. ..a jeszcze nękać i grozić zamknięciem w klasztorze.... to już ....

Proboszcz który dotąd milczał, słuchając z bolesnym wyrazem twarzy użalania się Marylki, czuł się teraz słowami p. Marcina widocznie żywo dotkniętym – a powiedzmy to na jego chlubę, był nim nie tyle może dlatego iż jego osobiście ubodły, ale iż w nich upatrywał lekceważenie religijnych ćwiczeń... Wystąpił tedy naprzód z godnością i rzekł uroczystym głosem

— Mogę pana zapewnić słowem kapłańskiem iż zarzuty jego są zupełnie bez podstawy. Nikt tu nie myśli odrywać panny Marji a tem mniej jej przeszkadzać. Jeśli zaś panna Dzierżka czuwa nad tem aby panna Marja wypełniała obowiązki chrześcjańskie i modliła się jej każe ... czego wszystkiej za życia nieboszczyka nie czyniła... to przecież nie jest męczarnią!..

Pod wpływem wibrującego głosu proboszcza i tych słów pełnych powagi i silnego przeświadczenia wstępowała odwaga w serce panny Gertrudy.

— A to księży wspólnie z opiekunką panny Marji uważali potrzebę dopełnienia jej zaniedbanego religijnego wychowania –
To pan jako stary dobry katolik powinieneś raczej pochwalić...

— Ale i ja przecie nie heretyk! – przerwał p. Marcin – chodzę do kościoła i spowiedź wielkanocną odbywam lecz wszystko ma swoją miarę a co nadto to nie zdrowo...

— Nie widzę coby tu było nadto ... i nie rozumiem co można czynić nadto w gorliwości w wierze... Zresztą panna Marylka sama dobrowolnie poddała się tym ćwiczeniom religijnym i do dnia dzisiejszego nie przyszło jej nigdy na myśl użalać się aby jej były przykre lub ją zbytecznie utrudzały...

— Moja Mońcia! księże proboszczu!... zbyt jesteście wy dobrze jak ją nękacie, skoro dla przymuszenia jej aby wam uległa musieliście ją straszyć klasztorem!...

— To się stało bez mojej wiedzy. – odparł proboszcz

z zachwytem i surowo nieco spojrzenie na pannę Gertrudę. — Niezadługo zresztą — dodał po chwili — aby pani zamierzała w istocie spełnić to zagrożenie, jeżeli to zagrożeniem nazwać się godzi. Nie myślę aby tego była potrzeba...

— Czy i na to możesz mi księże dać kapłańskie słowo? — zapytał p. Marcin z niedowierzaniem.

— Ja? nie! To zależy od opiekunki panny Marji — ale jeżeli panu na tem tak zależy, to zdaje mi się że panna Dzierżka będzie pana mogła pod tym względem zaspokoić.

(— zwróciła się z przekąsem panna Gertruda do p. Marcina —) Nie wiem, jakie pan ma prawo żądania odemnie abym...

— Prawo przyjaciela jej nieboszczyka ojca! — odciął się p. Marcin. I jakby sobie coś w samą porę przypomniał, dodał z dobrotliwym uśmiechem: A zresztą i prawo ojca... chrzestnego! bom ja przecież z nieboszczką kasztelanową do chrztu ją trzymał.

— A — w takim razie!... wtrącił śmiejąc się proboszcz, ze znaczącym na pannę Gertrudę spojrzeniem...

— I owszem — dobrze — jeżeli pan tego chce... daję panu słowo że nie oddam Marylki do klasztoru, chybaby sama mnie o to prosiła...

— No, moja mościa! — uśmiechając się z zadowoleniem zawołał poczciwy szlachcic i ucałował rękę panny Gertrudy. — Ale nie męczże dziecka zanadto temi nabożeństwami i katechizowaniem! Dozwolisz jej się czemś zająć i śmietanką, masłem, konfiturami, kuchnią: przecież i tego powinna się nauczyć... Jak za mąż pójdzie moja mościa — to trzeba umieć...

— Ale owszem — owszem — byle zbyt wiele czasu na tem nie traciła.

— I na fortepianie pozwolisz jej czasem pobrzdąkać... przecież i święta Cecylja grała!... — ciągnął z coraz lepszą fantazją pan Marcin — (obejść...

— Ależ ja jej nie bronię... jeżeli się bez tego nie może)

— I książeczkę jaką przeczytać... wreszcie nie wszystkie świeckie książki trącą herezją...

— Nic nie mam przeciwko temu; [illegible] jej bibliotekę dostrzegłam tam wiele dzieł nieodpowiednich dla jej wieku... a co gorsza bezbożnych i umieszczonych na indeksie... ale jeżeli ksiądz proboszcz zechce przeglądać...

Proboszcz milczał.

— No, jakże? księże proboszczu!.. — zniżając głos do tonu serdecznej prośby zapytał p. Marcin. — Przecież to nie klasztor, na miłość boską! Zamęczycie ją na śmierć takim rygorem! Niechże się rozerwie biedactwo... moja chrzestna córka!

I zbliżywszy się do Marylki która zapłakane ocierała oczęta, ujął ją oburącz za główkę i pocałował wesoło.

Ona pochwyciła jego poczciwą rękę i głośny na niej złożyła całus zanim się spostrzegł.

Po twarzy ciotki przemknął jakiś wątpliwego znaczenia wyraz — niechęci, zgorszenia czy zazdrości.

132. — Eh, mościa! panno Marylko, co robisz! — No i cóż księże proboszczu! książeczki wolno czytać?

~~[illegible]~~

— Byłoby to z pożytkiem duchownym dla panny Marji gdyby przez czas jakiś wstrzymała się od czytania świeckich książek... jednak jeśli przypuścimy że czytanie to nie będzie odrywać jej myśli od ~~nauki~~ ~~najświętszych~~ zastanawiania się nad prawdami religji ~~[illegible]~~ i od pracy nad własnem udoskonaleniem .... to zrobiony stosowny wybór...

— A no, chwała Bogu, chwała Bogu... mościa!

Pan Marcin był uszczęśliwiony.

Marylka niezbyt jeszcze pojmowała szczerości zobowiązań ciotki i obawiała się czy nadane pod naciskiem okoliczności konstytucyjne swobody po odjeździe p. Marcina cofnione nie zostaną. Zadowolenie jej zresztą przez ten bezwiedny wyraz na twarzy opiekunki, na której przebyta scena jak mroźny jakiś wicher widoczne pozostawiła ślady spustoszenia. Twarz panny Gertrudy śmiertelna powlekła się bladością a nerwowe drganie ~~[illegible]~~ pod jednem okiem, od czasu do czasu migotające jak błyskawica, świadczyło że pod tą lodową powłoką oziębłości wre ukryta burza. — Na zapytania p. Marcina bezdźwięcznym głosem monosylabne dawała odpowiedzi, z każdego słowa wiało zimno polarne, wzrok nieruchomy utkwił się jak owe porcelanowe gałki w orbitach wypchanych zwierząt w muzeach zoologicznych. Wzrok taki w oczach żywego człowieka zawsze złą zawiera wróżbę: ~~[illegible]~~ dla niego lub dla tych na których spogląda. Czy Marylce zapowiadał odwet i prześladowanie czy tylko nieprzebłaganą obojętność i brak serca — nie mogła odgadnąć, ale ile razy padło na nią spojrzenie ciotki, tajemny dreszcz ją przejmował. Mimo całego poczucia słuszności swej sprawy, tak jej było w oczy jakby złego dopuściła się uczynku. Dopóki pognębioną się czuła i prześladowaną — niebrakło jej odwagi i śmiało patrzyła w oczy swej ciemiężycielce; teraz, wygrawszy sprawę, uczuła coś nakształt wyrzutów sumienia, spuszczała oczy pod wyrazem lodowatego spojrzenia ciotki. Zwykły to fenomen u ludzi dobrego serca iż wobec ~~[illegible]~~ najniesłuszniejszych nawet wyrzutów jakiej osoby dla której czują przywiązanie, bezsilnemi się czują — wiecznie prawie. Gnębieni — bunt podnoszą, zwyciężywszy — wstydzą się niekiedy podjęcia walki. — Zwycięstwo ich męczy, bo kochając zwyciężonych przepraszają się niemowiednie ich unosobieniem.

Tak było Marylce. Nadto przypominała sobie ową śmiertelną chorobę ciotki w następstwie moralnego wstrząśnienia jakiego doznała za ostatniej bytności Adama. Ogarnęła ją teraz obawa aby gwałtowna

129.

scena, która dziś była powodem, podobnych za sobą nie pociągnęła następstw. Z ~~[illegible]~~ wielką niż kiedykolwiek troskliwością śledziła każdy wyraz jej twarzy, każdy jej ruch i słowo. Wodziła za nią oczyma pragnąc uprzedzić każde jej życzenie. Z nieznanym przymileniem zbliżała się do niej, jakby onieśmielona jej surowością, starając się całym obejściem okazać jej uległość swoją i przywiązanie. Nieświadomy stanu rzeczy mógłby był pomyśleć że to jakaś swawolna pieszczotka obraziwszy najlepszą swoją mateczkę stara się ją teraz przebłagać i żałując swej pustoty wszelkich szuka sposobów aby odzyskać straconą jej łaskę.

— Byle się tylko ciocia nie rozchorowała! — myślało sobie ciągle poczciwe dziewczę — ach, ileżbym wtedy miała sobie do wyrzucenia!

~~[illegible]~~

Zauważała to jej zachowanie się panna Gertruda. Tłumaczyła je sobie wprost jako komedię odegraną wobec pana Marcina, celem przedstawienia się temuż w najlepszem świetle uległego i przywiązanego dziecka i zadania w ten sposób fałszu jej zarzutom.

Co innego myślał proboszcz i sprawiedliwiej oceniał tę zmianę w postępowaniu Maryli. Tłumaczył ją sobie jako objaw skruchy i jako chęć wynagrodzenia ciotce niezasłużonej przykrości. ~~[illegible]~~ Wiemy że od jakiegoś czasu ~~[illegible]~~ każdy postępek Marylki tłumaczył sobie na jej korzyść. Tak było i tym razem. Całą prawie winę przykrego zajścia przypisywał pannie Gertrudzie i niewczesnej jej pogróżce oddalenia Maryli do klasztoru. Żal miał do niej widoczny z tego powodu i kilkakrotnie surowe na nią rzucił spojrzenie. Wreszcie ukłonił się z zimną powagą — jakby urażony, i wyszedł.

Pan Marcin acz ~~[illegible]~~ nie zatrzymywany przez pannę Gertrudę, pozostał na obiedzie i tysiącznemi facecyjkami (i żartami) starał się rozwiać klasztorną atmosferę domu. Nie powiodło mu się to jednak wcale. —

Wstawszy od stołu, chcąc wprowadzić w czyn, koncesję uzyskaną co do fortepianu, prosił Marylki aby mu co zagrała. Ona jednak spojrzawszy na ciotkę, usiłowała się wymówić. Ciotka wtedy nie mówiąc ~~[illegible]~~ słowa przyniosła kluczyk od fortepianu i wyszła z pokoju. Pan Marcin nalegał ~~[illegible]~~ dopóki Marylka nie zagrała mu jakieś szopenowskie preludjum. Ach, jakże dobroczynnie działał na zdrażnione jej nerwy dźwięk tego instrumentu, z którym tyle wiązało się dla niej wspomnień!

Wstawszy od fortepianu, przystąpiła do poczciwego starca i pocałowała go w ramię.

— Czy dawno pan nie miałeś wiadomości od Adama? — zapytała z rumieńcem na licu.) — My od czasu jego wyjazdu nic o nim nie wiemy.... (I dodała znacząco:)

— Nic o nim nie wiecie?... Czy nie pisał?

— Może i pisał... odrzekła z smutnie figlarną minką Marylka.... ale ja nic nie wiem.

Pan Marcin pochwycił ją za obie rączki i spojrzał jej w oczy.

— Powiedz mi panno Marylko ... no, Mościa... powiedz twemu chrzestnemu ojcu: ty go..... lubisz?

— Pytam się o niego... odrzekła pokornie zawsze biedne zabki. — Czy to nie dość chrzestnemu Ojcu?...

— No Mościa .. powiedz-no prawdę: lubisz go?

— Bardzo!... Nie, nie, nie prawda — nie „lubię"...

I wyrwała drobne rączki z rąk pana Marcina — i twarz niemi zakryła. Ale całej twarzy zakryć niemi niemogła, a dość było panu Marcinowi widzieć jeden kącik — aby się domyśleć jakie na środku twarzy rumieńce kiedy w kąciku tak dużo.

— No, kiedy tak, — rzekł zadowolony — to będzie wszystko dobrze. Już ja w tem!

— Ciży pisał? —

— Pisał — pisał!... jakoś niewesoło odpowiedział p. Marcin na to powtórne zapytanie. — Ojciec jego ciągle chory, mocno chory... et! niedobrze z nim... a stary dziwak, oj, dziwak! No, ale jakoś to będzie!...

— Dziwak? czem dziwaczy? — zapytało dziewczę.

Wejście panny Gertrudy przerwało dalszą rozmowę.

Pożegnał się p. Marcin, obiecał wkrótce ponowić odwiedziny, — i odjechał.

Po jego odjeździe ciotka wcale milcząca — później wcale nawet już nieodpowiadała na zapytania Marylki. Siadła do pisania listów. Maryla wróciła do swego pokoju.

O zwykłej porze przywołano ją dla odprawienia z ciotką różańcowego nabożeństwa, potem niemówiąc ni słowa podała jej ciotka otwartą książkę Żywotów Skargi i palcem wskazała miejsce gdzie ma czytać. Maryla we wszystkiem była posłuszna.

Udając się na spoczynek, chciała jak zwykle ucałować rękę ciotki. Panna Gertruda dłoń swoją usunęła niecierpliwie.

— Niech mi ciocia przebaczy! — to było nad moje siły!.. rzekła Marylka usiłując po raz wtóry ucałować jej rękę.

Wyrwała jej rękę gwałtownie i spojrzawszy na nią jak na obcą osobę wyszła do swego pokoju. Drzwi skwapliwie zamknęła za sobą i obróciła kluczem w zamku.

Maryla podumała przez chwilę przed zamkniętemi drzwiami, potem poszła do siebie. —

— — — — — — —

Adam wróciwszy do domu zastał ojca w bardzo złym stanie.

Choroba na którą od lat wielu cierpiał stary Liwicz, a na którą medycyna do dziś dnia nie zna skutecznego lekarstwa <u>artritis</u> — wzmagała się z wiekiem a każda zima przyprawiała go o cierpienia wieczniejsze a grożące niebezpieczeństwem życia. Środki heroiczne któremi lekarze uśmierzali dotąd najgwałtowniejsze napady bólów, niewystarczały już w zwykłych dawane dozach, trzeba je było podwajać, potrajać a działo się to tylko kosztem z widocznym uszczerbkiem sił żywotnych chorego. Zapuszczanie preparatów morfinowych za skórę, koiło chwilowo boleści ale rozstrajało coraz bardziej system nerwowy pacjenta a jego zgryźliwe usposobienie któremu i w stanie zdrowia niekiedy ulegał wzrastało w zastraszający sposób. Goryczą tchnęły wszelkie jego słowa, z każdej myśli przebijała gorycz serdeczna a chwilowe porywy gniewu mięszały się na przemian to [illegible] z zupełną obojętnością i apatją, to znów z zaciętością uporu z którą tłumiąc w sobie [illegible] wewnętrzne cierpienie, milczał i z zaciśniętemi zębami siedział po dniach całych w [illegible] krześle patrzał na otaczających go ludzi takiemi oczyma jakby świat cały zaludniony był śmiertelnemi jego wrogami.

Boleśnym był zaiste obowiązkiem synowskim Adama spędzać dnie całe i tygodnie przy chorym ojcu bez nadziei sprawienia mu ulgi swem staraniem, bez nadziei nawet usłyszenia z jego [illegible] ust choćby jednego wyrazu uznania. Pamiętał on ojca w lepszych dniach, żywo czuł ile mu winien wdzięczności — więc patrzał na rodzica [illegible] takiem wzruszeniem jakby choroba nie zmieniła go wcale w innego człowieka, jakby to był zawsze jeszcze ów mąż niezłomnego hartu duszy i poświęcenia bez granic który kierował pierwszemi krokami jego dzieciństwa, jakby to serce nieustraszone (nie kierowało się teraz [illegible] niesprawiedliwą nigdy w żadnej ostatecznej sprawie goryczą do świata i ludzi, egoistycznym jakimś uporem w drobiazgach życia, despotyzmem kaprysu miasto żelaznej woli i stałości w zamiarach. Trzeźwość poglądów którym niegdyś celował wyzwolony od wszelkich zastarzałych uprzedzeń umysł p. Liwicza, zmieniła się teraz w manję przeczenia wszystkiemu, sprzeciwiania się wszystkiemu, w wieczną bezprzyczynną i uporczywą przekorę wobec wszystkiego i wszystkich w pełnej paradoksów sofisteryi chorej duszy.

Albo milczał zawzięcie, nieodpowiadając po całych dniach na pytania, nie ruszając się z miejsca, zaciskając tylko pięści w chwilach najcięższego bólu, albo bryzgał piekącym sarkazmem, unosił się i wpadał w niepohamowany gniew. Po użyciu morfiny zaś zapadał w stan półsenny, [illegible] w bezwładność i drzemkę do agonji podobną.

W tym stanie rzeczy niepodobnem było dla Adama pomówić z Ojcem o swej sprawie sercowej. O zamiarach swoich nigdy on z nim przedtem wyraźnie nie mówił. Wiedział stary Liwocza że syn po całych tygodniach przebywa w domu p. Marcina, brata swej matki i że ztamtąd jeździ często do p. Seweryna, i wszystko mu tego nie ganił ale owszem szczerze rad był temu: pana Marcina, szwagra swego cenił on jako zacnego obywatela i zawołanego gospodarza a z p. Sewerynem od lat młodzieńczych najserdeczniejszą był związany przyjaźnią.

Ile razy Adam wyjeżdżał do stolicy, a działo się to kilka razy do roku, zawsze nie omieszkał powiedzieć mu Ojciec na wsiadanem:

— A wstąpisz pewnie do wuja, — pojedź-że z nim do Seweryna... uściskaj-że go serdecznie odemnie. Ha, ha, cóżbym dał za to żebym sam mógł pojechać do niego!... Kochaj go chłopcze, kochaj i szanuj... to czas niestracony co u niego spędzisz, — więcej się nauczysz w rozmowie z nim niż z książek twoich. Mnie już niedługo się umrzeć w trzech moich Fortunach: — jak mnie nie stanie na świecie, to miej ty dla niego — to synowskie uczucie jakie masz dla mnie! Ufaj mu jak mnie i radź go się we wszystkiem.

Ile razy jednak wspomniał Adam o Marylce, ojciec zasępiał czoło i z dziwnym chłodem słuchał jej pochwał a jakby nie zwracając nawet na nie uwagi, zatopiony w myślach urywał zwykle rozmowę stereotypowym wykrzyknikiem:

— Nieodżałowana szkoda że on nie ma syna!

Raz tylko jakby go uderzył niezwykły zapał Adama z jakim mówił o Marylce, odezwał się jakby sam do siebie:

— Piękna?- ha, wierzę... wierzę!... panna Dwierska ... panna Dwierska...

Szczególniejszy akcent z jakim to nazwisko wymówił - niezrozumiałym był dla Adama. Surowa twarz jednak ojca ilekroć o niej wspomniał, odstraszała zawsze Adama od wyjawienia swoich uczuć które za każdą bytnością w domu p. Seweryna coraz żywszym buchały mu w sercu płomieniem.

Uważał to zrazu Adam za rzecz nagłą zwierzyć się ojcu ze swych zamiarów. Wszak znając przyjaźń jego dla ojca Marylki, nie mógł wątpić iż nic nie wzbudzi miał do zarzucenia panienko zwłaszcza tak pod każdym względem

137

odpowiedniemu. Pozwolenia jego był pewien. —

Obojętność ojca wobec głoszonych z takim entuzjazmem porywów Marylki, umiał sobie w części Adam wytłumaczyć, znał on bowiem jego sposób zapatrywania się na kwestię małżeństwa i na kobiety. — Był to jedyny punkt w którym opinie ich dyametralnie sobie były przeciwne.

Stary Lisowca mimo postępowych swoich pod każdym innym względem zapatrywań, był w tej kwestyi nietylko człowiekiem zacofanym ale poniekąd barbarzyńskich nawet wyobrażeń: kobietę uważał on za istotę o tyle niższą od mężczyzny, o ile niższem duchowo jest dziecko od dojrzałego męża, albo ~~jaki~~ mieszkaniec jakiej wyspy na cichym oceanie od europejczyka. — Siła charakteru była u niego jedyną miarą, którą mierzył wartość człowieka, a kobieta jako „dożywotnie dziecko" — w jego przekonaniu nader nizki na tej ~~[illegible]~~ skali zajmowała szczebel.

— Tak! kobieta — to dziecko! — mawiał on, — ale nie dziecko w normalnym rozwoju, ~~[illegible]~~ któreby zwolna dojrzewało na człowieka... Kobieta to dziecko zepsute przez demoralizatorkę — naturę. Ona do takiego dziecka podobna, w którem by jaki niegodziwiec zniweczył dzieciństwo niewczesnem rozbudzeniem żądz dojrzałego człowieka...

Zdania te ~~[illegible]~~ w rażącej będące dyzharmonii z ~~[illegible]~~ kierunkiem życia i wyobrażeń starego Lisowcy, raziły ~~[illegible]~~ Adama tak niemile jak zgrzyt noża po szybie szklanej. Nie odpowiadał nic na nie, owszem unikał w rozmowie kwestyi stojących z niemi w związku.

Tem też trudniej było mu teraz wobec chorobliwego usposobienia ojca, ~~[illegible]~~ objawić mu swoje zamiary, wiedział bowiem iż wywoła tem dyskusyę, której ojciec nigdy bez pewnej irytacyi prowadzić nie umiał.

Czekał tedy i czekał dni długo na chwilę sposobną. — Kilka dni polepszenia w zdrowiu ojca i swobodniejszy tegoż humor, pozwoliły mu wreszcie mniemać że pożądana chwila nadeszła.

W starożytnem poręczowem krześle rozparty siedział stary Siwocza. Przed nim na marmurowym stoliku szachownica z ustawionemi do rozpoczęcia ~~partji~~ gry figurami. Starzec drżącą ręką trzymał rozłożoną jakąś gazetę; czytając miął ją w palcach i od czasu do czasu sykał szyderczym, dziwnym jakimś tonem w oznakę niezadowolenia z wyczytanych wiadomości.

Naprzeciw niego z podpartą na ~~łokciu~~ lewą ręką głową siedział zadumany Adam. W drugiej ręce trzymał jakąś figurę szachową i bezwiednie ~~obracał~~ bawiąc się ~~nią~~ obracał to w tę to w ową stronę, ~~przypatrując~~ z wlepionemi w nią oczyma. Myśli jego jednak były daleko... Myślał o Marylce i zamierzonej z Ojcem rozmowie.

Starzec dokończył czytania, zmiął gazetę jeszcze bardziej i rzucił na ziemię. Wyciągnął rękę naprzód i spojrzawszy na Adama wysunął pionka królowej o dwa pola.

Adam zatopiony w marzeniu bawił się ciągle ~~[illegible]~~ laufrem i ani się ruszył.

Stary sykał znowu zniecierpliwiony, patrzał na Adama badawczym wzrokiem i czekał.

~~Trwało~~ To sporą chwilę. Cicho było — tylko jednostajny wahadłowy ruch ściennego zegara przerywał tę ciszę.

Nawpół z lubością, nawpół gniewnie patrzał starzec na syna, śledząc przelotne zmarszczki które jawiły się i znikały na jego czole. Widocznie radby był odgadł jego myśli. Różne nasuwały mu się przypuszczenia — i w miarę tychże ~~wyrazista~~ twarz jego to jaśniała ~~[illegible]~~ dumą ojcowską, to zasępiała się znowu. Machnął wreszcie ręką zgryźliwie i zaczął bębnić palcami po stole.

Niecierpliwił się, ale nie przerywał synowskiej mrzonki, jakby szukał powodu do tem ~~większego~~ dłuższego potem zrzędzenia.

— Hej! — zawołał wkońcu — hej! Adamie!

Adam się ocknął jakby ze snu zbudzony.

— Nie widzisz, nie słyszysz... śpisz na jawie, zakochany jesteś? czy co u djabła?

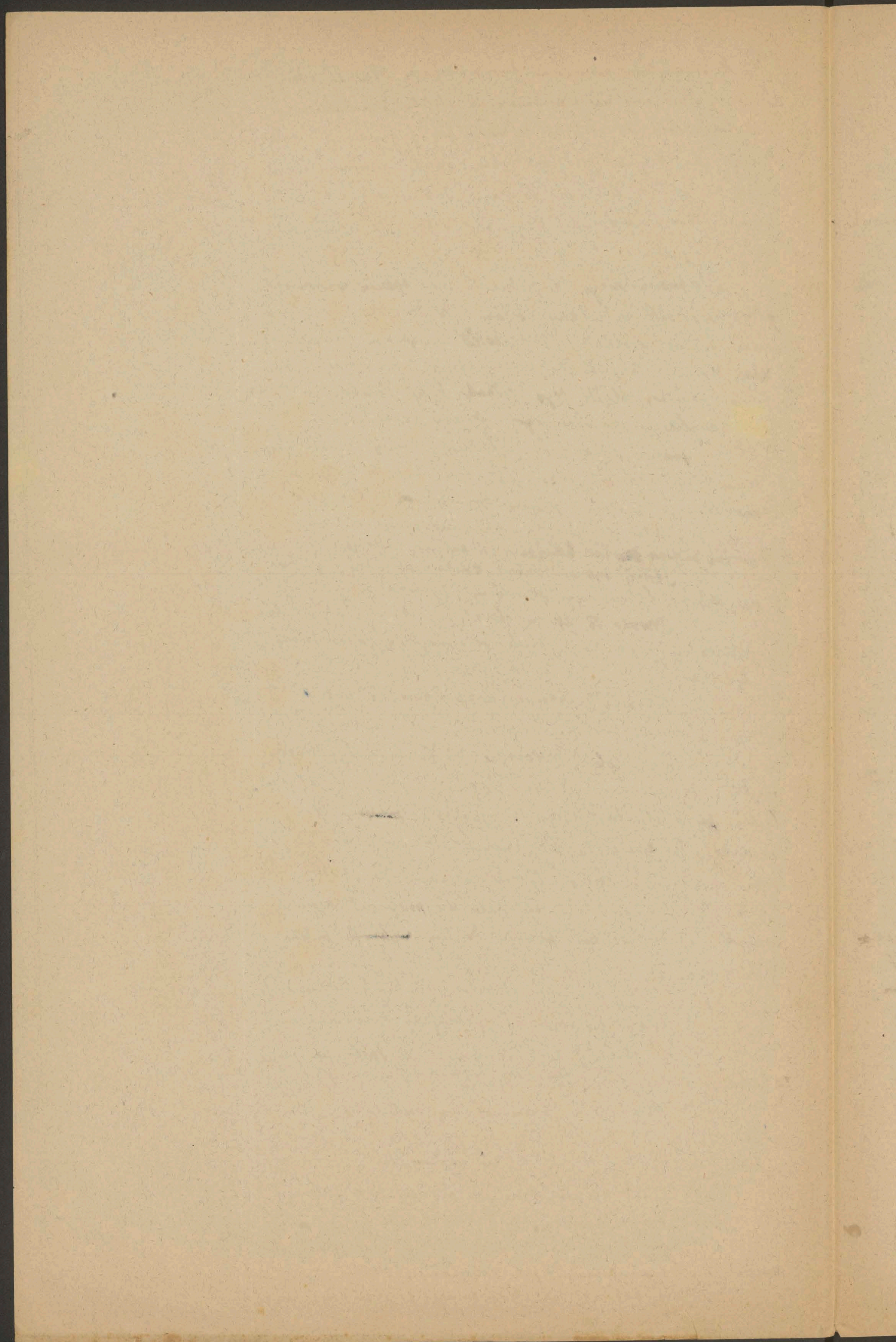
Rumieniec przemknął po śniadej twarzy młodzieńca.

— O czemże tak się zadumałeś?..

— O niczem Ojcze, — odrzekł zakłopotany i wysunął swego pionka.

— O niczem? Sądziłem że zawsze o czemś myślisz... Bezprzytomny, jak zakochany!

I zaśmiał się stary mniej gorzkim niż zwykle



139 uśmiechem. – Oj, chłopcze! chłopcze! – dodał tonem dobrotliwej nagany.

Adam nabrał odwagi. Od kilku tygodni głos ojca nie zabrzmiał mu tak miłościwym dźwiękiem.

— A gdybym istotnie był zakochany? – cobyś Ojciec powiedział?

Stary wysuwając laufra zatrzymał się wpół ruchu i spojrzał bystro na syna.

— Ty?... chacha! to wyborne! cóżbym miał powiedzieć?... Powiedziałbym że się wcale nie dziwię, bo to choroba twego wieku którą koniecznie przebyć trzeba... i to zwykle razy kilka. To całkiem naturalne...

Adam zamilkł. Kilka posunięć dość szybko zrobili obaj gracze. Starzec jednak snuł dalej zaczęty wątek swej myśli.

— Powiedziałbym... że i ty zapewne nie pierwszy już więcej tę chorobę przebywasz...

— O nie, ojcze... to raz pierwszy... A po chwili dodał Adam z szumnym akcentem jak to zwykli czynić ludzie obawiający się aby ich nie poczytano za zapaleńców: To raz pierwszy i zapewne po raz ostatni...

— Oho, oho!... a to co? Nie poznaję cię. Marzycielem chwała Bogu dotąd nie byłeś. To coś choroba na serjo!

— Na serjo Ojcze i nieuleczalna.

— Aa! aż tak! – zaśmiał się stary szyderczo. I dodał z ironiczną emfazą: Czas zagoi te rany!

Nadaremnie starał się Adam stłumić w sobie przykre uczucie które ten żart w nim wywołał. Stary zabrał mu pionka konikiem i zaszachował królowę.

— No, no... miej rozum chłopcze, miej rozum! Widzę żeś się wplątał w jakiś niedorzeczny romans. Miej rozum i pamiętaj na następstwa... Jak cię się kobieta uczepi nie będziesz się jej potem mógł pozbyć.

— Pozbyć się?... rzekł Adam usuwając królowę z pod szachu, – ja jej się pozbyć nie chcę całe życie... To nie romans ojcze... to miłość prawdziwa i rozumna!... ja tę którą kocham, chciałbym nazwać żoną...

— Oszalałeś! – wrzasnął starzec i gwałtownym ruchem oparłszy ręce o kant stołu odsunął się z fotelem. – Oszalałeś chyba? pocóż tobie się żenić?

— Przecież to nie szaleństwo, ojcze!

— Szaleństwo! – zawołał starzec cały siny z przekonania. – Szaleństwo! i jeszcze raz szaleństwo!... Dać wiązać sobie ręce i wyzbyć się najdroższego skarbu jaki mężczyzna mieć może – swobody!... Czyż to nie szaleństwo zrobić krok którego cofnąć już potem niemożna?... Ulec chwilowemu zachceniu aby potem całe życie pokutować?.. Va banque

to zawsze szaleństwo, a tem większe jeśli się szczęście całego życia stawi na kartę! całą przyszłość dla przelotnej fantazji!... Ożenić się – to łatwo, to każdy głupiec potrafi... ale potem żal niewczesny .... miodowe miesiące szybko przeminą!... Czyż ty nie wiesz co to miłość? miłość to gorączka, a gorączka długo trwać nie może!... I cóż potem zrobisz z kobietą która przestała kochać? Przestałeś kochać, wstrętną ci się stanie a żyć z nią będziesz musiał – całe życie! – pod jednym dachem!... to piekło!... Będzie ci siedzieć na karku i mizdrzyć się do ciebie kobiecym zwyczajem – choć także ci dawno kochać już przestanie ... a ty będziesz domu musiał pilnować jak brytan dniem i nocą, bez chwili odpoczynku.... i trawić się wciąż niepokojem i obawą o twój honor powierzony [illegible] istocie na której nigdy liczyć nie możesz... w niczem!... w niczem! choćby cię nawet kochała – bo jutro może pokochać ~~[illegible]~~ kogo innego!... bo nigdy nie wie sama czego chce i ~~[illegible]~~ nikomu oprzeć się nie zdoła byle kto wiedział jak do niej zagadać!... A swoim ~~[illegible]~~ nerwowym pożądliwościom zmiennym jak pogoda marcowa – to już pewno zawsze ulegnie...

— Ojcze! Ojcze! – przerwał mu Adam takim akcentem grozy jakby bluźniącego chciał przywieść do opamiętania.

— I ty! ty! — mówił dalej stary Siwoca zapalając się coraz bardziej, – ty, z twoimi daleko sięgającemi zamiarami, z zamierzonemi pracami naukowemi któremi świat chciałeś przekształcić! z tem staroszlacheckiem poczuciem obowiązków obywatelskich, które ci od dziecka starałem się w sercu zaszczepić – ty, zdolny byłbyś wpakować się w taką matnię bez wyjścia, ocalenia? wszystko, zamiary twoje, nadzieje, przyszłość, obowiązki najświętsze – wszystko poświęcić dla karesów jakiejś kobiety!... Za tę zdawkową monetę, o którą tak łatwo na świecie, poświęcić wszystkie bogactwa wiedzy i ~~[illegible]~~ serca, i zdolności twoje i zamysły święte... to nie do uwierzenia! to już chyba szaleństwo!

— Ależ ojcze, czemużbym miał się tego wszystkiego wyrzekać?... Czem się będę czuł szczęśliwszym, z tem większą energią będę zdolnym ~~[illegible]~~ oddać się pozytywnej pracy.

— Będziesz zdolnym?... chachacha! — z gorzką ironią zaśmiał się starzec. — Powiedziałem ci czym byś się stał: brytanem własnego domu!... brytanem! stróżem! niczem więcej!... Albo pieskiem pokojowym twojej pani!...

Gorączkowym zapałem zaczerwieniła się ~~zapadła~~ pożółkła cera chorego. Rumieniec wystąpił także na twarz młodzieńca: był to rumieniec wstydu. Adam wstydził się za egoizm swego ojca. —

— Ojcze! — rzekł nagle, — przecież i ojciec się ożenił a ja choć matki mej nie pamiętam, to wiem że ci co ją znali z najczulszą czcią o niej wspominają.

— Nie mów o twojej matce — przerwał mu ojciec surowo. — Poczciwa to była kobieta — mało takich... a we mnie zakochana pierwszem uczuciem dziewczęcia... Nie zakochana, ale zaślepiona miłością. Umarła w rok po ślubie, wkrótce po twoim urodzeniu... Ale gdyby żyła do dziś dnia? któż zaręczy czyby to przywiązanie przetrwało tyle lat?

— I ojciec żenił się wątpiąc o tem? i z temi ~~[illegible]~~ co dziś przekonaniami? — zawołał Adam prawie z oburzeniem.

— Z temi co dziś... tak jest! Z tem przekonaniem że żenić się — to szaleństwo. I powiem ci więcej: ożeniłem się z twoją matką nie kochając jej wcale — a z sercem rozdartem, zranionem inną miłością... nieszczęśliwą szaloną, taką! najszaleńszą wśród... A wiesz czemu to uczyniłem? Oto dlatego że żyli moi rodzice i trzeba było ratować zrujnowany majątek. Zaklęli mnie na obowiązek i przywiązanie synowskie — abym spełnił dla nich tę ofiarę — i spełniłem. I (nie dała twoja ~~matka~~ nieboszczka matka najmniejszego powodu) przez ciąg naszego krótkiego pożycia abym choć na chwilę tego żałował. † — [illegible] miałem za młodu tak jak ty szerokie i dalekie plany a do ich ~~spełn~~ dopięcia potrzebny mi był majątek i to znacznego majątku. Inaczej byłbym był zmuszony zakopać się na wsi i przykuć do ~~[illegible]~~ pługa ~~na~~ całe życie. Ożeniłem się zatem — twoja matka miała znaczny posag. ‡... Nie zostawię ci tego majątku ani dziesiątej części — ale zostawię ci imię dobrego obywatela i ~~tradycji~~ pamięć bezowocnych ale szlachetnych usiłowań które nadszarpnęły ten majątek... Czy mi to za złe masz synu?

Adam ~~upomniany~~ ~~ciągle~~ miotany uczuciami, teraz ze czcią ucałował rękę ojcowską.

— Gdybyś mi nic nie zostawił ojcze, prócz tych uczuć i pragnień które zaszczepiłeś w mem sercu i tych celów dalekich które ~~mnie~~ nauczyłeś ukochać — byłbym tobie winien wszystko czem jestem i czem się stanę. Nauczyłeś mnie patrzeć na świat trzeźwo, pracować i wytrwać — a to najpiękniejsze bogactwo jakie dać komu można.

Wyciągnął pan Lisowiecki drżące ramiona ku synowi i przycisnąwszy jego głowę do piersi ucałował go wreszcie z rozrzewnieniem.

† W oczy mi patrzyła aby odgadnąć ~~moje~~ każde moje życzenie, każdą myśl, każde zachcenie i spełnić. Entuzjastka odgadywała jakie cele wytknąłem sobie w życiu... zamiast mi mieć za złe że zajęty pracą, zatopiony w myślach, ledwo spojrzę na nią — uwielbiała mnie za to... Taki byłem jak ty dziś...

‡ Dla posagu się ożeniłem ... rozumiesz mnie! a nie dla dogodzenia zmysłów... i dumny jestem z tego. Dla majątku! bo ten majątek był bronią w moim ręku i bronią ~~[illegible]~~ której używałem wciąż dla idei... dla mojej jedynej kochanki! nieśmiertelnej! Zadumał się starzec i dodał po chwili:

— Ale te ~~same~~ skarby ojcze drogi którymi mnie obdarzyłeś, chciałbym kiedyś przekazać mojemu synowi...

— A! a! — zawołał z goryczą starzec, ~~marszcząc~~ fałdzyste porane zmarszczkami czoło, — wracasz do tego tematu i do ożenku!... Czy myślisz że to rozkosz taka wielka (ojcostwo?...) Słyszeć po całych dniach ten krzyk dzieci w kołyskach... i przywiązać się do nich i kłopotać i niepokoić za każdem ich kaszlnięciem jakby losy świata zależały od ich życia? A jak się dochowasz potem idjotów, płaskiego osła, nikczemnego durnia a może łotrów który nazwisko twoje szargać będą w rynsztokach świata?..† Powiesz mi o dziedziczności szlachetnych popędów? No, dobrze, jest w tem może coś prawdy, ale pod przemożnemi wpływami dzisiejszego społeczeństwa kastowacieją te popędy dziewięćdziesiąt razy na sto... I kogo się dochowasz wreszcie? Ludzi może wręcz ~~przeciwnych~~ tobie przekonań, dyametralnie przeciwnych zasad i kierunku, który szydzić będą z tego co tobie święte, burzyć to coś ty budował!..

† Piękne widoki! obiecne nadzieje! zachęcające do spróbowania rozkoszy ojcostwa!

— Przecież tak nie zawsze mój ojcze!

— Nie zawsze ale prawie zawsze! A ~~gdyby~~ jeśli komu się uda nawet ujść tej fatalności — to czyż ty myślisz że takie przywiązanie do jednostki wielkie daje szczęście? Wielkie szczęście zbudowane na ~~życiu jednostki~~ takim gruncie. Takie zasklepienie ~~[illegible]~~ egoistyczne serca ~~[illegible]~~ w familijnych uczuciach dziać się może tylko z uszczerbkiem ~~[illegible]~~ przywiązania naszego do wielkich i szlachetniejszych celów, z uszczerbkiem obowiązków naszych wobec społeczeństwa i ludzkości.

— Nie, ojcze! Tyś sam całem życiem twoim dał dowód że tak nie jest. — A zresztą (wszakże) egoizmu nikt się ~~[illegible]~~ do szczętu wyzuć nie potrafi. Człowiek nie jest maszyną z żelaza pracującą dla dobra drugich, ale zawsze pozostanie istotą z krwi i kości, potrzebującą własnym zadość uczynić pragnieniom aby mogła żyć i działać! Maszyna (nawet żelazna) ~~potrzebuje~~ potrzebuje oliwy, bo inaczejby tryby jej zardzewiały i porwały się koła. A człowiek aby żył i pracował dla wyższych niesamolubnych celów, potrzebuje odrobinę osobistego szczęścia. — ~~[illegible]~~

— Niechże go tam szuka gdzie je znaleźć można a nie w dogodzeniu zachciankom... ~~[illegible]~~...

— Czyż jest gdzie większe szczęście jak w kole kochającej rodziny, gdzie wszyscy jednem oddychają (pragnieniem) (wspólnego szczęścia) i wspólną (życia) niedolą! ~~[illegible]~~...

— Ideały niedoścignione! ubóstwiane mrzonki! Inaczej w życiu bywa.

— A tobie Ojcze kochany, czyż nie smutno ~~[illegible]~~ starości

143.

w takiem osamotnieniu! Ile razy stąd odjeżdżam, nie uwierzysz
ojcze jak mi przykro, jak boleśnie ta myśl że cię zostawiam na
łasce sług,
samego w twej chorobie, cierpieniu, tysiącznych dolegliwościach,
zniechęconego do życia, bez troskliwej opieki jakiego kochającego serca,
przywiązanego do lichej mitośnią, przyjaźnią, wspomnieniami
młodości i długoletniego pożycia!... Gdyby matka moja
żyła, nie byłoby ci inaczej?

— Inaczej... ha, być może... ale czy lepiej?... Obchodzę
się bez opieki: Na tych dni niewiele co mi jeszcze cierpieć przyjdzie,
wystarczę sam sobie...
I zacisnął usta z uporem. Rysy jego zmroziły się chłodem. Nieruchomy. †
— A gdybyś miał przy sobie ojcze... kochającą córkę...
— zapytał Adam głosem w którym serdeczne drżało wzruszenie...
Przerwał mu starzec niecierpliwie:

— Na szczęście niemam tego kłopotu. Tegoby mi jeszcze
potrzeba! Strzedz i pilnować... aby mi domu nie zhańbiła... cha,
cha! to przyjemność!... Ale ja wiem o jakiej ty córce mówisz!
O przybranej córce — synowej — któraby niecierpliwie czekała
które oczy zawrę na wieki?... Nie chcę córki! wiedząc i
jeśli byś się ożenił — to mi już ty nieprzywoź! rozumiesz!...
...Córki?... czy nie dość mi syna, który mi tyle zgryzoty sprawia!...
Boleśnie ścisnęło się serce Adama. Już miał ~~gadki~~
jakieś słowa odpowiedzi na ustach, wstrzymał się jednak
hamując wybuch tej goryczy która przejmowała go coraz.
~~wstawszy~~. Bojąc się ubliżyć ojcu, wstał i zabierał się do odejścia.

— Nie odchodź! — wstrzymał go starzec, mieniąc się na
twarzy od gniewu. — Cóż to, czy nawet już i słuchać mnie
nie raczysz?...

— Słucham ojcze, — rzekł Adam jak mógł
najspokojniej, — ale mi nazbyt boleśnie zarzuty twoje — bo
czuję żem nie zawinił wobec ciebie brakiem przywiązania.

— Nie o to idzie! — opryskliwie ofuknął starzec —
Co mi z twego przywiązania? To takie romanse! —
Mężczyzna o tem chciałbyś mnie i niecierpiał! Nie o to się
starałem w twem wychowaniu abyś miał do mnie
przywiązanie ale abyś był człowiekiem w całem znaczeniu
tego słowa, abyś był obywatelem godnym swego kraju i epoki!
i wyższym nad swoją epokę!... Łudziłem się, patrząc
na ciebie w ostatnich latach — łudziłem się że staniesz się
takim jakim ci być chcę... I ta nadzieja prysła jak
bańka mydlana!

— Czemu ojcze? cóż takiego uczyniłem?

— Podwójnych ludzi nie lubię. __Homo duplex.__
I Bogu i djabłu świeczka! — Bądź przynajmniej samym sobą!
Miej odwagę przyznać się przed samym sobą kim jesteś! Jeżeliś
egoistą, to bądź cynikiem a nie hipokrytą! Jeśli u ciebie
głos zmysłów przeważa nad głosem powołania... ~~To samo~~ nadzieję
rozkosznego żywota na łonie jakiejś kobiety — nad twardem życiem
obowiązku i obywatelskiej służby — to wyznaj otwarcie i
powiedz: co mi tam świat cały! mnie milsza moja Stefcia, Marja,
Franusia czy tam jak!... Dwom panom służyć niemożna! Czemuż

† blady, z oczyma jakby utkwionemi w jakiś punkt odległy — wyglądał jak posąg marmurowy.

mi pleciesz brednie o żelaznej maszynie która potrzebuje oliwy, o starości która potrzebuje opieki? i czort wie co jeszcze!... Jeśli takim jesteś jakim cię mieć chciałem... jakim cię sam uczyniłem...

— Jestem ~~[illegible]~~ takim jako mówię i nigdy się innym okazywać nie chcę.

— ...To ci nie potrzeba będzie opieki na starość! — odezwał się Liwocza ~~[illegible]~~ uroczystym a surowym tonem... Ludzie tacy niezmordowani i przekonani nie doczekają się starości!... I ja a i ja doczekać nie życzę! ~~[illegible]~~ Obyś i ty nie doczekał — dodał miękkim tonem, pełnym serdecznego czucia — obyś legł wśród zawodu życia, ~~[illegible]~~ pełen sił... Tego losu ci nie życzę...

Umilkli obaj. Rozgrzało się znowu serce Adama na te dawne słowa ojcowskie — żyjące mu krótkiego życia w złotem milczeniem wyrzeczone uczucie.

— Nie moja wina — rzekł starzec po chwili ociężale — nie moja wina że dotąd żyję. Wiesz dobrze ~~[illegible]~~ — nie moja wina że ~~[illegible]~~ burzy żem nie siedział za piecem ~~[illegible]~~ nie uciekał od niebezpieczeństw i zdarzeń... Wiele zniosłem, ale starość znieść najciężej. Każdy dzień cierpień, każda chwila torturą.... Podaj mi morfiny. ... Ale to już niedługo ~~[illegible]~~... Przyjdzie ~~sen~~ twardszy od morfinowego i lepszy, bo bez marzeń i bez przebudzenia. ...Podajże mi tymczasem morfiny.

Podał Adam ojcu lekarstwo. Łzy miał w oczach i wyszedł.

— — — — — — — — — —

W kilka dni później zastajemy znowu Ojca z synem przy szachach. Adam ~~[illegible]~~ był smutny i ~~[illegible]~~ twarz mu pobladła. Stary Liwocza od czasu do czasu stroskanym na niego spoglądał wzrokiem. Niekiedy nerwowo zadrgały mu ~~[illegible]~~ usta i pofałdowało się czoło, ale ton jego mowy ~~był~~ niezwykłą brzmiał łagodnością i słodyczą.

Adam przysunął ojcowski fotel do stolika i sam usiadł naprzeciwko, wyjmując szachy z pudełka.

— Tylko nie zaczynaj znów rozmowy o żeniaczce — rzekł stary, — bo znowu byśmy nie dokończyli partji.

— Nie ojcze, już o tem nie wspomnę...

— Ale myślisz o tem bezwiednie?..

Adam uśmiechnął się smutnie

— Widzę z twej twarzy żeś o tem ~~[illegible]~~ jeszcze niezapomniał...

145.

Znowu ten sam uśmiech.

— Któż ojcze o tem zapomnieć zdoła czego pragnie całą siłą uczucia?... jakżebym mógł o szczęściu zapomnieć!...

— O szczęściu? o namiętności powiedz chyba. Jakżebyś mógł? Powiedz raczej: jakżebym mógł żądze moje poskromić. Dawnoż ty już o tem głupstwie myślisz?

— Lata.

— Już od trzech lat!.. I rozmyślasz się dotąd, jeszcze nie ożeniłeś? To dziwna! No żeń się, żeń - spiesz się, dopóki cię chęć nie odbiegnie od kamerdynerskiej służby w podwiki, u jakiejś jezuickiej!

Adam utkwił oczy, boleśnie tłumiąc uczucie

— Dziś ojcze zacznę, - rzekł, mówiąc o wyparciu partji. Stary zrozumiał że te słowa odnoszą się do przedmiotu rozmowy. - i odparł:

— Bo widzę że od tylu dni o tem tylko myślisz... Żeń się, żeń, ja wiem dobrze że rozumowaniem nikt jeszcze nierozważnego szalonego do rozumu doprowadzić. Żeń się, kiedy ci zbrzydła swoboda.

— Bez zezwolenia ojca nie ożenię się..

— Mego zezwolenia? A to na co? Nie chowałem cię na mego niewolnika, ale na człowieka samodzielnej woli. Jesteś pełnoletnim. Rady mojej słuchaj wszechmocnej to się żeń! Dowód eksperyment który tylu już gorzkiem skutkiem doświadczeniem. Widzę żeś już zgubiony; przepadłeś dla wielkich celów życia, niezdolny do poświęceń i twardej walki, będziesz wodził na pasku kobietę ... albo ona ciebie wodzić będzie.... Żeń się.

— Nie ożenię się bez błogosławieństwa ojca.

— Co? chacha! cóż to znowu za dziwne jakieś poetyczne reminiscencje średniowieczczyzny! Chcesz żebym ci błogosławił? Co to znaczy? Czy to ma znaczyć, że chcesz abym ci życzył powodzenia? Wiesz dobrze że twego szczęścia pragnął nieprzestannie choćbyś postąpił wbrew moim radom!... Czy chcesz może abym ci powiedział że się twoje zamysły matrymonialne zgadzają z moją wolą? Gdybym nawet skłamał dla dogodzenia twemu żądaniu, tobyś mi nie uwierzył, bo wiesz dobrze że tak nie jest. — Chachacha! Czy może o dopełnienie ceremonjału ci idzie, abym ręce złożył na twojej głowie: „in nomine patris et filii et caetera?.. dobrze, dobrze! wyrecytuję ci całą formułę dla twej satysfakcji i zaspokojenia... Wszystko zrobię, tylko mi już daj spokój. Żeń się z kim chcesz; ile razy chcesz - byłem już o tem więcej nie myślał przed śmiercią!

— Nie o ceremonjał mi idzie ojcze, ale o to abym

146.

czyniąc zadość mojej woli, z twoją nie stanął w sprzeczności i serca twego nie straciś.

— ~~Serca mego nie straciś~~ ... ~~jak cię dotąd kochałem ... zbledną nadzieje które w tobie pokładał. Rób jak chcesz~~. Mojej woli narzucać ci nie będę: mówiłem ci tyle już razy (żeś pełnoletni i) żem cię nie wychowywał na niewolnika.

— Ależ ojcze drogi, przecież nie upadaję ci wcale moralnie który cię zmienia! Chcąc się ożenić nieurzędownie się przecież z pod prawa moralnego które uznaje wszyscy w cywilizowanem społeczeństwie!...

— Jam sądził że Ty potrafisz wytłumaczyć się! jam sądził żeś Ty nie taki jak wszyscy!...

— Czyż instytucja małżeństwa nie jest instytucją moralną? ~~konieczną~~ niezbędną w społeczeństwie? czyż nie jest podwaliną postępu i cywilizacji?

— Oh pewnie że nią nie jest w dzisiejszej swojej formie! Ty wiesz sam że nią nie jest!

— Być może ojcze, że wymaga radykalnej reformy, zgodnej z duchem dzisiejszego wieku i z naturą człowieka... ale jakąkolwiek by ta reforma być miała, nie rychło jej się doczekamy, a w każdym razie racjonalna instytucja przyszłości bliższą będzie dzisiejszego małżeństwa europejskiego ~~ani celibatu amerykańskich Shakerów lub~~ niż wielożeństwa Mormonów lub jednodniowego związku dzikich plemion...

— Dajmy temu pokój! Rozprawiam jak człowiek w gorączce. Któż zgadnie co przyszłość przyniesie! Pamiętaj co jest dziś. Dzisiejsze nierozerwalne związki nakładają pęta i krępują człowieka na całe życie, nie dozwalając mu być prawdziwie wolnym bojownikiem idei. Chciałem być nim był. Niebędzie nim. Żona zapisze cię do zwykłego bractwa...

— O nie Ojcze...

— Rób więc co chcesz. Wolnym jesteś...

— Zrzekam się w tej sprawie wolności i pragnę zależnym być od zezwolenia twego ojcze... I nadrwał Adam rękę ojcowską.

— Zezwalam zatem... (zezwalam) abyś robił co chcesz!... pod warunkiem abyś mnie już o radę nie pytał w tej mierze!... — odrzekł Litwosz z goryczą. Spostrzegł się znać jednak jak bolesną była ta jego odpowiedź synowi i dodał po chwili spokojniejszym tonem:

— Jeśli chcesz wcześniej do mojego życzenia i mojej rady zastosować się pragniesz — to dwa ci postawię żądania ostatnie: pierwsze, abyś jeszcze przez rok jeden powstrzymał się ze zrobieniem stanowczego kroku... może przez ten czas opamiętasz się, a może i ja przecież zamknę powieki wcięgu tego czasu i o niczem już wiedzieć nie będę. — A drugie: abyś zawierając te śluby postarał się zawczasu o ~~zaniedbanie~~ dopełnienie jakich prawnych formalności, któreby później w razie danym umożliwiły wystaranie się o rozwód...—

Uśmiechnął się Adam wesoło

— W tym względzie spełnię najchętniej Twe życzenie

143

— Serca mego nie straciś, ale trudno tak kochać szalonego jak się kocha rozumnego człowieka. Serce ojcowskie zasmuciłeś tylko ale go nie straciłeś.... choć nie wiem czy ci na przywiązaniu ojcowskiem jeszcze co zależy.... Zbledną tylko nadzieje którem w Tobie pokładał... Nie mogę cię i dziś już tyle kochać ile cię kochałem, bo widzę twój upadek moralny.. Ty go nie widzisz — boś zaślepiony namiętnością. Rób więc jak chcesz....

147 mój Ojcze. Przed rokiem w takiejże chwili żenić się nie mógł[em] z moją narzeczoną. Ale co do drugiego warunku — to się łatwiejszego jak o wytłumaczenie się o jakąś nieformalność; — nie ona nam nie zaszkodzi — bo nawet w braku wszelkich formalności, w.... nasz związek do śmierci by się nie rozchwiał.

Spojrzał żywo z gorzkim uśmiechem na rozpromienioną twarz syna.

— Dobrze więc. Jużeśmy skończyli. Jesteś zadowolony i śmiejesz się. Możemy zatem dać już temu pokój. Nie mówmy już o tem więcej. Proszę cię, nie mówmy o tem już więcej! — ~~Graj~~

I zaczął ~~[illegible]~~ ulubioną partję od królowej.

— Graj, na ciebie posunięcie.

— Ojcze, jeszcze jedno: nie zapytałeś mnie kto jest moją narzeczoną... Zdaje mi się że gdy się dowiesz...

— Mniejsza o to, — jedna jak druga! Nie chcę wiedzieć i nie pytam! — przerwał mu ~~starzec~~ niecierpliwie. — Chcę tylko abyś mi już raz dał spokój! Dość już tego, dość, dość, dość!...

I zamyślił się nad szachami.

— — — — — — —

Po ~~[illegible]~~ odzyskaniu ~~[illegible]~~ wolności i wydobyciu się z pod surowych reguł istnie klasztornego życia, poczciwe serce Marylki cierpiało teraz inną męczarnię, niemniej trudną do zniesienia dla niej, niż była owa zadawana jej „tortura moralna", którą wspólnie ciotka wraz z proboszczem postanowiła zwalczyć w niej światowe popędy.

~~Na twarzy panny Gertrudy osiadł teraz ciężki smutek~~

Męczarnią tą nową był ~~[illegible]~~ ponury smutek i lodowata oziębłość na twarzy panny Gertrudy. Od owego dnia minęło kilka tygodni a surowy wyraz ~~jej~~ oblicza ciotki nie ustąpił ani na chwilę miejsca łagodniejszemu spojrzeniu, które kiedyś ~~[illegible]~~ malowało się w jej rysach, w jej wzroku, (w sposobie każdym / w jej postawie i ruchach) i w dźwięku jej głosu, nie ~~[illegible]~~ dopuściło ani przelotnego, miłościwego uśmiechu na jej usta. ~~[illegible]~~ Lakoniczne zapytania i odpowiedzi wtedy gdy konieczność zmuszała się do przemówienia, a zresztą zawsze a [illegible] nad wszelki wyraz dla Marylki milczenie: Tak mijały godziny, dni i tygodnie. Biedne dziewczę cierpiało teraz srożej [illegible], bo cierpiało coś nakształt wyrzutów sumienia... Czy usprawiedliwione były te wyrzuty? badać nie chcemy — i Marylka tego nie badała — czuła tylko i cierpiała. Czuła że ten nowy stan rzeczy sama wywołała — i że jest dla niej niezasłużonym... „Trzeba było cierpieć z rezygnacją, ze spokojem, cierpieć i milczeć — postanawiała sobie nadziei sto razy. — Trzeba było znaleźć w sobie ~~[illegible]~~ dość zasobów do wytrwania, dość odwagi aby się nie ulęknąć tego moralnego przymusu który mnie nękał w najlepszym nieczuwalnie ~~[illegible]~~ zamiarze. Stałam się abym nie upadła na duchu — stałam się ofiarą własnej o swoich nerwów, [illegible] niegodnie przed sobą samą — i podniosłam bunt. Bunt przeciw

ciotce, której ojciec powierzył nadenną opiekę! przeciw niej... która mnie przecież kocha... kocha po swojemu, ale chce mego dobra.... Zapewne że to co ona mem dobrem mieni jest niedorzecznem urojeniem i byłoby nieszczęściem dla mnie... ale ona tego pragnie dla mnie (bo mnie kocha"... a nie dla siebie.

I śledziła najlżejszych zmian w wyrazie twarzy panny Gertrudy i jeżeli tylko czytała tam ciągle obo- a tem słowem: smutek. Smutek, prawdziwy. wezbrany, głęboki, niepocieszony smutek!

Patrzyła godzina za godziną na zaciśnięte rysy kochanej osoby i czuła się przyczyną tego smutku – to prawie tyle co poczucie winy i wyrzuty sumienia. Żal Marylki stawał się obwinieniem własnem. Sumienie bywa także omylnem – jak każdy sędzia, a jest ono u ludzi poczciwego serca, najsurowszym ze wszystkich sędziów na świecie i najbezwzględniej ze wszystkich potępia obwinionego przez siebie człowieka. A sam obwinienie jest już wyrobem. Heroizmem postanowienia zupełnej do czasu uległości i posłuszeństwa bezwarunkowego zamierzyła Marylka okupić utraconą łaskę ciotki – i swoje wyobrażone wyrzuty. Dywagacje i umartwienia których sobie gwałtem narzucić nie dała, teraz chciała przyjąć niepomyślne(?) i zdławionej woli. Fortepian był otwarty – Marylka nie dotknęła się klawiszy. Zdawało jej się że ton tego instrumentu byłby uderzeniem ciotki w samo serce, urągowiskiem jej nerwów, zbrodnią niczadną(?). – Kluczyk od biblioteczki oddała jej kiedyś Gertruda, wymagając tylko aby nie czytała żadnej książki nie zapytawszy się poprzednio o pozwolenie: Marylka jednak zaledwie kilka razy skorzystała z tego prawa. Przeciwnie (czytając ciotce głośno książki religijne, po przeczytaniu przeznaczonej na dzień jednej liczby kartek, zapytywała teraz ciotki czy nie pozwoli jej czytać dalej jeszcze jednego rozdziału. Różaniec odmawiała z ciotką bez ziewania i o ile zdołała najpoważniej. Przy konferencjach z księdzem Tomaszem wstrzymywała się od wszelkich objawów niechęci i wstrętu, owszem usiłowała zachować poważne i spokojne usposobienie. Nie spierała się z nim, nie podnosiła wątpliwości, nie pytała jak wprzódy co chwila: dlaczego? i „skąd to można wiedzieć"? i jakie na to dowody? – Ksiądz Tomasz raz zadziwił się niepomału gdy po raz pierwszy całą godzinę dozwoliła mu mówić bez przerwy. Przypisał to zrazu potędze swej wymowy, ale gorzko potem żałował tego przypuszczenia (szybkiego) i zarozumiałości, potępienia godnem przypisywaniem sobie dzieła mniemał że grzeszne(?) dokonanego tylko szczególną łaską Bożą. – Bił się w piersi i dotąd płacz dysz...

Bądź co bądź jednak, dzieło nawrócenia wydało mu się dokonanem przynajmniej w połowie, a radość tego z tego powodu była

149.

niemiłosną. Zdawało mu się że czuje jak Marylkę wydziera z ramion ziemskiego kochanka i na skrzydłach swego ducha unosi w niebieskie przestworza przed tron Przedwiecznego... Dreszcz go przenikał świętobliwej rozkoszy za myśl o tem zwycięstwie.

Panna Gertruda, zawiedziona już nieraz na optymistycznym zapatrywaniu się proboszcza na stan duszy jego uczennicy, niedowierzała zrazu tej zmianie korzystnej a tak niespodziewanej o której wspomniał jej zawiadomię. Po pewnym jakimś czasie jednakże, gdy ksiądz Roman coraz więcej upatrywał śladów nawrócenia w postępowaniu Marylki, zwróciła i ona uwagę na zdumiewającą zmianę w zachowaniu się siostrzenicy i zdziwiona jej niebywałą uległością, probowała kilkakrotnie dziwacznymi oznakami tejże, rozmyślnem skrytkiem i wymagającym obejściem się z swoją pupilką. Biedne dziewczę zwycięsko wyszło z tej próby. Wygładziło się wtedy czoło panny Gertrudy, rozjaśniły się zwątpiałe już myśli nową nadzieją; i uklękłszy przed obrazkiem Matki Boleściwej, długą dziękczynną modlitwą błagała Bogarodzicę o wyjednanie promyka łaski u swego boskiego Syna dla zbłąkanej owieczki, o oświecenie jej rozumu i serca. Było to we wtorek. Ofiarowała się tedy pościć we wtorki aż do wstąpienia Marylki do klasztoru.

Naraz wtedy ujrzała Marylka dawno już niewidziany uśmiech na twarzy swej opiekunki i otrzymała na dzień dobry pierwsze od czasu swego buntu, a gorąco upragnione, uszczwanie w czoło. Dobrotliwy uśmiech blady był wprawdzie, jak zimowy promyk słońca przebijający się przez grubą chmur oponę, i uszczwanie nie było cieplejsze od tego promyka, — ale poczciwemu sercu Marylki zdawało się że otrzymała stokroć więcej nad zasługę. Biedna ciocia! — pomyślało dziewczę — jak ona srodze zawiedzie się na mnie kiedyś, gdy się przekona żem ja mimo uległości i posłuszeństwa zawsze jednaka i wierna sobie... i jemu wierna... memu ukochanemu!

— — — — — —

W tym właśnie czasie zawitał niespodziewany gość na plebanję — ksiądz Ignacy. Był to kolega wspólny księdza Tomasza z lat seminarjalnych a obecnie jeden z najbardziej stawionych kaznodziei stolicy (i ulubiony spowiednik modnego świata). Jadąc do krewnych, zboczył on z drogi, nakładając mil kilkanaście dla odwiedzenia towarzysza studjów teologicznych, niewidzianego od czasu wyświęcenia, którego pamięć jednakże, jak się wyraził, „dziwną mu pozostała od innych z wiadomego chyba Bogu samemu powodu” który on nadaremnie odgadnąć się siląc, gdy oprócz stosunku koleżeństwa nie łączyła ich z sobą wspólnie ani bliższa zażyłość ani podobieństwo usposobienia...

Zdziwionym czuł się odwiedzinami temi ksiądz Roman, tembardziej że ks. Ignacy od czasu opuszczenia seminarjum ani

Dodać:
Był wczasie choroby śmiertelnej — rozmowa z księdzem o synu — żal że nie mówić go przebaczania

korespondencji z nim nie nawiązał ani jego pamięci w jakikolwiekbądź sposób przypomnieć się nie starał. Ze swemi wielkoświatowemi manierami i wytworną elegancją w mowie i obejściu, nie była to wcale postać nazbyt sympatyczna dla ks. Tomana; niemniej jednak przyjął on go z całą gościnnością na jaką go stać.

Ksiądz Ignacy wypytywał go z wielkiem zajęciem o stosunki jego parafji, o usposobienie kolatorki i całej okolicznej szlachty i duchowieństwa, z wielkiem zajęciem słuchał jego opowiadania o zamierzonej budowie nowego kościoła i uzbieranych już w tym celu dość znacznych funduszach, o nadziejach jakie pokładał proboszcz w pomocy ze strony kolatorki jeśli mu się powiedzie łaską bożą rozpoczęte dzieło nawrócenia, a tem bardziej jeśliby nieuda wobec powołanie klasztorne, o którem on nie ma wątpliwości. Żywym widokiem jak gość zdawał się brać w tych wszystkich sprawach, ucieszył się spodziewanem pomnożeniem chwały bożej, tak ujął księdza Tomana, że temuż opowiedział mu nawet zdarzenie o którem z nikim nie wspominał mówić — zjawienie się ducha o. Seweryna.

Ksiądz Ignacy zrazu objawił pewne wątpliwości co do samego faktu i przypomniał swemu gospodarzowi jak często pod wpływem wyobraźni ulegamy złudzeniu zmysłów, przyjmując najnaturalniejsze rzeczy za nadprzyrodzone zjawiska; widząc atoli iż to jego niedowiarstwo ks. Toman przyjmuje z urazą, zmienił ton mowy i przyznając że niezbadana mądrość boża używa czasem podobnych środków dla nawrócenia niedowiarków, opowiedział kilka podobnych faktów bądź zasłyszanych od wiarogodnych świadków, bądź też osobiście sprawdzonych.

Oświadczył wreszcie gorącą chęć poznania tak świątobliwej osoby za jaką z opowiadania swego gospodarza miała pannę Gertrudę. Proboszcz najchętniej obiecał zadość uczynić temu życzeniu i zaprowadzić go do dworu.

Wieczorem zastajemy ich tam obu w salonie, zajętych żywą rozmową z panną Gertrudą, która odwiedzinami tak rozgłośnej sławy kaznodziei i kanonizowanego już prawie za życia Dekapartena nietylko ucieszoną była ale zaszczyconą się czuła wcale nie znacznie tego słowa.

Marylki w salonie nie było — tem swobodniejszą tedy była rozmowa, bo mogła się toczyć o przedmiocie najbardziej teraz obchodzącym zarówno dwór i plebanję — o wokacji klasztornej

biednego dziewczęcia, które tymczasem w swojej izdebce siedziało zadumane nad rozłożoną książką, czytaną niegdyś głośno za życia ojca naprzemiany z Adamem... Czytając dobrze jej znane ustępy, przypominała sobie szczęśliwe chwile niedalekiej przeszłości, zdawało jej się, że słyszy dźwięk głosu swoich obu najdroższych – z których jednego nie ujrzy już więcej, drugiego nie rychło. Każdy wyraz książki nabierał w jej duszy uroku słowa wymówionego przez ukochaną osobę, każda myśl tam odczytana była jej drogą bo była niegdyś pomyślana przez ojca i przez kochanka.

A w salonie o niej toczyła się rozmowa, a ile razy przeszła na inny przedmiot, rychło do pierwszego wracała tematu.

Dziwnym uderzała kontrastem postać obu tych księży. Gdyby kto przeglądał ich myśli, kto wie, możeby kontrast okazał się tem jaskrawszy.

Obok atletycznej postaci proboszcza prawdziwie męskiej i pełnej zdrowia i siły, szczupła i wątła figurka jeszcze młodego kaznodziei o wybladłej twarzy i delikatnych drobnych rysach. Obok oczu proboszcza żarzących się nieustannie tajemniczemi błyskami wielkiego palącego ognia płonącego w głębinach duszy, oczy siwe księdza Ignacego, przenikliwe, badawcze, chłodnem, trzeźwem a pełnem bystrości spojrzeniem strzelały tylko od czasu do czasu z poza spuszczonych rzęs zwykle w dół powiek. Obok apostolskiej prostoty i szczerości proboszcza, ruchy, gesty, słowa ks. Ignacego pełne salonowego wykwintu i tej szlachetnej ogłady jaką daje częste obcowanie z wyższemi kołami społeczeństwa.

Ks. Ignacy miał zwyczaj mówić wiele i lubił opowiadać, a opowiadaniem umiał zawsze obudzić zajęcie słuchaczy i śledził przytem wrażenie jakie ten lub ów szczegół wywierał na nich, – to był dlań dzielnym środkiem poznawania ludzi. Poznawszy zaś usposobienie innych, umiał się doń tak zastosować iż się wydawało że niema dwóch ludzi podobniejszych opinji jak on ze swoim słuchaczem.

Rozgadawszy się o najnowszych wypadkach w stolicy na polu religijnem i towarzyskiem, nadmienił o zgorszeniu jakie wywołało świeżo wyszłe z druku dziełko filozoficzne pod tytułem: „Stare dogmata wobec nowożytnego pojęcia sprawiedliwości".

— Niegodziwiec ... daruj pani, ale niepodobna go nazwać inaczej, — niegodziwiec który ten pamflet napisał, ośmielił się twierdzić że dogmata świętej naszej religji stoją w rażącej sprzeczności z nowoczesnem pojęciem sprawiedliwości i moralności!

— Nowoczesna moralność! — zawołała panna Gertruda z szyderczym uśmiechem — Sodoma o moralności prawi!

— A sprawiedliwość tegoczesna! — dodał proboszcz. Siła przed prawem!

— Czy to może przypadkiem śmiałość bliźniego niezgodna się z moralnością autora? — zapytała gospodyni.

— O, niezawodnie! ale tego nie napisał. Zanadto roztropny i przebiegły na to. Owszem upstrzył swoje niedorzeczności frazesami humanitarnemi i wszystkiemi deklamacjami tych panów o „ludzkości". Dowodzi on (: przepraszam za wyrażenie!:) że wedle nowożytnego pojęcia sprawiedliwości sędziemu nie o to idzie aby kara wymierzoną była ale aby karę poniósł nie kto inny tylko sam winowajca, że zatem niemoralnieby postąpił gospodarz domu, któryby za przewiny swoich sług wychłostał swego syna choćby ten też sam się dobrowolnie ofiarował za chłostę. Mój Boże! Chrystus Pan był Bogiem a nigdy niemówił o fałszywej „ludzkości" tylko o bliźnim...

— Któż jest autorem tej niegodziwości? — zapytała panna Gertruda.

— Pewien p. Liwocza... odrzekł ks. Ignacy obojętnie.

— Liwocza?! — krzyknęła z przerażeniem i zerwała się z kanapy. — Liwocza? czy Adam?..

Spojrzał na nią zdziwiony ks. Ignacy i jakby dla wytłumaczenia sobie niezrozumiałej zagadki, rzucił potem oczyma na ks. Tomasza. Dostrzegłszy i na tego twarzy szczególny jakiś wyraz zaniepokojenia, zżymnął się widocznie i innym już tonem odparł:

— Tak jest, autorem jest p. Adam Liwocza... Zacny to zresztą i pełen talentów młody człowiek... ale...

— O spodziewałam się tego po nim! spodziewałam! — przerwała panna Gertruda z wyrazem najwyższego oburzenia i niechęci. — Któżby inny zdolny był tego jeśli nie ten nikczemnik!

— W samej rzeczy — wracając do pierwotnego tonu odparł ks. Ignacy, niepodobna nazwać go inaczej...

Tu znać przypomniał sobie że go dopiero co nazwał

„zacnym zeznaniem młodzieńcem" w przypuszczeniu, iż takie mu nasunęło dostrzeżone na twarzach gospodyni i proboszcza wzruszenie ⌐ Szybko więc dodał chcąc obie wyrażone przez siebie opinje pogodzić:

— Jednakże... jednakże... może to tylko szał młodości, po którym nastąpi żal serdeczny i skrucha... Można mieć wszelką nadzieję... bo zeznanie...

— O niemożna mieć nadziei — żadnej nadziei poprawy z jego strony! — przerwała panna Gertruda. — Trzeba znać go bliżej jak my mieliśmy sposobność go poznać! trzeba wiedzieć jakie od dzieciństwa wszczepiano w niego zasady — jakim wpływom ulegał i z kim przestawał! To wróg zacięty, zaprzysiężony naszej świętej religji! ateusz! — to człowiek do gruntu zepsuty! wyrzutek społeczeństwa!...

— Więc, państwo go znacie?... o widzę że go znacie, bo choć nieśmiałem wyrazić, i ja takąż o nim miałem opinję:

— Ach wszyscy! znamy aż nadto dobrze. To ulubieniec niezczęśliwego mego brata — to ten sam o którym mówiłam księdzu dobrodziejowi że usidlił niewinne serce mojej siostrzenicy!...

— Ah, to on zatem! o nieszczęśliwe dziecko! na rany Chrystusowe, niedozwól pani na to! Wybawcie ją państwo od tego wcielonego szatana! Renan jest chrześcijaninem w porównaniu z tym człowiekiem bez czci i wiary!

— Cóż ten potępieniec napisał w swojej rozprawie?... zapytał ksiądz Tomasz. Wyraz szlachetnej boleści promieniał z twarzy chrystusowego kapłana. —

— Dowodzi, (przepraszam za wyrażenie!) że wedle nowożytnych pojęć sprawiedliwemu sędziemu nie o to idzie aby kara (na kimkolwiek) wymierzoną była, ale aby karę poniósł nie kto inny tylko sam winowajca — podczas gdy dawniej n.p. karano (niekiedy) dzieci lub żonę (w zastępstwie) zbiegłego ojca lub męża a sługi za ich pana, poddanych za monarchę, a carem (pewnego letniego) mieszkańca jakiegoś miasta za winowajcę z tego miasta pochodzącego... Być może że to się niekiedy zdarzało w wiekach barbarzyństwa zanim złagodziały obyczaje pod wpływem boskiej naszej religji... ale...

— A on chrześcijaństwu winą takiej niegodziwości przypisuje? — zapytał z oburzeniem X. Tomasz

— On twierdzi że dogmata św. naszej religji godzą się z takiem postępowaniem. Powiada nikczemnie (:przepraszam za wyrażenie:) że dogmat grzechu pierworodnego oparty jest na takiem (jedynem) pojęciu sprawiedliwości, że zagrożenie (w dziesiątem wiekiem) skutkami grzechu aż do czwartego pokolenia również na tem się opiera... że za grzech Dawida padło z ręki bożej ... żydów... Ale to wszystko jeszcze nic! W zarozumiałości swej i pysze szatańskiej porywa się on boską niedościgłą sprawiedliwość mierzyć ludzką miarą i ... przekonać ludzkość że to najstraszniejsze bluźnierstwo powtórzę dla pokarania swego kim jest ten człowiek: — widząc on na „niemoralność"... [illegible]

niedorzeczności

⌐ że Adam może jest krewnym albo bliskim znajomym Boga.

— Zaczyna on swoją rozprawę od opowiedzenia faktu który się miał gdzieś zdarzyć w Szwajcarji że jakiś bankier skazany na piętnastoletnie więzienie, ogłosił w dziennikach iż wypłaci pół miljona temu ktoby się ofiarował odsiedzieć tę karę w jego zastępstwie. W samej rzeczy zgłosił się kilku ubogich ojców rodziny z gotowością poniesienia kary zasądzonej, chcąc własnem poświęceniem okupić dobrobyt swoich rodzin. Oczywiście rząd na to zastępstwo nie pozwolił. Otóż p. Żórawa opierając się na tej bajeczce

„zwierzyliby jać państwo? na „niemoralność” ale czyją? nie! to już potrzeba czegoś więcej na to niż prostego obłędu i zaślepienia i nienawiści!... bo na to żaden jeszcze herezjarcha się nie zdobył!... Uderza na „niemoralność” dogmatu odkupienia!

Okrzyk zgrozy dobył się równocześnie z piersi słuchaczy.

— Tak! — prawił dalej ks. Ignacy — tak tam stoi. Literalnie: „nie-mo-ral-ność!” I czy sądzi łaskawa pani że otwarcie, jakby uczciwy, bodaj w filozoficznem znaczeniu uczciwy — poganin był zrobił..., że otwarcie wyrzeka się świętej naszej religji i występuje z grona wiernych? Boże uchowaj! W całem dziełku tej odwagi mu zabrakło. ani razu nie jest użyty ten wyraz: katolicyzm ani nawet chrześcijaństwo. Unika starannie tych wyrazów a natomiast używa tylko określenia: średniowieczyzna, średniowieczne zasady, wyobrażenia i t. p. Cytując znane ustępy Starego Testamentu, nie wspomina o Piśmie świętem — pisze tylko: „wedle znanej księgi żydowskiej” albo „wedle hebrejskiego mitu.”

Strzeże się aby nie uderzać wprost na naukę kościoła i o niej nie wspomina wcale a tak formułuje zdradziecko swoje niecne syllogizmy jakby tylko uderzał przeciw średniowiecznym jakimś przestarzałym wyobrażeniom. Darzę zanawsze pani że w tej obecności ośmielę się użyć tego wyrazu, ale to już prawdziwie nic co innego tylko podłość!

— Podłość! — zawtórzył grzmiącym głosem ksiądz Tomasz. Pannie Gertrudzie drgały wargi, ręce się trzęsły z oburzenia ale jakieś tajemne jej samej nie świadome jeszcze zadowolenie budzić się zaczynało w duszy. Czuła że nienawistny Adam tym wystąpieniem sam zagasi niechęć w sercu Marylki.

— Tak jest — zakonkludował raz jeszcze ks. Ignacy — podłość! i podłość tem większa iż dziełko pomimo nader licznych uczonych cytatów na każdej stronicy, pisane jest stylem nadzwyczajnie przystępnym i widocznie przeznaczone dla najszerszego koła czytelników, których autor bawi dykteryjkami i dowcipkami a który może w ten sposób przejść się uczniami pogardą dla najświętszych prawd religji, nie uświadomić wcale że odstępują od katolicyzmu, gdyż o nim ni ma mowy...

— A więc dowcipkami chce p. Liwocza obalić skałę Piotrową? Burze wiekowe nie naruszyły jej a taki niedouczony medyk sądzi że dykteryjką ją zachwieje! — zawołał z ironią ks. Tomasz. — Jakie to śmieszne!

— Ach, to obrzydliwe raczej, oburzające...

— Opowiada n. p. p. Liwocz o pewnym gospodarzu który miał liczne a złe i niecnotliwe dzieci. Dogadzał im przebaczając przewiny ale chciał oraz aby sprawiedliwości stało się zadość i ukrzyżował niewinnie wyrzeczonego zasadą — wychował swego przeciwnego syna, który żył

temu dobrowolnie poddał — — Tak to, woła p. Liwocz, pojmowały średnie wieki sprawiedliwość bożą — i pyta czy to się zgadza z dzisiejszem pojęciem sprawiedliwości i moralnemi zasadami XIX° wieku?..

— Nie kończ! nie kończ księże dobrodzieju! — zawołała wzdrygając się panna Gertruda, bo to okropne! włosy stają na głowie na takie bluźnierstwo! — I dłońmi oczy zakryła.

Ksiądz Roman mimowolnym ruchem podniósł ręce nad głowę jakby pomsty bożej wzywał lub gotował się do rzucenia klątwy.

Ksiądz Ignacy zaśmiał się wesoło: Tak, tak! I mówią jeszcze ci panowie że kościół nie jest prześladowany!... Ale quem Deus vult perdere — dementat... oni sami się gubią takiemi konceptami [bo uderzając na wiarę nie umieją zatrzymać się w pół drogi jak Luter albo Kalwin. Tamci mieli więcej od nich przebiegłości]. Świat dzisiejszy choć bezbożny, czuje dobrze że upadek wiary pociągnąłby za sobą rozprzężenie obyczajów i wtrąciłby społeczeństwo w anarchię. Dlatego też wszelkie konserwatywne żywioły choćby niedowiarków była między nimi ścisła jedna, teraz się w połączeniu takich skrajnych wybryków niedowiarstwa i przerażeni radykalizmem negacyjnego kierunku takich pp. Liwoczów, tem silniej czują potrzebę popierania nas... To ostatecznie za ręką bożą wyjdzie na pożytek kościoła. — Taki p. Liwocz ze swemi zdolnościami mógłby się stać rzeczywiście niebezpiecznym narzędziem postępu, ale szczęściem namiętności nie umiał się pohamować i przedwcześnie zrzucił maskę. Teraz go już znamy i wiemy kto on, potrafimy pokrzyżować jego plany na każdem polu na jakimby chciał rolę jakąś odegrać. Zamknął sobie sam drogę — sam się zabił raz na zawsze. Mam nadzieję że i do domu pani dobrodziejki zamknął sobie drogę... a siostrzenica pani także się dowie....

— O i ja mam nadzieję... chybaby Boga w sercu nie miała! — odrzekła panna Gertruda. — Obawiam się tylko aby ten szatan nie użył jakiego podstępu i nie wyparł się przed nią autorstwa tej niegodziwej książki. Czy ją pod własnem wydał nazwiskiem?

— Nie, nie miał tej odwagi. Wydał ją pod pseudonimem. Ale nie podlega wątpliwości że on jest autorem...

— O, i ja nie wątpię!.. on się wyprze, z pewnością wyprze się przed nią... gotów przysiąc... Co u nich znaczy przysięga!

— Niech pani wzbroni mu wstępu do swego domu...

— Dawnobym już to uczyniła! Ale na nieszczęście wuj jego i wielki protektor, pan Marcin, nasz sąsiad jest ojcem chrzestnym Marylki...

— A to nieszczęście! A p. Marcin? czy nie dałoby się nakłonić go aby zerwał z siostrzeńcem? Czy to może także heretyk? —

— Niestety! — wtrącił ks. Roman — któż nim też nie jest ze szlachty w tej okolicy! Oprócz pewnego ludu wiejskiego i nielicznych wyjątków — wszyscy trącą odszczepieństwem albo zgodą obojętności w rzeczach wiary. Pan Marcin liczy się niby to do gorliwych katolików — ale i jego serce zatwardziało w bezbożnej tolerancji dzisiejszej...

— Ha, w takim razie… zaczął ks. Ignacy z filuternym uśmieszkiem… w takim razie, znalazłby się może jeszcze środeczek… środeczek który za boską pomocą odwróciłby serce panny Marji od tego bezbożnika…

— Ach, jaki? powiedz księże dobrodzieju, na miłość boską! — zawołała panna Gertruda.

— Ale dobra moich owieczek — rzekł ks. Ignacy z skromną minką — starałem się zbadać dokładnie ~~[illegible]~~ wszelkie szczegóły dotyczące ~~[illegible]~~ p. Liwony… i śledziłem pilnie wszelkie stosunki jego i relacje. Chcąc zwalczać nieprzyjaciela i to tak potężnego nieprzyjaciela kościoła, roztropność nakazuje ~~aby~~ starać się poznać jego słabe strony… Otóż Pan Bóg w niewyczerpanej łasce swojej raczył mi pozwolić i… i… tyle mogę państwu dziś już powiedzieć że jestem na tropie… na tropie pewnego stosuneczku jego z czasów studenckich… a gdyby się udało n.p. jaki ~~[illegible]~~ dowód n.p. liścik jaki jego zakochany dostać… to na pannę Marję mógłby to skuteczniej podziałać…

— O niegodziwiec! więc on i ją tylko uwodził — to niewinne dziecko! Przeczuwałam że tak jest! wszystko przeczuwałam! Zlituj się księże Ignacy! ~~wydostań~~ wystaraj się o taki jego bilecik!… Uratujem tem może Marylkę ze szponów tego diabła!…

— Będę się starał ile zdołam, bądź pani pewna. Ale nie wiem czy mi się uda… To stosuneczek dawno już zerwany, wątpię czy pamiątki jakie zachowano… trzebaby chyba aby się dawne skłonności ożywiły… to nie tak łatwo… trzebaby się postarać o nawiązanie nowej korespondencji… To nie tak łatwo…

Rumieniec żywy wystąpił na twarz księdza Romana. Wymowny wyraz jego szlachetnych oczu świadczył jak wstrętne mu były te drogi i środki. ~~[illegible]~~ Spostrzegł to ks. Ignacy i uprzedzając spodziewany zarzut, rzekł: ~~[illegible]~~ (z niewzruszoną siłą głębokiego przekonania) — Niegodziłoby się dla względów światowej przyzwoitości zaniedbywać sprawy kościoła w tak ważnym wypadku! Bądźcie prostemi jak gołębie a chytremi jako węże — mówi Pismo. Biada temu ktoby się wzdrygał przed dotknięciem trądu kto chce leczyć trędowatego. Gorzkie jest lekarstwo i obrzydliwość nam sprawia ale do zdrowia przywodzi… I mnie ono wstrętne, ale cóż? środek jedyny! Własnemu upodobaniu i wrażliwości niepodobna poświęcać sprawy bożej.. Gdzie zwycięża książę tego świata — ktoby z ~~[illegible]~~ uczuć chrześcijańskich męczeństwa się ulakł? Ale czyż nie grzechem byłoby męczeństwo wybierać tam gdzie ecclesia militans ~~[illegible]~~ zwycięsko może wyjść z walki?

11 102

IV